

Conan obieżyświat

Howard Robert E.



calibre 0.9.27

ROBERT E. HOWARD

L. SPRAGUE DE CAMP

LIN CARTER

CONAN OBIEŻYŚWIAT

TYTUŁ ORYGINAŁU: CONAN THE WANDERER

PRZEKŁAD ZBIGNIEW A. KRÓLICKI ROBERT P. LIPSKI

Mapa na wyklejce powstała na podstawie notatek i szkiców Roberta E. Howarda oraz map stworzonych przez P. Schuylera Millera, Johna D. Clarka, Davida Kyle'a i L. Sprague'a de Campa.

Notki biograficzne przed opowiadaniem zostały napisane na podstawie artykułu P.

Schuyleta Millera i dr. Johna D. Clarka Prawdopodobny przebieg kariery Conana (A Probable Outline of Conan's Career) opublikowanym w *The Hyborian Age* (Los Angeles, 1938) oraz na podstawie rozszerzonej wersji tego eseju p.t. Nieoficjalna biografia Conana Cymeryjczyka (An Informal Biography of Conan the Cimmerian), którego autorami są P. Schuyler Miller, John Clark i L. Sprague de Camp, a który został opublikowany w czasopiśmie poświęconym twórczości Howarda Amra (tom 2, nr 8).

Blatck Tears: pierwodruk w 1968 roku w tym tomie.

Shadows in Zamboula: pierwodruk w październikowym numerze *Weird Tales*, 1935.

The Devil in Iron: pierwodruk w sierpniowym numerze *Weird Tales*. 1934.

The Flame Knife: pierwodruk w *Tales of Conan*, Gnome Press, 1955

WSTĘP

Twórca Conana, Robert E. Howard (1906–36), urodził się w Peaster w Teksasie, a większość swego życia spędził w samym środku tego stanu, w Cross Plains. W ciągu swego krótkiego życia (zakończonego samobójstwem w wieku trzydziestu lat) wyprodukował

ogromną ilość popularnej beletrystyki: sportowej, kryminalnej, historycznej, przygodowej, westernów, science fiction i opowieści grozy, nie wspominając już o wierszach i licznych utworach fantasy. Z kilku jego cykli heroic fantasy największą popularność zyskały opowieści o Conanie.

Osiemnaście z nich doczekało się publikacji za życia autora, osiem innych (w różnych stadiach zaawansowania: od luźnych fragmentów i szkiców fabuły do kompletnych rękopisów) znaleziono w papierach Howarda po roku 1950. Niekompletne opowiadania zostały dokończone przez Lina Cartera i przeze mnie.

Ponadto we wczesnych latach pięćdziesiątych przerobiłem cztery niepublikowane teksty Howarda — przygodowe opowiadania osadzone w realiach średniowiecznego lub współczesnego Orientu — na opowieści z cyklu conanowskiego: zmieniłem imiona, usunąłem anachronizmy i wprowadziłem elementy zjawisk nadprzyrodzonych. Okazało się to nietrudne, gdyż bohaterowie Howarda są do siebie podobni jak garnitury szyte z tego samego materiału i ostatecznie opowieści te są przynajmniej w trzech czwartych lub czterech piątych oryginalnymi dziełami Howarda.

Najdłuższą z nich jest „Płomienny nóż”. Howard napisał ją w roku 1934 jako liczącą 42.000 słów krótką powieść o przygodach we współczesnym mu Afganistanie, zatytułowaną „Przeznaczenie o trzech ostrzach”. Jej bohaterem był Francis X. Gordon, należący do wielkiej howardowskiej rodziny muskularnych, awanturniczych, irlandzkich poszukiwaczy przygód występujący w kilku opublikowanych opowiadaniach o przygodach w krainach Wschodu. W

„Przeznaczeniu o trzech ostrzach” odkrywa tajemnice kultu, który jest współczesnym wariantem średniowiecznych Asasynów. Gdy pierwotnej wersji utworu nie udało się sprzedać, Howard skrócił ją w roku 1935 do 24.000 słów, ale i ta nie znalazła nabywcy.

Opowiadanie wykazuje wpływy Harolda Lamba i Talbota Mundy’ego. Obecna wersja, której jestem współautorem, liczy 31.000 słów i pod względem długości jest kompromisem pomiędzy obiema wersjami Howarda.

Carter i ja napisaliśmy też kilka pastiszy opartych na wzmiankach w notatkach i listach Howarda, aby wypełnić luki w sadze. Prezentowane w niniejszym tomie „Czarne łzy” są jednym z nich.

Wszystkie te opowiadania należą do podgatunku literatury fantastycznej, który znawcy określają jako „heroic fantasy” lub czasami „literaturę szermierki i magii”. Akcja takich utworów rozgrywa się w wymyślonej starożytności lub średniowieczu — czasami na Ziemi takiej, jaką była dawno temu albo będzie w odległej przyszłości, czasami na innej planecie albo zgoła w innym wymiarze — w każdym razie gdzieś, gdzie działa magia, a nowoczesna technologia jeszcze nie została odkryta. Przykładami tego gatunku — poza cyklem o Conanie — mogą być „The Worm Ouroboros” E.R. Eddisona, trylogia „Władca Pierścieni” J.R.R.

Tolkiena, „The Well of the Unicorn” Fletchera Pratta i opowieści Fritza Leibera o Fafhrd i Grayu Mouserze. Dobrze napisane utwory tego gatunku są źródłem najlepszej zabawy, jaką można znaleźć w literaturze.

Wśród kilku sztandarowych postaci howardowskiej fantasy Cymeryjczyk Conan jawi się jako bohater nr 1. Conan żył, kochał i podróżował w świecie wymyślonej Ery Hyboryjskiej, około dwunastu tysięcy lat temu, pomiędzy zatonięciem Atlantydy a początkiem znanej nam historii. Ów, gigantycznej postury, barbarzyński awanturnik z posępnej, zacofanej krainy na północnych kresach, Cymerii, w bitwach, pojedynkach i karczemnych burdach przemierzył

pół świata brodząc w rzekach krwi i pokonując wrogów zarówno śmiertelnych, jak i nadprzyrodzonych, by w końcu zostać królem potężnego hyboryjskiego królestwa —Akwilonii.

Przybywszy do królestwa Zamory (patrz mapa) jako surowy, niezgrabny i nie uznający żadnych praw młodzieniec, przez kilka lat wiódł Conan tam i w sąsiednich krajach niebezpieczny żywot złodzieja. Zmęczony w końcu tą głodową egzystencją, zaciągnął się jako najemnik do wojsk Turanu. Przez kolejne dwa lata wiele podróżował i pogłębiał swoje umiejętności łucznicze i jeździeckie.

W rezultacie kłótni o kobietę ze swoim zwierzchnikiem Conan uciekł z Turanu. Po zakończonej niepowodzeniem próbie poszukiwania skarbów w Zamorze i krótkiej wizycie w rodzinnej Cymerii rozpoczął karierę najemnego żołnierza w królestwach hyboryjskich.

Okoliczności — jak zwykle gwałtowne — czynią zeń pirata u wybrzeży Kush. Towarzyszy mu shemicka piratka Belit i załoga krwiożerczych czarnoskórych. Po śmierci Belit Conan zostaje wodzem jednego z czarnych plemion, potem służy jako najemnik w Shemie i południowych państwach hyboryjskich.

Jeszcze później pojawił się jako przywódca kozaków — banitów, wędrujących po stepach pomiędzy krajami hyboryjskimi a Turanem. Dowodził też pirackim statkiem na wielkim, śródlądowym Morzu Vilayet.

Służąc jako kapitan w gwardii królowej Taramis w Khauranie, Conan został schwytany przez wrogów królowej, którzy go ukrzyżowali. Gdy nadleciał sęp, próbując wydziobać mu oczy, Conan odgryzł ptakowi głowę. (Nie znajdziecie twardszego bohatera.) Zaporoskanin Olgierd Władysław, przywódca bandy Zuagirów (koczownicze plemię wschodnich Shemitów, zamieszkujące pustynię), natknął się na Conana w tym krytycznym momencie i uratował go — zresztą dla swoich własnych celów. Gdy narosły tarcia pomiędzy Conanem a Olgierdem, zawzięty Cymeryjczyk bezlitośnie pozbawił Olgierda przywództwa bandy, którą — po przywróceniu tronu królowej Taramis — poprowadził na wschód, by łupić Turańczyków. W tym miejscu zaczyna się ta historia.

L. Sprague de Camp

przeł. Ryszard Borys

CZARNE ŁZY

Black Tears

L. Sprague de Camp

Lin Carter

Pomógłszy królowej Taramis odzyskać tron Conan udaje się ze swymi Zuagirami na wschód grabić turańskie miasteczka i karawany. Cymeryjczyk ma trzydzieści jeden lat i jest w szczytowej formie.

Już drugi rok spędza wśród synów pustyni — najpierw jako zastępca Olgierda, a później jako ich wódz. Jednak okrutny i energiczny król Yezdigerd szybko reaguje na wyczyny Conana; wysyła silny który ma go złapać w pułapkę.

W POTRZASKU

Bezlitosne słońce prażyło z rozpalonego do białości nieba. Nagie, wyschnięte piaski Shan–e–Sorkh, Czerwonego Pustkowia, kapały się w tym buchającym jak z pieca żarze. Nic nie poruszało się w nieruchomym powietrzu; nieliczne kolczaste krzaki porastające niskie, obsypane piachem pagórki wznoszące się murem na skraju Pustkowia nawet nie drgnęły.

Tak samo, jak ukryci za nimi żołnierze, którzy czujnie obserwowali szlak.

W tym miejscu jakiś pradawny konflikt sił natury pozostawił głęboką szczelinę w skarpie.

Wieki erozji poszerzyły ją, lecz wciąż był to wąski parów — idealne miejsce na zasadzkę.

Przez cały długi, upalny ranek na szczytach pagórków krył się oddział turańskich żołnierzy.

Omdlewając z gorąca w swoich długich kolczugach i łuskowych pancierzach, czekali z obolałymi kolanami i pośladkami. Ich kapitan, emir Boghra Chan, klnąc pod nosem znosił

niewygody długiego oczekiwania razem ze swoimi podkomendnymi. Gardło miał wyschnięte jak stary rzemień i piekł się w swojej zbroi niczym jagnię na rożnie. W tej przeklętej krainie śmierci i palącego słońca człowiek nawet nie mógł się porządnie spocić — suche powietrze pustyni chciwie wypijało każdą kroplę wilgoci, pozostawiając ciało wyschnięte jak pomarszczony język stygijskiej mumii.

Emir zamrugał i potarłszy powieki zmrużył oczy przed blaskiem, wypatrując krótkich błysków światła. To ukryty za wydmą zwiadowca lustrem przekazywał sygnały oczekującemu na szczycie pagórka dowódcy.

Niebawem można już było dostrzec chmurę pyłu. Otyły, czarnobrody szlachcic turański uśmiechnął się i zapomniał o niewygodach. Zdrajca–informator chyba rzeczywiście zasłużył

na te ogromne pieniądze, które mu wypłacono!

Wkrótce Boghra Chan mógł już rozróżnić poszczególnych wojowników, jadących rzędem na drobnych, pustynnych konikach. Kiedy banda odzianych w powiewne, białe chałaty Zuagirów wyłoniła się z chmury pyłu wzbijanego przez kopyta wierzchowców, turański oficer mógł dojrzeć nawet ich ciemne, wychudłe twarze o orlich rysach — tak przejrzyste było powietrze pustyni i tak jasno świeciło słońce. Turańczyk upajał się tym widokiem niczym czerwonym, aghrapurskim winem z prywatnych zapasów młodego króla Yezdigerda.

Ta banda rabusiów od lat grasowała na pograniczu Turanu, plądrując miasta, składy handlowe i podróżujące tędy karawany kupieckie — najpierw pod wodzą zatwardziałego zaporoskijskiego zbója, Olgierda Władysława, później, od przeszło roku, dowodzona przez jego godnego następcę — Conana. W końcu turańskim szpiegom wysłanym do wiosek przyjaźnie nastawionych do rabusiów

udało się znaleźć przekupnego członka bandy —niejakiego Vardanesa, nie Zuagira, lecz Zamoranina. Vardanesa łączyło przymierze krwi z obalonym przez Conana Olgierdem; nie tylko pałał żądzą zemsty, ale także chciał pozbyć się cudzoziemca, który przejął władzę nad bandą.

Boghra Chan w zadumie gładził długą brodę. Zamorański zdrajca był uśmiechniętym, wesołym zbójem, drogim sercu Turańczyka. Mały, chudy, zwinny i przystojny Vardanes, chełpliwy i zuchwały jak młody bóg, był miłym kompanem do bitki i wypitki, chociaż wyrachowanym i zdrażliwym jak grzechotnik.

Zuagirowie wjeżdżali już do wąwozu. Na czele straży przedniej jechał Vardanes, dosiadający pięknej, karej klaczy. Boghra Chan podniósł rękę, stawiając swoich ludzi w pogotowiu. Chciał, żeby jak najwięcej Zuagirów wjechało do parowu, zanim zatrzaśnie szczęki pułapki. Tylko Vardanes zdoła wyjechać z wąwozu.

Kiedy jeździec na czarnym koniu wyłonił się spośród bloków piaskowca, Boghra gwałtownym ruchem opuścił dłoń.

— Bić psów! — zagrzmiął, wstając.

Grad strzał spadł na Zuagirów jak śmiercionośny deszcz. W jednej chwili równa kawalkada jeźdźców zmieniła się w kłębowisko wrzeszczących ludzi i wierzgających koni.

Chmury strzał opadały na nich raz po raz. Synowie pustyni walili się na ziemię, kurczowo szarpiąc pierzaste belty, które jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyrastały z ich ciał.

Konie rżały przeraźliwie, gdy ostre groty rozcinały ich boki. Obłok dławiącego pyłu uniósł się w górę spowijając parów. Był tak gęsty, że Boghra Chan kazał swoim łucznikom zaprzestać na chwilę, strzelania, aby nie marnowali strzał. Ten nagły przyptyw skąpstwa zgubił go.

Wśród zgielku dał się słyszeć donośny, dźwięczny głos, który opanował zamieszanie: — Na zbrocza! Na nich!

Głos należał do Conana. W chwilę później gigantyczna postać Cymeryjczyka pojawiła się na stromym stoku. Barbarzyńca gnał jak szalony w górę na swoim olbrzymim, dzikim rumaku. Ktoś mógłby sądzić, że tylko głupiec lub wariat może szarżować pod górę na stromym zboczu pokrytym sypkim piaskiem i odłamkami zwietrzałej skały, ale Conan nie był

ani jednym, ani drugim. Istotnie, ogarnęła go szalona żądza odwetu, lecz ta ponura, pociemniała od słońca twarz i oczy płonące pod zmarszczonymi brwiami jak dwa błękitne płomienie należały do zahartowanego w bojach, doświadczonego wojownika. Wiedział, że często jedynym wyjściem z zasadzki jest zaskoczenie przeciwnika jakimś niespodziewanym ruchem.

Zdumieni wojownicy turańscy na moment zapomnieli o swych hakach. Z chmury pyłu wypadła na nich wyjąca horda rozwścieczonych Zuagirów, którzy pieszo lub konno zdołali się wdrapać na szczyt pagórka. W jednej chwili pustynni wojownicy — liczniejsi, niż się emir spodziewał — runęli z wrzaskiem na turańskich żołnierzy; klnąc i wydając bojowe okrzyki siekli zakrzywionymi szablami.

Olbrzymi Cymeryjczyk jechał na czele atakujących. Strzały porwały mu biały chałat odsłaniając czarno błyszczącą zbroję, która okrywała imponująco umięśniony tors. Spod stalowego hełmu spływała zmierzwiona grzywa nie przyciętych włosów, powiewając za nim jak poszarpany proporzec; przypadkowa strzała zerwała mu zawój. Wpadł na rozszalałym ogierze między żołnierzy Yezdigerda niczym jakiś baśniowy olbrzym lub demon. Zamiast typowej, zuagirskiej szabli dzierżył wielki, dwusieczny miecz — najulubieńszą spośród licznych rodzajów broni, jakimi mistrzowsko władał. W jego poznaczonej bliznami dłoni ta długa, jasna jak lustro stal wycinała krwawą wyrwę w szeregach Turańczyków. Ostrze wznosiło się i opadało ze świstem, siejąc śmierć i zniszczenie. Każdy cios przecinał zbroje, ciała i kości, rozrąbując czaszki, odcinając kończyny lub rzucając ofiary na ziemię z połamanymi żebrami.

Nim minęło pół godziny było już po wszystkim. Żaden Turańczyk nie uszedł z życiem oprócz kilku, którzy wcześniej wzięli nogi z pas — i ich dowódcy. Półnagięgo, utykającego i rozczochranego emira przyprowadzono przed Conana, który siedział na zziąjanym wierzchowcu, ocierając zbroczony miecz połą chałata zerwanego z trupa.

Cymeryjczyk przywitał zgnębionego oficera groźnym spojrzeniem, nie pozbawionym domieszki sardonicznego humoru.

— No coż, Boghra, znów się spotykamy! — mruknął. Emir podniósł zakrwawioną twarz i zamrugał, nie wierząc własnym oczom.

— To ty! — szepnął.

Conan zachichotał. Dziesięć lat wcześniej, jako młody, wędrowny wagabunda, Cymeryjczyk służył w turańskiej armii. Opuścił jej szeregi dość pospiesznie — chodziło zdaje się o kochankę zwierzchnika — tak pospiesznie, że zapomniał uregulować dług: nie oddał

przegranej w kości temu samemu emirowi, który teraz spoglądał na niego ze zdumieniem.

W tamtych czasach Conan i młody potomek szlacheckiego rodu, Boghra Chan, byli kompanami zarówno przy stole gry, jak i w winiarni czy domu uciech. Teraz, kilka lat później, Boghra wytrzeszczał oczy, pokonany w bitwie przez dawnego kompana, którego imienia jakoś nigdy nie łączył ze straszliwym przywódcą synów pustyni.

Conan zmierzył go zwężonymi oczyma.

— Czekaliście tu na nas, prawda? — mruknął.

Emir oklapł. Nie miał zamiaru udzielać żadnych informacji przywódcy rabusiów, nawet jeżeli był nim dawny kompan od kielicha. Jednak słyszał aż nazbyt wiele ponurych opowieści o sposobach, jakimi Zuagirowie zmuszają jeńców do zeznań. Tłusty i zniewieściały w wyniku długich lat książęcego życia, turański oficer obawiał się, że nie wytrzyma przesłuchania.

Nieoczekiwanie okazało się, że było ono zbędne. Conan zauważył wcześniej Vardanesa — który zadziwił go tego ranka prosząc o przydzielenie komendy nad strażą przednią — podrywającego konia

do galopu i wyjeżdżającego z wąwozu tuż przed niespodziewanym atakiem.

— Ile zapłaciliście Vardanesowi? — spytał nagle.

— Dwieście szekli srebra... — wymamrotał Turańczyk i urwał, zdumiony własną niedyskrecją.

Cymeryjczyk roześmiał się.

— Królewska zapłata, co? Ten uśmiechnięty łotr jak każdy Zamoranim krył zdradę na dnie swego podłego serca! Nigdy nie wybaczył mi tego, że wysadziłem z siodła Olgierda! — Conan zamilkł i zmierzył kpiącym spojrzeniem stojącego ze spuszczoną głową emira. — Nie, nie martw się, Boghra. Nie zdradziłeś żadnych tajemnic wojskowych; wydobyłem je z ciebie podstępem. Możesz wracać do Aghrapuru bez uszczerbku na swoim żołnierskim honorze.

Boghra Chan spojrzał nań z niedowierzaniem.

— Chcesz darować mi życie? — wychrypiał.

Conan skinął głową.

— Czemu by nie? Wciąż jestem ci winien ten worek złota, więc pozwól mi w ten sposób uregulować dług. Jednak na drugi raz uważaj, kiedy zastawiasz pułapkę na wilki. Czasem wpada w nią tygrys.

KRAINA DUCHÓW

Dwa dni ostrej jazdy przez czerwone piaski Shan–e–Sorkh nie doprowadziły do schwytania zdrajcy. Żadny jego krwi Cymeryjczyk nieubłaganie gnał swoich ludzi. Okrutny kodeks pustyni domagał się Śmierci Pięciu Pali dla każdego, kto zdradził towarzyszy i Conan był zdecydowany dopilnować, żeby Zamoranin poniósł tę karę.

Drugiego dnia wieczorem rozbili obóz w cieniu skały ze zwietrzałego piaskowca, sterczącej z rdzawych piasków niczym kikut jakiejś pradawnej, zrujnowanej wieży.

Zbrązowiałą od słońca twarz Conana przecinały głębokie bruzdy zmęczenia. Jego ogier był bliski utraty sił; ciężko robiąc bokami toczył pianę z pyska i ślinił się na widok czerpaka z wodą, który barbarzyńca podstawił mu pod nos.

Zuagirowie rozłożyli się na piasku, rozprostowując obolałe nogi i zeszywniałe ramiona.

Napoili konie i rozniecili ogień, aby odstraszyć dzikie, pustynne psy. Conan słyszał skrzypienie rzemieni, gdy z juków wyciągano namioty i kociołki do warzenia stawy. Pod krokami obutych w sandały stóp zachrząścił piasek. Cymeryjczyk odwrócił się i ujrzał pomarszczoną, okoloną bokobrodami twarz jednego ze swych zastępców. Był to Gomer; ciemnooki Shemita o haczykowatym nosie i tłustych, kruczoczarnych lokach wymykających się spod fałd zawoju.

— No? — mruknął Conan, wycierając boki zmęczonego rumaka długimi, wolnymi pociągnięciami twardej szczotki.

Shemita wzruszył ramionami.

— Dalej jedzie na południowy zachód — rzekł. — Ten łotr jest chyba z żelaza.

Conan zaśmiał się chrapliwie.

— To jego klacz jest z żelaza, a nie on. Vardanes jest z krwi i kości; przekonasz się o tym, kiedy przywiążemy go do pali i zostawimy na żer sępom!

W smętnych oczach Gomera czał się dziwny niepokój.

— Conanie, może zrezygnujesz z pościgu? Każdy dzień zastaje nas głębiej w tej ziemi słońca i śmierci, gdzie żyją tylko żmije i skorpiony. Na ogon Dagona, jeśli nie zawrócimy, nasze kości na zawsze będą tu bieleć w słońcu!

— O, nie! — odparł Conan. — Jeżeli czyjeś kości będą tu bieleć, to nie nasze, a Zamoranina. Nie martw się, Gomer; niebawem go dogonimy. Może jutro? Przecież nie będzie tak gnał w nieskończoność.

— My też nie — protestował Gomer.

Urwał, czując na sobie badawcze spojrzenie niebieskich oczu.

— Zdaje się, że to nie wszystko, co cię gnębi, prawda? — spytał Conan. — Mów, człowieku. Wykrztuś to wreszcie!

Krępy Shemita wymownie wzruszył ramionami.

— Taak, masz rację. Ja... ludzie mówią... — wymamrotał i umilkł.

— Mów, człowieku, albo wyduszę to z ciebie!

— To... to jest Makan-e-Mordan! — wybuchnął Shemita.

— Wiem. Słyszałem już o Krainie Duchów. I co z tego? Boisz się bajania starych bab?

Gomer wyglądał na nieszczęśliwego.

— To nie są bajania, Conanie. Ty nie jesteś Zuagirem, nie znasz tej ziemi i jej niebezpieczeństw tak jak my, którzy żyjemy tu od dawna. Od tysięcy lat przekleństwo ciąży nad tą krainą, w głąb której z każdą godziną coraz bardziej się posuwamy. Ludzie boją się powiedzieć ci o tym, ale szaleją ze strachu.

— Dziecinne przesady — warknął Cymeryjczyk. — Wiem, że trzęsą się ze strachu na samą myśl o legendarnych upiorach czy goblinach. Ja też słyszałem te historie, Gomerze.

Przecież to tylko bajki, którymi można straszyć dzieci, nie dorosłych mężczyzn. Powiedz swoim towarzyszom, żeby uważali. Mój gniew jest silniejszy od wszystkich upiorów razem wziętych.

— Ale...

Conan przerwał mu ostro.

— Dość tej dziecinady, Shemito! Poprzysiągłem na Croma i Mitrę, że dostanę tego zamorańskiego zdrajcę, choćbym miał zginąć! A jeśli będę przy tym musiał utoczyć trochę zuagirskiej krwi, uczynię to bez skrpułów! Teraz przestań jęczeć i chodź się napić. W gardle mi zaschło od tego przeklętego upału, a od tego gadania robi mi się jeszcze bardziej sucho!

Poklepawszy Gomera po plecach, Cymeryjczyk pomaszerował do ogniska, gdzie wojownicy wyładowywali z sakw wędzone mięso, suszone figi i daktyle, kozi ser i skórzane bukłaki z winem.

Jednak Shemita nie od razu poszedł za nim. Stał przez chwilę, patrząc na rubasznego Cymeryjczyka,

którego rozkazów słuchał od prawie dwóch lat, od czasu gdy znaleźli go na krzyżu opodal murów Khauranu. Conan był tam kapitanem gwardii w służbie królowej Taramis. Czarownica Salome wspólnie z Constantiusem Sokołem, kothijskim wojewodą Wolnych Towarzyszy, odebrała królowej tron i podszyła się pod nią. Kiedy Conan zorientował się w zamianie, ujął się za Taramis i przegrał. Constantius kazał go ukrzyżować za miastem. Przypadkowo przejeżdżał tamtędy Olgierd Władysław, wódz zuagirskich rabusiów, który uwolnił barbarzyńcę, mówiąc, że jeśli przeżyje, może przyłączyć się do bandy. Conan nie tylko przeżył, ale okazał się tak zdolnym przywódcą, że niebawem zajął

miejsce Olgierda w bandzie, której przewodził po dziś dzień.

Dziś jednak miała się skończyć jego władza. Gomer z Akharii westchnął z żalem. Przez ostatnie dwa dni Conan jechał na czele bandy ogarnięty bez reszty ponurą żądzą zemsty. Nie zdawał sobie sprawy z uczuć wzbierających w sercach Zuagirów. Gomer dobrze wiedział, że choć synowie pustyni wielbili Cymeryjczyka, przesądny lęk doprowadzi ich do krawędzi buntu i morderstwa. Podążyliby za swoim wodzem aż do samych wrót Piekła — ale nie w głąb Krainy Duchów.

Shemita podziwiał Conana, ale wiedział, że żadna siła nie skłoni go do poniechania zemsty. Pozostał tylko jeden sposób, aby ocalić go od śmierci z rąk własnych ludzi. Gomer wyjął z zanadru białego chałata mały, zakorkowany flakonik zielonego proszku. Chowając go w dłoni przyłączył się do siedzącego przy ognisku Conana, aby wypić z nim kielich wina.

NIEWIDZIALNA ŚMIERĆ

Kiedy Conan obudził się, słońce stało już wysoko na niebie. Rozgrzane powietrze drżało nad czerwonym piaskiem. Było gorąco, sucho i cicho, jak gdyby niebo zmieniło się w odwrócony do góry dnem, mosiężny garnek rozpalony do białości. Barbarzyńca z trudem podniósł się na kolana i objął rękami pulsujące skronie. Głowa bolała go jak po ciosie pałką.

Podźwignął się na nogi i przez chwilę stał chwiejnie. Mrużąc oczy przed nieznośnym blaskiem, rozejrzał się wokół zamglonym wzrokiem. Był sam w tej spalonej słońcem, pozbawionej wody ziemi.

Ochryplym szeptem przeklął przesądnych Zuagirów. Cała banda odjechała, zabierając ze sobą konie i prowiant. Obok leżały dwa worki z wodą. Te worki z kozłej skóry, kolczuga, chałat i miecz to wszystko, co zostawili mu dawni towarzysze.

Conan osunął się na kolana i wyciągnął zatyczkę z jednego worka. Zamieszał ciepławy płyn i splukał okropny smak w ustach pijąc oszczędnymi łykami, po czym niechętnie wcisnął

korek z powrotem, nie ugasiwszy do końca dręczącego pragnienia. Chociaż marzył o tym, by opróżnić zawartość worka na obolałą głowę, rozsądek powstrzymywał go przed tym krokiem.

Jeśli miał wyjść z życiem z tego piaszczystego piekła, będzie mu potrzebna każda kropla wody.

Mimo oszołomienia spowodowanego potwornym bólem głowy zrozumiał, co się stało.

Jego Zuagirowie bardziej obawiali się tej dziwnej krainy niż swego wodza. Popełnił poważny, może nawet fatalny błąd, lekceważąc ostrzeżenia Gomera. Nie docenił wpływu, jaki miały przesady na dusze pustynnych wojowników i przecenił swoją władzę nad nimi. Cymeryjczyk jęknął głucho i przeklął swoją arogancję i upór. Jeśli się nie poprawi, któregoś dnia może zapłacić za to życiem.

— Może ten dzień właśnie nadszedł. Conan trzeźwo rozważył szansę. Nie były zbyt duże.

Przy oszczędnym racjonowaniu wody wystarczy mu na dwa dni, najwyżej na trzy, jeśli zaryzykuje popadnięcie w szaleństwo i jeszcze bardziej ograniczy racje. Nie miał żywności ani konia, co oznaczało, że musi liczyć na własne nogi.

No dobrze, pójdzie pieszo. Tylko w którą stronę? Oczywiście odpowiedzią było: z powrotem drogą, którą przybył. Jednak pewne racje przemawiały przeciw temu rozwiązaniu.

Najistotniejszym czynnikiem była odległość. Od ostatniego wodopoju dzieliły go dwa dni konnej jazdy. Piechur może poruszać się w najlepszym wypadku o połowę wolniej od jeźdźca. To oznaczało, że gdyby zawrócił i ruszył drogą, którą tu przybył, to musiałby co najmniej przez dwa dni być się bez wody...

Conan zastanawiał się, trąc nieogoloną szczękę i próbując zapomnieć o łupaniu pod czaszką. Odurzony umysł z trudem formował rozsądne myśli. Powrót po własnych śladach nie był najlepszym pomysłem, to pewne, skoro najbliższa woda znajdowała się o cztery dni marszu...

Barbarzyńca spojrzął przed siebie, na ginące za horyzontem ślady uciekającego Zamoranina.

Może powinien dalej go ścigać? Wprawdzie trop wiódł w głąb niezbadanej krainy, ale właśnie fakt, że kraina była niezbadana przemawiał za takim postępowaniem. Tuż za najbliższymi wydmiami mogła czekać oaza.

W tych okolicznościach trudno było dokonać wyboru, ale Conan wybrał wyjście, które wydawało mu się lepsze. Narzuciwszy chałat na okryte kolczugą ramiona i zawiesiwszy na plecach sakwy z wodą i miecz ruszył za Vardanesem.

Słońce zawisło nieruchomo na rozpalonym do białości niebie. Spoglądało w dół niczym oko jakiegoś gigantycznego cyklopa, patrząc na maleńką, wolno poruszającą się postać, która brnęła z trudem przez czerwone piaski. Potrzebowało całej wieczności, aby spłynąć po ogromnym łuku pustego nieba ku zachodowi, by umrzeć tam na purpurowym, pogrzebowym stosie. Szkarłatna, wieczorna luna cicho zasnuła nieboskłon i zesłała wydmom odrobinę błogiego chłodu wraz z miękkimi cieniami i lekkim wietrzykiem.

Conan nie czuł już nóg. Zmęczenie przytępiło wszelki ból — barbarzyńca kuśtykał

naprzód na kończynach zeszywniałych jak dwa kamienne słupy poruszane jakąś magiczną siłą. Opuściwszy głowę na masywną pierś włókł się noga za nogą, marząc o odpoczynku, lecz wiedząc, że teraz, w wieczornym chłodzie, może przebyć jeszcze długi dystans.

Pył dławił go w gardle, a śniadą twarz pokrywała gruba, czerwona maska przylepionego do skóry piasku. Godzinę temu wypił łyk wody; następny mógł wypić nie wcześniej, jak po zapadnięciu zmroku, kiedy nie będzie mógł już dostrzec śladów Yardanesa i iść dalej.

Tej nocy dręczyły go dziwne, koszmarne sny, pełne niewyraźnych, trójjokich bestii, smagających go rozżarzonymi do czerwoności łańcuchami.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy otworzył oczy. Wiedział, że czeka go kolejny gorący dzień. Podniósł się z trudem. Każdy mięsień bolał go, jakby wepchnięto weń małe igły. Wstał jednak, wypił łyk wody i ruszył naprzód.

Wkrótce stracił poczucie czasu, lecz nieugięta wola wiodła go dalej i dalej; zataczał się, lecz uparcie szedł po śladach kopyt.

Jego umysł pograżył się w urojeniach, ale wciąż kołatały się w nim trzy myśli: trzeba iść po śladach, oszczędzać wodę i utrzymać się na nogach. Wiedział, że jeżeli upadnie, to nie zdoła się już podnieść. A jeśli tak się stanie, jego kości pozostaną tu, by na wieki bieleć w czerwonym piasku pustyni.

NIEŚMIERTELNA KRÓLOWA

Vardanes z Zamory stanął na szczycie pagórka i oniemiały ze zdziwienia patrzył na roztaczający się przed nim widok.

Od pięciu dni, od czasu gdy Turańczycy zastawili nieudaną zasadzkę na Zuagirów, jechał jak szalony, ledwie odważając się zatrzymać na godzinę czy dwie, aby dać wierzchowcowi odpocząć. Gnał go strach tak przeraźliwy, że niemal odbierający zmysły.

Dobrze znał mściwość pustynnych rabusiów. Wyobraźnia podsuwała mu przerażające sceny tortur, jakim poddadzą go dawni kompani, jeśli wpadnie w ich ręce. Kiedy zobaczył, że szala zwycięstwa przechyla się na korzyść Zuagirów, pogalopował w głąb pustyni. Wiedział, że ten diabeł wcielony, Conan, zmusi Boghrę Chana do wyjawienia imienia zdrajcy i natychmiast rzuci się za nim w pogoń razem ze zgrają żądnych krwi jeźdźców. Niełatwo też zrezygnują z pogoni za towarzyszem, który ich zdradził.

Jego jedyną szansą była ucieczka w nieprzebyte obszary Shan-e-Sorkh. Chociaż Vardanes był urodzonym w mieście, kulturalnym i wykształconym Zamoraninem, koleje losu rzuciły go między synów pustyni, których dobrze poznał. Wiedział, że już sama nazwa „Czerwone Pustkowia” przejmuje ich grozą i że ich prymitywna wyobraźnia zaludnia pustynię wszelkimi potworami i demonami, jakie człowiek wymyślił. Nie obchodziło go, dlaczego pustynne szczepy tak bardzo obawiały się Czerwonego Pustkowie, wystarczyło mu, że strach powstrzyma kompanów przed pościgiem.

Jednak Zuagirowie nie zawrócili. Dzielili go od nich tak niewielka odległość, że nieustannie widział za sobą chmurę kurzu wzbijanego kopytami ich koni. Dzień po dniu Vardanes gnał naprzód, do utraty sił, było tylko utrzymać tę dzielącą ich odległość.

Po pięciu dniach nie wiedział, czy wciąż jeszcze jada jego tropem, lecz wkrótce nie miało to już mieć żadnego znaczenia. Skończyła mu się żywność i woda; pędziła go teraz już tylko nadzieja znalezienia na tym bezkresnym pustkowie oazy lub źródła.

Jego koń, oblepiony zaschniętym, czerwonym błotem tam, gdzie kurz pustyni przywarł do spienionych boków, chwiejnie kroczył naprzód, jakby poruszany czarodziejską siłą. Czarna klacz była bliska śmierci. Tego dnia upadła już siedem razy i tylko ciosy bata zmusiły ją do powstania. Wierzchowiec nie był już w stanie nieść go dalej i Vardanes musiał iść pieszo, ciągnąc rumaka za uźdę.

Czerwone Pustkowia pobrało okrutną daninę od Zamoranina: urodziwy młodzieniec stał

się żywym szkieletem, poczerniałym od słońca. Spod zmierzwionych, zlepionych loków spoglądały nabiegłe krwią oczy. Spuchniętymi i popękanyimi wargami mamrotał nieustannie modlitwy do Isztar, Seta, Mitry i tuzina innych bogów.

Nagle, gdy z utrudzonym wierzchowcem wdrapał się na szczyt kolejnego rzędu wydm, spojrzął w dół i zobaczył bujną zieleń doliny, usianej kępami szmaragdowozielonych palm daktylowych.

Pośród tej żyznej doliny wznosiło się małe, otoczone murami miasteczko. Kopulaste dachy i przysadziste wieże wystawały spoza ozdobionego stiukami muru, w którym tkwiły wielkie wrota, osadzone na zawiasach z polerowanego brązu, lśniącego w słońcu jak czerwony płomień.

Miasto wśród tej nieprzebytej pustyni? Żyzna dolina z chłodnym cieniem wielkich drzew, bujną murawą i kępami wiotkich lotosów — w samym sercu tej jałowej ziemi? To niemożliwe!

Vardanes zadrżał, zamknął oczy i oblizał spierzchnięte wargi. To musi być fatamorgana, złudzenie rozkojarzonych zmysłów! Z zakamarków pamięci wygrzebał okruch na pół

zapomnianej wiedzy, nabytej przed laty, gdy jako młodzik pobierał nauki. Fragment legendy o Przeklętym Akhlat.

Wyteżył pamięć, usiłując przypomnieć sobie coś więcej. Wyczytał to w starej, stygijskiej księdze, którą jego nauczyciel przechowywał w zamkniętej skrzyni z sandałowego drzewa.

Nawet jako jasnooki młodzik Vardanes zdradzał ciekawość, chciwość i złodziejskie ciągoty.

Pewnej ciemnej nocy otworzył zamek wytrychem, po czym z nabożną czcią i odrazą przejrzał

złowrogą księgę, kryjącą mroczną wiedzę minionych wieków. Skreślony pajęczym pismem na pergaminie ze smoczej skóry tekst opisywał dziwne obrzędy i ceremonie. Na kartach księgi roilo się od tajemniczych hieroglifów sięgających czasów dawnych królestw zła — Lemurii i Acheronu, które rozkwitły i upadły u zarania dziejów.

Na pokreślonych pentagramami stronicach zapisano fragmenty różnych ponurych ceremonii, których celem było przywoływanie koszmarnych demonów z mrocznych otchłani leżących za gwiazdami, z chaosu, jaki według starożytnych magów panował poza granicami kosmosu. Jeden z tych ceremoniałów napomynał tajemniczo o „przeklętym, nawiedzonym przez demony Akhlat, wśród Czerwonej Pustyni stojącym, kędy opętani rządzą władzy magowie przywołali Demona Otchłani ku swej wieczystej żalości..., Akhlat, którym Nieśmiertelna włada po dziś dzień, szerząc strach i grozę..., skazane na zagładę, przeklęte Akhlat, od którego nawet bogowie się odwrócili w zgorzeniu, zmieniając otaczającą je ziemię w wypalony ugór...”

Vardanes wciąż siedział w piasku przy zdychającej klaczy, kiedy wojownicy o posępnych twarzach pochwycili go i znieśli z pierścienia skalistych wzgórz otaczających miasto... do zielonych ogrodów, daktylowych palm i kęp lotosu... do wrót Przeklętego Akhlat.

REKA ZILLAH

Conan budził się wolno, ale tym razem było zupełnie inaczej. Poprzednio przebudzenie było bolesne — z trudem podnosił ciężkie powieki, aby zaraz zmrużyć je przed wściekłym blaskiem słońca i powoli, z trudem stawał na nogi, aby chwiejnie ruszyć przez rozprażone piaski.

Tym razem budził się lekki, z błogim uczuciem sytości i wygody. Spoczywał na miękkich, jedwabnych poduszkach. Gęste markizy zakończone frędzlami osłaniały jego ciało przed słońcem. Leżał na pościeli, czysty i nagi, jeśli nie liczyć świeżej przepaski biodrowej z białego płótna.

Cymeryjczyk obudził się gotów do walki lub ucieczki, jak zwierzę, którego egzystencja w dziczy zależy od umiejętności przeżycia. Spojrzał wokół nie wierząc własnym oczom. Jego pierwszą myślą było, że śmierć dopadła go w końcu i jego duch został wezwany do barbarzyńskiego raj, w którym Crom, bóg jego ludu, siedzi na tronie otoczony tysiącem herosów.

Obok jedwabnego pościeli zobaczył srebrny dzban napełniony świeżą, czystą wodą.

Parę chwil później Conan podniósł ociekającą twarz znad dzbana przekonany, że w jakimkolwiek raj się znalazł, jest to raj rzeczywisty i namacalny. Pił chciwie, chociaż brak pieczenia w gardle i ustach świadczył, że już nie dręczyło go okropne pragnienie towarzyszące mu podczas pustynnej wędrówki. Jakaś karawana musiała go znaleźć na pustyni i umieścić w tym namiocie, żeby odzyskał zdrowie i siły. Opuszczając wzrok spostrzegł, że ktoś obmył mu tors i kończyny z czerwonego kurzu pustyni i nasmarował kojąco oparzenia maścią. Kimkolwiek byli jego wybawcy, karmili go i troskliwie się nim opiekowali, kiedy leżał nieprzytomny, mającąc.

Rozejrzał się po namiocie. Jego wielki, dwusieczny miecz leżał opodal, na hebanowej skrzyni. Conan ruszył ku niej czujnie jak ryś, cicho stawiając bose stopy... i zamarł słysząc za sobą brzęk zbroi.

Jednak tego melodyjnego dźwięku nie spowodował żaden wojownik, lecz smukła dziewczyna o sarnich oczach, która właśnie weszła do namiotu i stała patrząc na Cymeryjczyka. Ciemne, lśniące włosy spływały jej aż do pasa, a ów cichy brzęk wydawały wplecione w nie, maleńkie srebrne dzwoneczki.

Conan ocenił dziewczynę jednym spojrzeniem: młoda, jeszcze prawie dziecko, szczupła i ładna, o białym ciele błyskającym niepokojąco przez przejrzyste szaty. Na jej smukłych, wąskich dłoniach błyszczały wspaniałe klejnoty. Sądząc po złotych obręczach kolczyków i wielkich łagodnych oczach, nieznajoma należała do któregoś z ludów shemickich.

— Och! — wykrzyknęła. — Jesteś zbyt słaby, żeby wstawać! Musisz jeszcze odpocząć i odzyskać siły.

Mówiła językiem, który był jakąś odmianą shemickiego, pełnym archaizmów, ale na tyle do niego

zbliżonym, że Cymeryjczyk mógł ją zrozumieć.

— Głupstwo, dziewczyno, nic mi nie jest — odparł w tej samej mowie. — Czy to ty mnie przyniosłaś? Od jak dawna tu jestem?

— Nie, mój panie, znalazł cię mój ojciec. Jestem Zillah, córka Enosha, władcy Przeklętego Akhlat. Znaleźliśmy twoje ciało wśród odwiecznych piasków Pustkowia trzy dni temu — odparła, zasłaniając oczy jedwabistymi rzęsami.

„Bogowie! — pomyślał — ależ śliczna dziewczka.” Od tygodni nie widział kobiety; teraz otwarcie podziwiał pełne zarysy jej gibkiego ciała, ledwie ukryte przez przezroczyście szaty.

Na policzki dziewczyny wypłynął delikatny rumieniec.

— Więc to twoje śliczne ręce pielęgnowały mnie, Zillah? — zapytał. — Dziękuję tobie i twemu ojcu za łaskę. Byłem bliski śmierci. Cóż za przypadek sprawił, że mnie znaleźliście?

Conan daremnie usiłował odszukać w pamięci jakieś miasto przypominające nazwą Przeklęte Akhlat, chociaż zawsze wydawało mu się, że zna wszystkie miasta południowych pustyń, jeżeli nie ze słyszenia, to w wyniku odbytych podróży.

— W rzeczy samej, nie był to przypadek: szukaliśmy cię — powiedziała Zillah.

Conan zmrużył oczy i dreszcz przebiegł mu po plecach; czuł kryjące się za tymi słowami niebezpieczeństwo. Jakaś nieuchwytna zmiana w rysach jego posępnej, nieruchomej twarzy powiedziała dziewczynie, że ma przed sobą człowieka o gwałtownym, dzikim usposobieniu, niepodobnego do łagodnych, cywilizowanych mężczyzn, jakich znała.

— Nie mieliśmy na myśli nic złego! — zaprotestowała, unosząc rękę obronnym gestem.

— Chodź za mną, panie, a mój ojciec wszystko ci wyjaśni.

Conan przez moment stał spięty, zastanawiając się, czy Vardanes nie nasłał na niego tych ludzi. Złoto, które otrzymał od Turańczyków wystarczyłoby, żeby kupić z pół setki Shemitów.

Później rozluźnił mięśnie, starając się zagłuszyć w sobie budzącą się żądzę krwi. Wziął miecz i zarzucił pas na ramię.

— A więc prowadź mnie do Enosha, dziewczyno — rzekł chłodno. — Wysłucham jego opowieści!

Wyprowadziła go na zewnątrz. Conan wyprostował nagie ramiona i poszedł za nią.

DEMON Z ZAŚWIATÓW

Kiedy Zillah przyprowadziła Conana przed jego oblicze, Enosh ślęczał nad postrzępionym, wyblakłym papirusem, siedząc w czarnym fotelu z wysokim oparciem. Jego namiot był

obwieszony ciemnopurpurowymi gobelinami; grube dywany tłumiły odgłos kroków. Na stojaku, którego podstawę tworzyły splecione cielska żmij z polerowanego mosiądzu, spoczywało czarne lustro o dziwnym kształcie. W jego hebanowej tafli migotały upiorne błyski.

Enosh wstał i dwornie powitał gościa. Władca miasta był wysokim, starszym mężczyzną, przygarbionym, choć starającym się trzymać prosto. Łysą czaszkę zakrywał zawojem ze śnieżnobiałego płótna. Jego twarz była pomarszczona ze starości, a czoło pobrużdżone od trosk; w czarnych oczach widniało znużenie i smutek.

Poprosił gościa, aby usiadł i kazał Zillah przynieść wina. Kiedy zakończono formalności, Conan zapytał nagle:

— W jaki sposób udało się wam mnie znaleźć, szejku?

Enosh zerknął na czarne lustro.

— Jakkolwiek nie jestem czarownikiem, mój synu, umiem robić użytek z kilku niezupełnie naturalnych sposobów.

— Jak to możliwe, że szukaliście mnie?

Enosh uniósł chudą, poznaczoną błękitnymi żyłkami dłoń, uspokajając podejrzliwego wojownika.

— Bądź cierpliwy, przyjacielu, a wszystko wyjaśnię — rzekł spokojnym, głębokim głosem.

Sięgnąwszy po niski taboret, odsunął na bok papirus i wziął podany srebrny puchar z winem.

Kiedy wypili, starzec rozpoczął opowieść:

— Przed wiekami chytry czarnoksiężnik z ziemi Akhlat uknuł spisek przeciw starej dynastii, która rządziła tą krainą od czasów upadku Atlantydy — rzekł powoli. — Przebiegłymi słowy przekonał ludzi, że ich władca — słaby, samolubny człowiek — jest wrogiem ludu, tak że powstałi i rozszarpali króla na strzępy. Obwoławszy się kapłanem i prorokiem Nieznanych Bogów, udawał, że doznał objawienia. Głosił, że niebawem jeden z bogów osobiście zstąpi na ziemię, aby rządzić Świętym Akhlat — bo tak się wtedy nazywało.

Conan prychnął.

— Wygląda na to, że wy, Akhlatanie, jesteście równie łatwowierni jak inne znane mi nacje.

Stary człowiek uśmiechnął się ze znużeniem.

— Zawsze chętnie wierzy się w coś, czego się pragnie. Jednak plan tego czarnoksiężnika był straszniejszy, niż można by sobie wyobrazić. Za pomocą okropnych, tajemniczych zaklęć przywołał na ziemię demona z Otchłani, aby mu służył. Zniewoliwszy demona swoją sztuką czarodziejską, przedstawił go ludowi jako boginię, a siebie jako wyraziciela jej boskiej woli.

Zdjęci nabożną czią mieszkańcy Akhlat niebawem jęczeli gnębieni przez tyrana o wiele gorszego niż przedstawiciel starej dynastii.

Conan wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu.

— Często widziałem jak w wyniku przewrotów rządy obejmowali jeszcze gorsi władcy.

— Możliwe. W każdym razie tak było w tym wypadku. A z biegiem lat sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, bowiem czarnoksiężnik stracił kontrolę nad koszmarem, którego przyzwał z zaświatów. Demon zabił go i sam objął rządy. I władza po dziś dzień... —zakończył cicho.

Conan drgnął.

— A więc ten stwór jest nieśmiertelny? Jak dawno się to zdarzyło?

— Minęło więcej lat niż ziaren piasku na tej pustyni — rzekł Enosh. — I straszliwa bogini wciąż rządzi niepodzielnie w Przeklętym Akhlat. Sekret jej władzy polega na tym, że czerpie siłę życiową z każdej żyjącej istoty. Cała ta ziemia wokół nas była niegdyś zieloną, żyzną krainą, w której strumienie szemrały wśród daktylowych palm, a na trawiastych pagórkach pasły się liczne stada. Ta wampirzyca wysysała siły vitalne całej krainy, z wyjątkiem doliny, w której stoi miasto. Oszczędziła Akhlat, ponieważ pozbawiona żywych stworzeń, które może wysysać, nie mogłaby utrzymać swej obecnej postaci i musiałaby powrócić do Otchłani.

— Na Croma! — szepnął Conan, wysuszając puchar.

— Już od wieków — ciągnął Enosh — ta kraina zmienia się w martwe i jałowe pustkowie.

Nasza młodzież zaspokaja straszliwe pragnienie bogini, tak samo jak nasze stada. Jej pragnienie jest nienasycone. Codziennie żąda ofiary i z każdym dniem jest ich mniej. Kiedy ustawicznie atakuje jedną i tę samą ofiarę, może to trwać od kilku dni do dwóch tygodni.

Najdzielniejsi i najsilniejsi znoszą nawet i trzydzieści dni, zanim wyczerpie ich siłę życiową i musi dostać następne stworzenie.

Conan pogłaskał rękojeść miecza.

— Na Croma i Mitrę, człowieku, dlaczego nie zabijecie tego potwora?

Starzec pochylił się ze znużeniem.

— Ona jest nieśmiertelna, nie można jej zranić — rzekł cicho. — Jej ciało to tylko zewnętrzna powłoka, utrzymywana nieugiętą siłą woli. Miecz czy strzała mogą zranić tylko to ciało; zagojenie rany to dla niej kwestia chwili. A siła życiowa, którą czerpie od innych, zostawiając z nich tylko suche skorupy, daje jej straszliwą moc odmładzania swojej postaci.

— Spalcie ją — warknął Conan. — Podpalcie jej pałac albo posiekajcie ją na kawałki i wrzucie do ogniska!

— To niemożliwe. Chronią ją mroczne siły piekielnej magii. Paraliżuje swoim spojrzeniem każdego, na kogo spojrzy. Kiedyś aż stu wojowników zakradło się do Czarnej Świątyni, pragnąc położyć kres tej ponurej tyranii. Nie zostało po nich nic prócz żywego lasu nieruchomych postaci, służących jako strawa nienasyconemu potworowi.

Cymeryjczyk poruszył się niespokojnie.

— To dziwne, że jeszcze ktoś pozostał w tej przeklętej krainie! — zagrział barbarzyńca.

— Jak to się stało, że ta pijawka jeszcze nie wysała do sucha wszystkich mieszkańców tej doliny? I dlaczego nie zapakowaliście swoich rzeczy w węzłki i nie uciekliście z tego nawiedzonego przez demona miejsca?

— W rzeczy samej, niewielu nas pozostało; ona spożywa nas i nasze stada szybciej, niż natura zdąży wyrównać ubytki. Przez wieki bogini zaspokajała swoją żądzę czerpiąc siłę życiową z kielkujących roślinek, oszczędzając ludzi. Kiedy ziemia zmieniła się w pustynię, żywiła się naszymi stadami, później naszymi niewolnikami, a w końcu zaczęła się żywić samymi Akhlatanami. Niebawem zabraknie nas i Akhlat stanie się wymarłym miastem. Nie możemy opuścić tej ziemi, bo nie pozwala nam na to bogini, wyznaczając granice, których nie jesteśmy w stanie przekroczyć.

Conan potrzęsnał głową, tak że nieprzycięta grzywa omiotła jego nagie, brązowe ramiona.

— Tragiczna jest twoja opowieść, starcze. Dlaczego mi ją opowiadasz?

Ze względu na dawne proroctwo — powiedział spokojnie Enosh, podnosząc z taboretu postrzępiony i wyblakły rulon.

— Jakie proroctwo?

Enosh rozwinął częściowo rulon i wskazał palcem na rzędy liter tak dziwnych, że Conan nie mógł ich przeczytać, mimo że znał dość dobrze pismo shemickie.

— Proroctwo głosi — powiedział Enosh — że gdy dopełni się czas, kiedy nasz kres będzie bliski, Nieznani Bogowie, od których nasi przodkowie odwrócili się, aby oddawać cześć fałszywej bogini, ochłoną z gniewu i zesłają wybawcę, który zwycięży demona i zakończy jej panowanie. Ty, Conanie z Cymerii, jesteś tym wybawcą...

ŻYWY TRUP

Przez długie dni i noce Vardanes leżał w ciemnym lochu pod Czarną Świątynią Akhlat.

Wrzeszczał, błagał, szlochał, klął i modlił się, lecz strażnicy w spiżowych hełmach spoglądali na to znużonym wzrokiem i z kamiennymi twarzami, nie zwracając nań wcale uwagi, chociaż dbali o zaspokajanie jego potrzeb. Nie odpowiadali na żadne pytania. Nie dali się też przekupić, co bardzo go zdumiało. Jako typowy Zamoranin Vardanes nie potrafił sobie wyobrazić, że są ludzie, którzy nie pragną się wzbogacić; a jednak ci dziwni wojownicy ze swą staromodną mową i antycznymi zbrojami do tego stopnia nie interesowali się srebrem, które otrzymał od Turańczyków jako zapłatę za swoją zdradę, że nawet zostawili mu w kącie celi napełnione monetami juki.

Jednak dobrze się nim opiekowali: wykąпали go i nasmarowali pęcherze kojącym balsamem. I karmili obficie pieczonym mięsiwem, owocami i słodyczami. Dali mu nawet wina. Poznawszy w swoim czasie inne więzienia, Vardanes pojmował niezwykłość sytuacji.

Czyżby — zastanawiał się niespokojnie — tuczylu go na rzeź?

Wreszcie któregoś dnia strażnicy wyprowadzili go z celi. Zamoranin uznał, że w końcu zostanie postawiony przed obliczem sędziego, aby odpowiedzieć za jakieś urojone przestępstwa, o które go oskarżają. Nabrał otuchy. Jeszcze nigdy nie spotkał urzędnika, którego łask nie można by kupić za srebro, które miał w jukach!

Jednak zamiast do sądu doprowadzono go mrocznymi i krętymi korytarzami przed potężne drzwi z zaśnieżonego brązu, ogromne niczym wrota samego Piekła. Brama ta była zamknięta na trzy rygle i wystarczająco mocna, aby powstrzymać szturm całej armii. Z

widocznym na twarzach napięciem strażnicy w nerwowym pośpiechu otwarli wielkie wrota i wpełchnęli więźnia do środka.

Wierzeje zamknęły się za nim ze szczękiem. Zamoranin znalazł się we wspaniałej sali z polerowanego marmuru. Wnętrze tonęło w gęstym, purpurowym półmroku i grubej warstwie kurzu. Wszędzie widoczne były dowody niszczącego działania czasu. Wiedziony ciekawością Vardanes ruszył naprzód.

Czy była to wielka sala tronowa, czy też nawa jakiejś gigantycznej świątyni? Nie potrafił

odgadnąć. Najdziwniejszą rzeczą w tej rozległej, mrocznej sali, oprócz rzucającego się w oczy zaniedbania, były posągi, których gromady stały wszędzie wokół. W niespokojnym umyśle Vardanesa kłębił się rój niepokojących pytań.

Pierwszą zagadką był materiał, z którego zrobiono posągi. Podczas gdy salę zbudowano z kosztownego marmuru, statuy wykonano z jakiegoś zwykłego, szarego, porowatego kamienia, którego

nie potrafił nazwać. Cokolwiek to było, materiał nie zaliczał się do atrakcyjnych. Wyglądał jak spróchniałe drewno, chociaż w dotyku był twardy jak skała.

Drugą tajemnicą był niezwykley talent nieznanego rzeźbiarza, którego zręczne ręce stworzyły te arcydzieła. Posągi wyglądały jak żywe; nawet najdrobniejsze szczegóły oddano nieprawdopodobnie wiernie: każda fałda szaty wydawała się być z prawdziwego materiału, widoczne były nawet pojedyncze włókna. Ta zdumiewająca wierność odnosiła się także j do samych posągów. Wygląd i ustawienie tych figur z szarawego, podobnego do gipsu kamienia nie miało w sobie nic heroicznego czy majestatycznego. Stały w naturalnych pozach, setkami i tuzinami, tu i tam, bez ładu i składu. Przedstawiały wojowników i szlachtę, dziewczyny i młodzieńców, zgrzybiałych starców i stare baby, dorastające dzieci i niemowlęta. Najbardziej niepokojące było to, że kamienne rysy każdej postaci zastygły w grymasie bezgranicznego przerażenia.

Niebawem Vardanes zdał sobie sprawę, że w sali rozchodzi się dziwny szmer, coś jakby wielogłosowy szept, jednak tak słaby, że nie zdołał rozróżnić słów. Ten dziwny chór zdawał

się dobiegać z największego gąszczu posągów. W miarę jak Vardanes zbliżał się do środka sali, zaczynał rozróżniać poszczególne odgłosy, które składały się na ten dźwięk: ciche, rozdzierające łkania, słabe jęki rozpacz, mamrotanie modlitw, ochrypty śmiech, monotony potok przekleństw. Te odgłosy zdawały się wydobywać z wielu ust, ale Zamoranin nie dostrzegł nigdzie żywej duszy. Mimo że bacznie rozglądał się wokół, nie spostrzegł w sali nikogo; był sam na sam z tysiącami posągów.

Pot wystąpił mu na czoło i skronie. Ogarnął go paniczny lęk. Z całego serca zapragnął

znaleźć się o tysiąc staj od tej przeklętej świątyni, w której niewidzialne istoty jęczały, płakały, mamrotały i śmiały się niesamowitym śmiechem.

Wtem ujrzał stojący na środku sali, górujący nad posągami złoty tron. Pożądliwym okiem złowił złoty błysk. Przecisnął się przez gąszcz posągów.

Na wspaniałym tronie spoczywało coś... może pomarszczona mumia zmarłego przed wiekami króla? Piszczelę rąk przyciskała do zapadniętej piersi. Od stóp do głów chude ciało spowijał zakurzony całun. Czaszkę okrywała maska z kutego złota przedstawiająca twarz kobiety o nieziemskiej urodzie. W oczach Vardanesa zapalił się cheiwy błysk. Zamoranin zapomniał o lęku dostrzegłszy osadzony na czole złotej maski kamień — ogromny czarny szafir lśniący jak trzecie oko w jasnej twarzy. Klejnot niezwykley urody, wart fortunę.

Stojąc u stóp tronu Vardanes patrzył nań pożądliwie. Zamknięte oczy maski nadawały jej wyraz pogrążonej we śnie. Słodko i głęboko spała ta piękność o pełnych wargach. Ogromny, czarny szafir błyszczał kusząco... Zamoranin wyciągnął po niego rękę.

Drżącymi palcami zerwał maskę. Ujrzał pod nią brązową, wyschniętą twarz o zapadniętych policzkach, szerniałą i twardą jak stary rzemień. Zadrżał, widząc złowrogo wykrzywione wargi.

Mumia otwarła oczy i spojrzała na niego.

Z nieartykułowanym okrzykiem Vardanes zatoczył się w tył; maska wypadła mu z pozbawionych czucia palców i z trzaskiem uderzyła o marmur posadzki. Para nieruchomych oczu patrzyła na niego szyderczo. A potem otworzyło się trzecie oko...

TWARZ GORGONY

Conan cicho jak wielki kot skradał się przez las posągów, zaglądając w pokryte warstwą kurzu, cieniste nawy. Słabe światło lśniło na ostrej klindze wielkiego miecza, który dzierzył w dłoni. Nieustannie zerkał na boki, czując niepokojące mrowienie u nasady karku. To miejsce cuchnęło śmiercią; w powietrzu wisiał opar strachu.

Dlaczego dał się namówić Enoshowi na tę szaleńczą eskapadę? Nie był przecież zbawcą, wybawicielem ze starej przepowiedni ani świętym mężem zesłanym przez bogów, aby uwolnić Akhlata od nieśmiertelnego demona. Kierowała nim jedynie chęć zemsty.

Jednak mądry, stary szejek mówił tak dużo, że swoją wymową zdołał przekonać Conana, by podjął się tego ryzykownego zadania. Enosh użył dwóch argumentów, które przekonały nieufnego barbarzyńcę. Jednym z nich było to, że znalazłszy się w dolinie, Conan stał się więźniem bogini i nie będzie mógł ruszyć dalej, dopóki jej nie zabije. Drugim był fakt, że zamorańskiego zdrajcę więziono w podziemiach Czarnej Świątyni i niebawem czekał go nędzny koniec, jaki — o ile nie uda się temu jakoś zaradzić — spotka wszystkich mieszkańców doliny.

Tak więc Conan dostał się do świątyni sekretnym przejściem, które pokazał mu Enosh.

Wszedł drzwiami ukrytymi w ścianie tej rozległej, mrocznej sali — w czasie, gdy Vardanes miał stanąć przed boginią.

Podobnie jak Zamoranin Conan także zauważył niespotykany realizm szarych posągów, ale w przeciwieństwie do Vardanesa, znał rozwiązanie tej zagadki. Odwrócił oczy od kamiennych twarzy i ich przerażenia. On również słyszał żalosne płacze i jęki. Gdy zbliżał się do środka ogromnej sali, łkania stały się głośniejsze. Zobaczył złoty tron i spoczywającą na nim mumię. Cicho zaszedł z boku.

Jeden z mijanych posągów odezwał się do niego i barbarzyńca o mało nie wrzasnął ze zdumienia. Zimny dreszcz przeleciał mu po plecach i pot wystąpił na czoło. Zrozumiał skąd rozchodziły się żalosne dźwięki i wstrząsnął się z odrazy. Ludzie stojący bliżej tronu nie byli całkiem martwi. Aż do szyi obrócili się w kamień, ale ich głowy żyły własnym życiem.

Spoglądali na Cymeryjczyka z rozpaczą, błagając, aby zatopił miecz w ich jeszcze nie skamieniałych czaszkach.

Nagle Conan usłyszał przeraźliwy krzyk. Głos był mu znany, należał do Vardanesa.

Czyżby bogini zabiła Zamoranina, zanim barbarzyńca zdążył wywrzeć na nim swą zemstę?

Conan skoczył naprzód.

Ujrzał okropny widok. Vardanes stał przed tronem wybałuszając oczy i bełkocząc coś bez związku. Conan usłyszał zgrzyt kamienia i spojrział w dół. Zdrajca stał jak przemurowany do posadzki, a jego

stopy wolno przybierały szarawą barwę. Na oczach zdumionego Cymeryjczyka żywe ciało bladło i szarzało. Fala szarości wolno sunęła w górę, do kolan Vardanesa i po chwili jego nogi zmieniły się w popielatoszary kamień. Zamoranin próbował

zrobić krok — lecz nie zdołał. Wydał przeraźliwy wrzask, a w oczach pojawił mu się paniczny lęk; strach, jaki można zobaczyć w ślepiach schwytanego w pułapkę zwierzęcia.

Zasiadająca na tronie bogini wydała cichy, suchy chichot. Patrząc na nią Cymeryjczyk ujrzał, jak wyschnięte, pomarszczone ramiona wypełniają się i nabierają kształtu, a ponury brąz śmierci ustępuje ciepłemu różowi życia. Z każdym haustem energii, jaką Gorgona wysysała z ciała Vardanesa, jej własne ciało odzyskiwało życie.

— Crom i Mitra! — syknął Conan.

Skupiwszy całą swą siłę woli na skamieniałym częściowo Zamoraninie, Gorgona nie zwracała uwagi na barbarzyńcę. Jej ciało szybko odzyskiwało kształt. Rozkwitała: biodra i uda zaokrągliły się pod szarym całunem, a pełne piersi napięły cienki materiał.

Rozprostowała ramiona. Wilgotne, czerwone usta rozchyliły się w nowym wybuchu śmiechu — tym razem melodyjnego i dźwięcznego.

Szara fala sięgnęła już Vardanesowi do pasa. Conan nie wiedział, czy bogini zamierza pozostawić go tak, jak innych stojących najbliżej jej tronu, czy też wyssać go do cna.

Zamoranin był młody i energiczny — dla bogini musiała to być prawdziwa uczta.

Kiedy skamienienie sięgnęło Vardanesowi do piersi, nieszczęśnik krzyknął okropnie — i był to najstraszliwszy dźwięk, jaki Conan słyszał z ludzkich warg. Barbarzyńca zareagował

nań zupełnie instynktownie.

Jednym susem doskoczył do tronu; w nikłym świetle błysnęło spadające ostrze. Głowa Vardanesa spadła z ramion i z głuchym stukiem potoczyła się po marmurowej posadzce.

Pod wpływem uderzenia ciało Zamoranina zachwiało się i upadło. Kiedy z trzaskiem wyrznęło o posadzkę, skamieniałe nogi popękały i skrzesły się. Drobne odłamki prysnęły na boki i krew tryskała z pęknięć obróconego w kamień ciała.

Tak zginął zdrajca Vardanes. Conan sam nie wiedział, czy zabił go powodowany żądzą zemsty, czy też odruchem litości — pragnieniem, by skrócić jego cierpienia.

Odwrócił się do bogini. Nie myśląc o tym co robi, odruchowo podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie.

TRZECIE OKO

Jej twarz była nie ludzko piękna. Miękkie, wilgotne wargi wydawały się pełne i czerwone jak dojrzały owoc. Lśniące, hebanowe włosy spadały na perłowe ramiona i jedwabistymi pasmami spływały na pełne, owalne piersi. Była uosobieniem piękna — dopóki nie zauważyło się wielkiej, czarnej źrenicy na jej czole.

Trzecie oko napotkało spojrzenie Conana i uwięziło je. Było większe niż jakikolwiek ludzki narząd wzroku. Nie można było odróżnić zwykłych części oka: powieki, źrenicy i białka. Było całe czarne. Spojrzenie barbarzyńcy zdawało się w nim tonąć i gubić w bezkresnych oceanach mroku. Patrzył, zapomniawszy o mieczu w dłoni, o całym świecie. To oko było czarne jak pozbawione światła przestrzenie między gwiazdami. Wydało mu się, że stanął na krawędzi czarnej, bezdennej studni, zachwiał się i wpadł w nią. Spadał i spadał w gęste opary mroku, w ogromną, zimną otchłań zupełnej ciemności. Wiedział, że jeśli szybko nie odwróci oczu, będzie na zawsze stracony dla świata.

Zmobilizował całą swą siłę woli. Pot wystąpił mu na czoło, a mięśnie naprężyły się jak węże pod zbrązowiałą od słońca skórą. Dyszał ciężko.

Gorgona roześmiała się cichym, melodyjnym śmiechem, przepojonym zimną, okrutną drwiną. Conan poczerwieniał z wściekłości.

Gwałtownym wysiłkiem woli oderwał wzrok od czarnej źrenicy i wbił go w płyty posadzki. Słaby i oszołomiony, chwiał się na nogach. Zbierając wszystkie siły, aby utrzymać równowagę, zerknął na swoje stopy. Dzięki ci, Cromie! — wciąż były to stopy z krwi i kości, a nie z zimnego, popielatoszarego kamienia. Długa chwila, kiedy stał urzeczony spojrzeniem bogini, trwała w rzeczywistości tylko przez mgnienie oka, zbyt krótko, żeby zimna fala sięgnęła jego stóp.

Gorgona znów się zaśmiała. Stojący ze spuszczoną głową Conan poczuł jej moc. Mięśnie karku naprężyły mu się jak postronki w rozpaczliwym wysiłku, jakiego wymagało utrzymanie pochylonej głowy.

Wciąż spoglądał w dół. Przed nim, na marmurowej posadzce leżała cienka, złota maska z osadzonym w niej olbrzymim szafirem uosabiającym trzecie oko. Nagle patrzący na nią Conan zrozumiał, co powinien zrobić.

Tym razem podniósł nie tylko wzrok, ale i miecz. Ostrze ze świstem przecięło zaste powietrze i spadło na drwiąco uśmiechniętą twarz bogini — rozcinając trzecie oko na dwoje.

Gorgona nie poruszyła się. Dwojgiem pozostałych, niebywale pięknych oczu patrzyła spokojnie na posępnego wojownika. Nagle na jej bladej twarzy zaszła okropna zmiana.

Z przeciętej źrenicy chlusnął ciemny płyn i spłynął po nieziemsko pięknym obliczu, niczym czarne łzy.

W jednej chwili bogini zaczęła się starzeć. Wraz z czarnym płynem wyciekającym z rozciętego oka uchodziły z niej ukradzione siły życia. Skóra pociemniała i pokryła się tysiącem zmarszczek. Pod brodą utworzyły się obwisłe fałdy. Płonące oczy stały się matowe i ślepe. Wspaniałe piersi obwisły i skurczyły się. Smukłe ręce zmieniły się w kościste szpony.

Przez chwilę na tronie chwiała się skarłata, pomarszczona postać niewiarygodnie starej kobiety, po czym przegniłe ciało zmieniło się w suche jak pergamin strzępy i spleśniałe kości.

Te skórzaste resztki osypały się z grzechotem na posadzkę i na oczach Conana zmieniły się w bezbarwny, szary proch.

Przez salę przeleciało jęklive westchnienie. Wokół pociemniało, jakby jakieś niewidzialne skrzydła zasłoniły na moment sączące się z zewnątrz światło. Później wszystko minęło i rozwiął się niewidoczny opar zagrożenia, od wieków unoszący się w świątyni. Teraz była to tylko zakurzona, zaniedbana sala, wolna od nieziemskiego koszmaru.

Posągi pogrążyły się w wieczystym, kamiennym śnie. Kiedy Gorgona umknęła w inny wymiar, jej zaklęcia przestały działać, także i te, które utrzymywały okropną namiastkę życia w skamieniałych ofiarach. Conan odwrócił się i odszedł, zostawiając za sobą pusty tron, garść prochu na posadzce i spękana, bezgłową statuetkę tego, który kiedyś był urodziwym, uśmiechniętym Zamoraninem.

— Zostań z nami, Conanie! — prosiła Zillah cichym, łagodnym głosem. — Teraz, gdy uwolniłeś nas od demona, oczekują cię najwyższe zaszczyty.

Conan uśmiechnął się słabo, wyczuwając w jej głosie coś więcej niż tylko obywatelską troskę o pozyskanie cennego ochotnika do dzieła odbudowy miasta. Zarumieniła się ze zmieszania pod jego śmiałym, płomiennym spojrzeniem.

Enosh przyłączył swój głos do nalegań córki. Zwycięstwo nad demonem odmłodziło go i dodało mu sił. Wyprostował przygarbione plecy i jego chód stał się sprężysty, a w głosie pojawiła się nowa, władcza nuta. Zaproponował Cymeryjczykowi bogactwa, zaszczyty i władzę, jeżeli zdecyduje się pozostać w odrodzonym mieście. Napomknął nawet, że nie miałby nic przeciwko temu, by Conan został jego zięciem.

Jednak barbarzyńca odmówił, dobrze wiedząc, że nie nadaje się do takiego spokojnego, monotonnego życia, jakie mu proponowano. Gładkie słówka niełatwo padały z warg człowieka, który większość życia spędził na polu bitwy, w winiarni lub domu uciech, jednak z największym taktem, na jaki było go stać, odrzucił wszystkie oferty.

— Nie, przyjaciele — rzekł. — Nie dla Conana z Cymerii osiadłe życie. Wkrótce zacząłbym się nudzić, a na tę chorobę znam tylko trzy lekarstwa: upić się, wszcząć zwadę lub porwać dziewczkę. Doprawdy, dobry byłby ze mnie obywatel miasta, które potrzebuje spokoju i odbudowy!

— Gdzież zatem się udasz, Conanie, teraz, kiedy zniknęły magiczne bariery? — spytał

Enosh.

Conan wzruszył ramionami, przeciągnął dłonią po swej czarnej grzywie i roześmiał się.

— Na Croma, mój panie, sam nie wiem! Na szczęście słudzy bogini zaopiekowali się koniem Vardanesa, poili go i karmili. W Akhlat, jak wiem, nie ma koni, tylko osły — a taki wielki gbur jak ja wyglądałby głupio jadąc na zaspanym osiołku i ciągnąc nogi po ziemi!

Myślę, że zwrócę się na południowy wschód. Gdzieś tam leży miasto Zamboula, w którym nigdy nie byłem. Ludzie mówią, że to miejsce, gdzie można dobrze pohulać — podobno wino płynie tam rynsztokami. Mam ochotę zakosztować przyjemności Zambouli, przekonać się, czy to prawda.

— Ale nie musisz opuszczać nas jako nędzarz! — protestował Enosh. — Tyle ci zawdzięczamy. Pozwól, żebyśmy cię obdarowali za twój trud tą odrobiną złota i srebra, jakie posiadamy.

Conan potrząsnął głową.

— Zatrzymaj swoje skarby, szejku. Akhlat nie jest bogatą metropolią i pieniądze będą wam potrzebne, kiedy karawany znów zaczną przemierzać Czerwone Pustkowie. A teraz, skoro mam pełne worki wody i mnóstwo prowiantu, muszę jechać. Tym razem będzie to przyjemna podróż.

Po krótkim pożegnaniu wskoczył na konia i szybkim kłusem wyjechał z doliny. Stali długo, spoglądając za nim — Enosh dumnie wyprostowany, Zillah ze łzami w oczach. W

końcu zniknął im z oczu.

Dotarłszy na szczyt pagórka, Conan wstrzymał konia i po raz ostatni spojrzął na Akhlat.

Później skierował się w głąb Shan–e–Sorkh. Może był głupcem nie przyjmując ich skromnej zapłaty, ale wystarczy tego, co jest w jukach Vardanesa — pomyślał, klepnąwszy ręką wypchane sakwy. Po co łaszczyc się na parę groszy jak jakiś chciwy handlarz? Dobrze robi człowiekowi, jak, od czasu do czasu, okaże się szczodry. Nawet Cymeryjczykowi!

przeł. Zbigniew A. Królicki

CIENIE W ZAMBOULI

Shadows in Zambouli

Robert E. Howard

Conan bez większych przygód dociera do Zambouli, gdzie szybko roztrwania fortunę zdobytą w Akhalat. Po tygodniu nieustannego obżarstwa, opilstwa, hulanki, rozpusty i hazardu zostaje bez grosza przy duszy.

ŁOMOT BĘBNA

W domu Arama Baksha czeka cię zguba! W głosie mówiącego rozbrzmiewał szczerzy niepokój, a jego chude ręce o brudnych paznokciach kurczowo zacisnęły się na muskularnym ramieniu Cymeryjczyka. Mężczyzna był żyłasty, opalony i czarnobrody, a obszarpane odzienie wskazywało na to, że należał do jednego z koczowniczych plemion. W porównaniu z olbrzymim barbarzyńcą o czarnej grzywie, szerokiej piersi i potężnych ramionach wydawał

się jeszcze mniejszy i szczuplejszy. Stali na rogu Bazaru Płatnerzy, wśród wielobarwnego, wielojęzycznego tłumu zamboulańskiej ulicy: hałaśliwej, pysznej zbieraniny wielu ras i narodowości.

Conan oderwał wzrok od śmiałookiej, czerwonoustej Ghanaranki, której krótka, rozcięta spódniczka przy każdym kroku ukazywała brązowe uda i zmarszczywszy brwi spojrzął na natręta.

— Co masz na myśli mówiąc „zguba”? — spytał. Nomada szybko obejrzał się przez ramię, po czym odparł ściszym głosem:

— Kto to wie? Jednak wielu synów pustyni i podróżnych nocujących w gospodzie Arama Baksha zginęło bez śladu. Co się z nimi stało? On przysięga, że wstali rano i poszli dalej... i prawdą jest, że nigdy w jego domu nie zginął żaden obywatel miasta. Jednak wielu innych nikt już nie ujrzął, a powiadają, że widziano na bazarze ich szaty i ekwipunek. Skąd się tam wzięły, jeżeli nie sprzedawał ich sam Aram, zabiwszy uprzednio właścicieli?

— Ja nie mam nic cennego — mruknął Cymeryjczyk, kładąc dłoń na oprawionej w rekiną skórę rękojeści miecza, który miał u boku. — Sprzedałem nawet mojego konia.

— Jednak ci, którzy znikają nocą z domu Arama Baksha nie zawsze należą do bogatych!

— nalegał Zuagir. — O nie, zostawali tam na nocleg również biedni koczownicy — ponieważ Aram liczy taniej niż inni oberżyści — i nikt ich więcej nie zobaczył. Raz wódz Zuagirów, którego syn zniknął w ten sposób, poskarżył się satrapie i Jungir Chan kazał żołnierzom przeszukać dom.

— I co, znaleźli trupy w piwnicy? — spytał Conan z dobroduszną kpina.

— Nie! Niczego nie znaleźli! Grożąc i przeklinając przegnali wodza z miasta. Jednak — nomada zadrżał lekko i przysunął się do Cymeryjczyka — znaleźli coś innego. Tuż za miastem, na skraju pustyni rośnie kępa palm, a w ich gąszczu jest głęboka jama. W tej jamie znajdowano ludzkie kości, zwęglone i poczerniałe. I to nie raz, a wiele razy!

— I czego to dowodzi? — mruknął Cymeryjczyk.

— Że Aram Baksh to demon! Tak, w tym przeklętym mieście, zbudowanym przez Stygijczyków, a rządzonego przez Hyrkańczyków, w mieście, w którym biała, brązowa i czarna rasa mieszały się ze

sobą tworząc hybrydy wszelkiej maści i charakteru — kto zdoła odróżnić demona od zwykłego człowieka? Aram Baksh to demon w ludzkiej postaci! Nocą przybiera swój prawdziwy wygląd i unosi swoje ofiary na pustynię, gdzie jego bracia z pustkowi zbierają się na ucztę.

— A dlaczego zawsze porywa tylko obcych? — zapytał sceptycznie Conan.

— Mieszkańcy miasta nie ścierpieliby, gdyby zabijał ich krewnych, ale obcy, którzy wpadają w jego ręce, nic ich nie obchodzą. Conanie, ty jesteś z Zachodu i nie znasz tajemnic tej prastarej krainy. Tu od zarania dziejów demony pustyni oddawały cześć Panu Pustkowi, Yogowi, składając mu ofiary z palonych żywcem ludzi. Strzeż się! Przez wiele księżyców mieszkałeś w namiotach Zuagirów i jesteś nam bratem! Nie idź do domu Arama Baksha!

— Schowaj się! — rzekł nagle Conan. — Właśnie nadchodzi oddział straży miejskiej. Jeśli cię zobaczą, mogą sobie przypomnieć o koniu, którego skradziono ze stajni satrapy...

Zuagir drgnął i urwał gwałtownie, po czym skoczył między stragan a kamienne poidło dla koni, przystając tylko po to, żeby syknąć:

— Strzeż się, bracie! Aram Baksh to demon!

Potem śmignął jak strzała i zniknął w wąskiej uliczce.

Conan podciągnął swój szeroki pas i zimnym spojrzeniem odwzajemnił się przechodzącym obok strażnikom, którzy bacznie mu się przyglądali. Spoglądali nań ciekawie i podejrzliwie, bo gigantyczny Cymeryjczyk wyróżniał się nawet wśród tej przedziwnej zbieraniny, jaka przewalała się przez kręte uliczki Zambouli. Niebieskie oczy i surowe rysy odróżniały go od ludzi Wschodu, a prosty miecz u boku jeszcze tę różnicę podkreślał.

Strażnicy nie zaczepiwszy go poszli dalej przez rozstępujący się przed nimi tłum. Byli typowymi Pelishti: przysadziści, o haczykowatych nosach i kruczoczarnych brodach opadających na okryte pancerzami piersi — najemnicy rządzących Zamboulą Turańczyków, którzy uważali służbę w straży miejskiej za niegodne zajęcie — i wcale nie mniej z tego powodu zniechęceni przez wielojęzyczną społeczność.

Conan zerknął na słońce, które właśnie zaczęło się chować za płaskie dachy domów na zachodnim krańcu bazaru i jeszcze raz podciągnąwszy pas ruszył w kierunku tawerny Arama Baksha.

Sprężystym krokiem górala przeszedł przez barwny tłum wypełniający ulice. Tu łachmany skomlących żebraków ocierały się o lamowane gronostajami chałaty bogatych kupców i wyszywane perłami, satynowe suknie kurtyzan. Tu i tam wałęsali się rośli, czarni niewolnicy, przeciskając się wśród długobrodych wędrowców shemickich, obszarpanych nomadów przybywających z pustyni, handlarzy i awanturników ze wszystkich krain Wschodu.

Tubylcza społeczność była istną mieszaniną. Przed wiekami przybyły tu stygijskie armie i stworzyły imperium na ziemi wydartej pustyni. Zamboula była wtedy tylko małą osadą handlową leżącą w kręgu oaz i zamieszkaną przez potomków koczowników. Stygijczycy rozbudowali ją i zasiedlili

swoimi osadnikami, z którymi przybyli niewolnicy złapani w Shemie i Kush. Nieustannie przemierzające pustynię ze wschodu na zachód i z powrotem karawany przyniosły miastu bogactwo i jeszcze większy konglomerat ras. Później przybyli turańscy najeźdźcy i napierając ze wschodu przesunęli granice Stygii, tak że już od dwóch pokoleń Zamboula była najdalej na zachód wysuniętym przyczółkiem Turanu.

Przedzierając się przez falujący, gęsty tłum Cymeryjczyk słyszał gwar setek języków i narzeczy, od czasu do czasu przerywany tętentem galopujących koni dosiadanych przez smukłych turańskich żołnierzy o smągłych twarzach i orlich rysach.

Tłum uskakiwał na boki przed pędzącymi ze szczękiem oręża wojownikami, którzy byli panami Zambouli. Tylko wysocy, posępni Stygijczycy ponuro spoglądali na nich z mrocznych zaułków, wspominając dawne dni chwały. Mieszana społeczność nie dbała o to, czy dzierżący berło król mieszkał w mrocznym Khemie czy we wspaniałym Aghapurze.

Zamboula rządził satrapa Jungir Chan i szeptano, że Nafertari, kochanka satrapy, rządziła Jungirem Chanem. Jednak ludzie zajmowali się swoimi sprawami: wielobarwnym tłumem zapełniali ulice, targowali się, dyskutowali, grali, pili i kochali, tak jak to czynili przez te długie wieki, w czasie których wieże i minarety miasta wznosiły się nad piaskami Kharamunu.

Zanim Conan dotarł do domu Arama Baksha, na ulicach zapalono już latarnie z brązu ozdobione rzeźbami szczerzących kły smoków. Gospoda była ostatnim domostwem przy drodze wiodącej na zachód. Rozległy, otoczony murem sad daktylowy oddzielał ją od innych domów. Dalej na zachód rosła kępa palm, za którymi ulica wychodziła na pustynię, stając się drogą. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciw gospody, stał rząd opuszczonych chat ocienionych rzadko rosnącymi palmami i zamieszkanymi jedynie przez nietoperze. Idąc ulicą Conan zastanawiał się, dlaczego tych chat nie zajęli tak liczni w Zambouli żebracy.

Ostatnie światła zostały daleko w tyle. Tu nie było latarni z wyjątkiem tej, która wisiała nad bramą gospody; tylko gwiazdy, miękki pył drogi pod nogami i szmer poruszanych pustynnym wiatrem palmowych liści towarzyszyły Cymeryjczykowi.

Brama domu Arama Baksha nie wychodziła na ulicę, lecz na wąską uliczkę biegnącą między gospodą a daktylowym ogrodem. Conan szarpnął mocno za sznur zawieszzonego nad bramą dzwonka; wzmocnił to, łomocząc rękojęścią miecza w okutą żelazem furtę z tekowego drewna. Po chwili w bramie uchyliło się okienko, przez które wyjrzała czarna twarz.

— Otwórz, do diabła! — krzyknął Conan. — Jestem gościem Arama. Zapłaciłem mu za nocleg i — na Croma! — będę go miał!

Niewolnik wyciągnął szyję, aby spojrzeć na oświetloną blaskiem ulicę, po czym bez słowa otworzył furtę i znów ją zamknął za Cymeryjczykiem, przekręcając klucz i zasuwając rygle.

Mur był bardzo wysoki, jednak w Zambouli roiło się od złodziei, a dom na skraju pustyni był narażony na nocny napad nomadów. Conan przeszedł przez ogród, w którym wielkie, blade kwiaty

kołysały się w łagodnych podmuchach wiatru i wszedł do gospody, gdzie przy jednym stole siedział Stygijczyk z ogoloną głową akolity ponuro zadumany nad swymi tajemniczymi sprawami, a przy innym kilku podejrzanych osobników grało w kości kłócąc się zażarcie.

Aram Baksh wyszedł mu naprzeciw — krępy mężczyzna z długą, czarną brodą i małymi, rozbieganymi oczkami.

— Chcesz jeść? — spytał. — Pić?

— Kupiłem na bazarze kawał wołowiny i pajdę chleba — mruknął Conan. — Przynieś mi dzban ghazańskiego wina; tylko na to mnie stać.

— Nie poszczęściło ci się przy stołach gry?

— Jak mogłem wygrać, mając tylko garść srebra na początek? Zapłaciłem ci za pokój rano, bo wiedziałem, że przegram. Chciałem mieć pewność, że będę miał dziś dach nad głową. Zauważyłem, że w Zambouli nikt nie śpi na ulicy. Nawet żebracy szukają sobie nor, w których mogą się zabarykadować po zmroku. W mieście musi grasować jakaś szczególnie krwiożercza szajka rabusiów.

Z niewymowną ulgą wychylił dzban taniego wina i poszedł za Aramem. Gracze w kącie przerwali grę i z dziwnym namysłem w oczach spojrzeli w ślad za odchodzącym Cymeryjczykiem. Nie odezwali się słowem, tylko Stygijczyk wybuchnął głośnym, upiornym śmiechem, pełnym okrutnego cynizmu i drwiny. Tamci niespokojnie odwrócili wzrok, unikając swoich spojrzeń. Adeptci tajemnej wiedzy nie dzielają uczuć zwykłych śmiertelników.

Conan poszedł za Aramem korytarzem oświetlonym mosiężnymi lampami. Z niepokojem patrzył na bezgłośnie poruszającego się oberżystę. Wprawdzie Aram miał na nogach miękkie kapce, a korytarz był wyłożony grubymi, turańskimi dywanami, lecz mimo to Zamboulańczyk sprawiał nieprzyjemne wrażenie czającego się do skoku kota.

Na końcu krętego korytarza Aram stanął przed drzwiami opatrzonymi grubą, żelazną sztabą osadzoną w potężnych uchwytach. Odsunął zasuwę i pokazał Conanowi porządnie utrzymaną komnatę, której okna — co Cymeryjczyk natychmiast zauważył — były wąskie i zakratowane grubymi kratami z kunsztownie powyginanych prętów. Na podłodze leżały dywany, sofa była szeroka i miękka, a krzesła wygodne i bogato rzeźbione. Pokój był o wiele lepszy niż te, które za tę cenę mógłby dostać bliżej centrum miasta, co też było powodem, że wybrał tę gospodę, kiedy odkrył rankiem, jak chuda stała się jego sakiewka po kilku dniach nieustannych hulank. Przyjechał do Zambouli tydzień temu.

Aram zapalił mosiężną lampę i pokazał Conanowi drzwi po przeciwnej stronie komnaty, również zaopatrzone w potężne rygle.

— Możesz dziś spać spokojnie, Cymeryjczyku — rzekł stojąc w progu i mrugając sprytnymi oczkami.

Conan przytaknął mrukliwie i cisnął miecz na sofę.

— Kraty i rygle są tu mocne, ale ja zawsze śpię z mieczem pod ręką.

Aram nic nie odpowiedział. Stał przez chwilę gładząc czarną brodę i patrząc na lśniące ostrze. Później odszedł, cicho zamknąwszy za sobą drzwi. Conan zasunął rygiel, przeszedł

przez pokój, otworzył drugie drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Pomieszczenie znajdowało się w bocznym skrzydle domu, przylegającym do drogi wiodącej na zachód. Drzwi prowadziły na mały dziedziniec otoczony murem. Boczne ściany odgradzające podwórko od reszty zabudowań były wysokie i pozbawione drzwi, lecz od strony ulicy mur był niski, a widoczna w nim furta nie miała rygla.

Conan przez chwilę stał na progu spoglądając na drogę niknącą w gąszczu palm. Ich liście szeleściły w podmuchach słabego wiatru; za nimi rozciągała się naga pustynia. Po przeciwnej stronie, w oddali błyszczały światła i rozbrzmiewał cichym echem miejski gwar. Tu było tylko rozgwieżdżone niebo, szept palmowych liści, a za niskim murem kurz ulicy i opuszczone chaty wznoszące ku niebu swe płaskie dachy. Gdzieś z gęstwiny palm dobiegał

łomot bębna.

Cymeryjczyk przypomniał sobie przestrogi Zuagira, które teraz wydawały się jakby mniej nieprawdopodobne niż na zatłoczonej, słonecznej ulicy. Znów zaczął się zastanawiać nad zagadką niezamieszkanego chat. Czemu żebracy omijali to miejsce? Wrócił do komnaty, zamknął drzwi i zasunął rygiel.

Płomień lampy zaczął pełgać. Barbarzyńca sprawdził, co się stało i zaklął ze złością stwierdziwszy, że skończył się w niej olej. Otworzył usta, by zawołać Arama, ale rozmyślił

się. Zgasił lampę i nie zdejmując ubrania wygodnie wyciągnął się na sofie. Jego żylasta dłoń instynktownie zacisnęła się na rękojeści miecza. Zerknąwszy jeszcze na rozgwieżdżone niebo widoczne przez wąskie, zakratowane okienko, zapadł w sen, ukołyszany szmerem wiatru wśród palmowych liści i cichym łomotem bijącego na pustyni bębna — monotonnym pomrukiem prymitywnego instrumentu uderzanego miękko i rytmicznie otwartą, czarną dłonią...

NOCNI GOŚCIE

Obudził go szmer otwieranych drzwi. Cymeryjczyk nie zbudził się tak jak cywilizowany człowiek: senny, oszołomiony i ogłupiały. Rozpoznawszy dźwięk, który wybił go ze snu, w jednej chwili odzyskał przytomność. Leżąc w ciemności widział, jak prowadzące na dziedziniec drzwi otwierają się wolno. W powiększającej się szczelinie dostrzegł

rozgwieżdżone niebo, a na jego tle wielki, czarny kształt o szerokich, zgarbionych ramionach i niekształtnej głowie.

Dreszcz przebiegł mu po plecach. Przecież sam zamknął te drzwi. W jaki sposób można je było otworzyć, jeśli nie za pomocą czarów? I czy jakakolwiek ludzka istota mogła mieć taką głowę jak ta, której zarys widział na tle nieba? Przypomniały mu się wszystkie opowieści o diabłach i goblinach, jakie słyszał w namiotach Zuagirów i zimny pot wystąpił mu na czoło.

Potwór bezszelestnie wśliznął się do komnaty i nisko pochylony, człapiącym krokiem ruszył

ku sofie. Nozdrza Cymeryjczyka pochwyciły znajomy zapach, lecz to nie dodało mu otuchy, bowiem zuagirskie legendy właśnie taką woń przypisywały demonom.

Conan bezszelestnie podkurczył nogi; skoczył i ciął trzymanym w prawej dłoni mieczem tak błyskawicznie i niespodziewanie, jak tygrys atakujący w ciemności. Nawet demon nie zdołałby uchylić się przed takim ciosem. Długie ostrze opadło ze świstem przecinając ciało i kości i coś z głuchym łomotem upadło na podłogę. Conan przyczaił się w mroku, ściskając w ręku wierny miecz. Demon, bestia czy człowiek — nocny gość leżał bez ruchu u jego stóp.

Instynkt podpowiedział barbarzyńcy, że intruz jest martwy. Cymeryjczyk zerknął przez uchylone drzwi na obłany nikłą poświatą dziedziniec. Furta była otwarta, ale na podwórzu nie było nikogo.

Conan zamknął drzwi, ale nie zasunął rygla. Macając w ciemnościach odnalazł lampę i zapalił ją. Było w niej dość oleju na minutę czy dwie. Przyświecając sobie lampą pochylił się nad leżącą w kałuży krwi postacią.

Był nią olbrzymi, czarnoskóry mężczyzna, odziany jedynie w przepaskę biodrową. W

jednej ręce nadal ścisnął potężną maczugę. Kręcone włosy miał zaczesane w dwa sterczące rogi, utwardzone gałązkami i błotem. To ta dziwna koafiura nadawała jego głowie monstrualny kształt. Znalazłszy rozwiązanie zagadki Conan rozchylił grube, czerwone wargi zabitego i mruknął coś pod nosem widząc ostro spiłowane zęby.

Zrozumiał tajemnicze zniknięcia podróżnych nocujących w domu Arama Baksha, dziwny łoskot bębna w pobliskiej kępie palm i zwęglone kości w jamie; w jamie, w której przy blasku gwiazd pieczono okropną zdobycz, podczas gdy ludzkie bestie siedziały wokół, czekając na ohydny ucztę. Zabity był

niewolnikiem należącym do plemienia ludożerców z Darfaru.

W Zambouli było ich wielu. Wprawdzie nie tolerowano tu jawnego kanibalizmu, ale teraz Conan już wiedział, dlaczego mieszkańcy tak dokładnie zamykają się na noc i dlaczego nawet żebracy omijali opuszczone chaty w sąsiedztwie. Splunął z obrzydzeniem na myśl o czarnych cieniach przemykających się tu i tam po ciemnych ulicach w poszukiwaniu ludzkich ofiar i o takich jak Aram Baksh, którzy otwierali im drzwi. Oberżysta nie był demonem, był czymś gorszym. Niewolnicy z Darfaru byli notorycznymi złodziejami; niewątpliwie część ich łupów przechodziła w ręce Arama Baksha, który płacił za nie ludzkim mięsem.

Conan zdmuchnął płomień lampy, podszedł do drzwi i otworzywszy je, przesunął dłonią po ich rzeźbionej powierzchni. Tak jak przypuszczał, jeden z ornamentów był ruchomy i można nim było odsunąć wewnętrzny rygiel. Komnata była pułapką, w którą ludzie wpadali jak króliki. Jednak tym razem zamiast królika wpadł w nią tygrys.

Cymeryjczyk wrócił do drugich drzwi, odsunął zasuwę i nacisnął. Drzwi pozostały zamknięte; barbarzyńca przypomniał sobie potężną sztabę, jaką widział po drugiej stronie.

Aram zabezpieczył się zarówno przed ucieczką swoich ofiar, jak i przed ludźmi, z którymi był w zмовie. Zapinając pas z mieczem Conan wyszedł na dziedziniec i zamknął za sobą drzwi. Nie miał zamiaru odkładać na później porachunków z Aramem Bakshem. Zastanawiał

się, ilu podróżnych ogłuszono tu we śnie, wywleczono z komnaty i zaciągnięto do jamy w cieniu palm.

Nagle barbarzyńca przystanął. Wciąż słyszał pomruk bębna i widział teraz nikły odblask ognia wśród zarośli. Dla czarnoskórych z Darfaru kanibalizm był czymś więcej niż wynaturzeniem; był nierozdzielną częścią ich upiornego kultu. Czarne sępy zleciały się na ucztę, jednak nie napełniały swoich brzuchów jego ciałem.

Aby dostać Arama Baksha musiał wejść na wysoki mur oddzielający podwórko od reszty budynku. Wysoka ściana miała chronić gospodarza przed ludożercami, ale Conan nie wychował się na równinach; młode lata spędzone wśród stromych skał rodzinnej Cymerii zmieniły mu ścięgna w stalowe struny. Właśnie stanął u stóp muru, gdy wśród drzew rozległ

się przeraźliwy krzyk.

Conan skoczył do bramy i wyjrzał na ulicę. Głos dobiegał z cienia zalegającego wokół

opuszczonych chat. Barbarzyńca usłyszał zduszony jęk i bełkot wydobywający się z otwartych do rozpaczliwego okrzyku ust zakrytych szeroką dłonią napastnika. Z cienia wyłoniła się zwarta grupa postaci — trzech ogromni mężczyźni ruszyli drogą niosąc mniejszą, wrywającą się ofiarę. W świetle gwiazd Conan dostrzegł błysk jasnej skóry. W tejże chwili ofiara konwulsyjnym szarpnięciem wyrwała się prześladowcom i rzuciła się do ucieczki.

Zanim skoczyła w bok i zniknęła między chatami, Conan zobaczył ją wyraźnie: była to smukła, młoda

kobieta, naga jak nowonarodzone dziecko. Czarni deptali jej po piętach; po chwili w cieniu palm rozległ się przeraźliwy krzyk bólu i przerażenia.

Bezgranicznie rozwścieczony tym widokiem Conan bez namysłu wypadł na ulicę.

Ani prześladowcy, ani ofiara nie zdawali sobie sprawy z jego obecności, dopóki nie ostrzegł ich cichy tupot jego stóp: kiedy się odwrócili, prawie ich już dopadał, gnając z szybkością halnego wiatru. Dwaj czarni skoczyli na niego z podniesionymi maczugami, ale źle ocenili dzielącą ich odległość. Jeden padł trupem, zanim zdążył uderzyć, a Conan uskoczywszy zwinnie jak kot uchylił się przed maczugą drugiego i odpowiedział

błyskawicznym ciosem. Głowa ludożercy spadła z ramion jak zdmuchnięta; bezgłowe ciało zrobiło jeszcze trzy chwiejne kroki, po czym osunęło się na ziemię bryzgając krwią i podrygując konwulsyjnie.

Ostatni kanibal ze zduszonym okrzykiem rzucił się do ucieczki, gwałtownie odepchnąwszy ofiarę. Kobieta zatoczyła się i upadła, a czarnoskóry pomknął jak szalony w kierunku miasta.

Conan skoczył za nim. Strach dodawał uciekającemu skrzydeł, lecz nim dotarł do pierwszych zabudowań, czuł tuż za plecami zbliżającą się śmierć i zaczął kwiczeć jak zarzynana świnią.

— Masz, wściekły psie! — syknął Conan wbijając mu miecz między łopatki z taką siłą, że szerokie ostrze wyszło przez pierś ludożercy. Czarny ze stłumionym okrzykiem runął na ziemię i Cymeryjczyk zaparłszy się nogą o jego ciało wyrwał skrwawiony miecz.

Tylko słaby wietrzyk szemrał wśród palmowych liści. Conan potrząsnął głową jak lew wstrząsający grzywą i wściekłym pomrukiem dał wyraz swej niezaspokojonej żądzy krwi.

Jednak nikt więcej nie wyłonił się z ciemności — oblana światłem gwiazd droga była pusta i cicha. Po chwili barbarzyńca usłyszał za plecami szmer kroków. Odwrócił się błyskawicznie, ale to była tylko ocalona dziewczyna. Podbiegła dłoń, zarzuciła mu ręce na szyję i objęła kurczowo, oszalała z przerażenia na myśl o okropnym losie, jakiego ledwie uniknęła.

— Spokojnie, dziewczyno — mruknął. — Już wszystko w porządku. Jak to się stało, że cię złapali?

Łkając, odparła coś niezrozumiale. Przyjrząwszy się jej bacznie, Conan chwilowo zapomniał o Aramie Bakshu. Nieznajoma była brunetką o zdecydowanie jasnej skórze, wysoką, smukłą i zgrabną, co Cymeryjczyk mógł bez trudu zauważyć. Z uznaniem patrzył na kształtne biodra i bujne, falujące piersi. Objął ramieniem jej wiotką talię i rzekł uspokajająco: — Przestań się trząść, dziewczyno. Jesteś już bezpieczna.

Jego bliskość zdawała się przywracać dziewczynie zachwianą równowagę umysłu.

Odrzuciła w tył gęste, lśniące pukle i obejrząwszy się lękliwie przez ramię mocniej przytuliła się do wybawcy, jakby szukając jego opieki.

— Złapali mnie na ulicy — mruknęła w końcu. — Czekali zaczajeni w ciemnym przejściu... jak

czarne cienie; ogromne i niekształtne! Zlituj się, Secie! Będzie mi się to śniło do końca życia!

— A co robiłaś na ulicy o tej porze? — pytał, zafascynowany jedwabistą gładkością jej skóry.

Przyglądała włosy i obrzuciła go pustym spojrzeniem. Zdawała się nie zauważać tego, że ją obejmuje.

— Mój kochanek... — powiedziała. — Mój kochanek wygnał mnie na ulicę. Wpadł w szal i próbował mnie zabić. Kiedy uciekałam przed nim, złapały mnie te bestie.

— Twoja uroda może doprowadzić mężczyznę do szaleństwa — mruknął Conan, dotykając jej połyskliwych loków.

Potrząsnęła głową jak człowiek budzący się ze snu. Przestała już drżeć i jej głos nabrał pewności.

— To wszystko przez tego kapłana... przez Totrasmeka, arcykapłana, który mnie pożył... Nędzny pies!

— Nie ma powodu, żeby go za to winić — wyszczerzył zęby Cymeryjczyk. — Ta stara hiena ma lepszy gust, niż myślałem.

Zignorowała śmiały komplement. Szybko odzyskiwała pewność siebie.

— Mój kochanek to... to młody turański żołnierz. Aby mnie pognać, Totrasmek dał mu narkotyk, który doprowadził go do szału. Dziś wieczór porwał miecz i próbował mnie zabić, ale uciekłam mu. Czarni złapali mnie na ulicy i zawlekli... Co to?

Conan usłyszał to wcześniej. Cicho jak cień uskoczył za róg najbliższej chaty, ciągnąc za sobą dziewczynę. Stanęli w napięciu, słuchając, jak cichy pomruk staje się coraz głośniejszy, aż w końcu mogli już rozróżnić poszczególne głosy. Od strony miasta nadchodziła grupka ludożerców licząca dziewięciu czy dziesięciu mężczyzn. Dziewczyna kurczowo chwyciła Conana za ramię, tak że czuł, jak jej gibkie ciało drży ze strachu przy jego piersi. Wreszcie mogli rozróżnić słowa wypowiedane z gardłowym akcentem.

— Nasi bracia już zebrali się przy jamie — rzekł jeden z idących. — Dziś nie dopisało nam szczęście. Mam nadzieję, że im powiodło się lepiej i że zdobyli coś dla nas.

— Aram obiecał nam mężczyznę — rzekł inny i słysząc to Conan też coś w duchu obiecał

Aramowi.

— Aram dotrzymuje słowa — powiedział trzeci. — Wielu ludzi złapaliśmy w jego gospodzie. Jednak dobrze mu za to płacimy. Sam dałem mu dziesięć bel jedwabiu, które ukradłem mojemu panu. Na Seta, to był naprawdę dobry jedwab!

Czarni przeszli obok wzbijając kurz bosymi nogami i po chwili ich głosy ucichły w oddali.

— Dobrze, że tamte trupy leżą między chatami — mruknął Cymeryjczyk. — A jeśli zajrzą do tej komnaty śmierci w domu Arama, to znajdą jeszcze jednego. Chodźmy stąd.

— Tak, chodźmy! — prosiła dziewczyna, znów bliska hysterii. — Mój kochanek chodzi sam po ulicach. Może wpaść w ich ręce.

— Co za diabelskie zwyczaje! — warknął Cymeryjczyk prowadząc ją w kierunku miasta.

Szli wzdłuż ulicy, ale trzymali się w cieniu chat i drzew palmowych. — Czemu mieszkańcy pozwalają na to tym czarnym psom?

— Niewolnicy są kosztowni — odparła dziewczyna. — Jest ich tak wielu, że mogliby wzniecić bunt, gdyby pozbawiono ich ludzkiego mięsa. Lud Zambouli wie, że oni grasują nocami po ulicach i nikt po zmroku nie wychodzi z domu, chyba że wydarzy się coś nieprzewidzianego, tak jak mnie. Czarni nie przebierają, ale zazwyczaj łapią tylko obcych.

Mieszkańców Zambouli nic nie obchodzi los obcych, którzy przybywają do miasta, a tacy jak Aram Baksh sprzedają ich ludożercom. Nie ośmieliłby się zrobić czegoś takiego z obywatelem Zambouli.

Cymeryjczyk splunął z pogardą. Po chwili wyszedł ze swoją towarzyszką na drogę, a właściwie już ulicę, po obu stronach której wznosiły się domy o ciemnych oknach.

Przemykanie chyłkiem nie leżało w naturze barbarzyńcy.

— Dokąd chcesz iść? — spytał.

Dziewczyna nadal nie zważała na to, że ją obejmował.

— Do mojego domu, zbudzić służbę — odparła. — Każę im szukać kochanka. Nie chcę, by ludzie... kapłani... żeby ktokolwiek wiedział o jego szaleństwie. On... on jest młodym oficerem z obiecującą przyszłością. Może uda się wypędzić z niego to szaleństwo, jeżeli zdołamy go odnaleźć.

— Zdołamy? — mruknął Conan. — Czemu sądzisz, że zamierzam spędzić noc na szukaniu jakiegoś wariata?

Dziewczyna obrzuciła go szybkim spojrzeniem i właściwie zinterpretowała błysk w niebieskich oczach. Każda kobieta poznałaby, że ten mężczyzna pójdzie za nią wszędzie —przynajmniej przez jakiś czas. Jednak będąc prawdziwą kobietą, nie zdradziła, że o tym wie.

— Proszę — zaczęła trochę płaczącym głosem. — Nie mam nikogo, kogo mogłabym prosić o pomoc... Byłeś taki dobry...

— W porządku! — rzekł. — W porządku! Jak ma na imię ten młody rozpustnik?

— Aaa... Alafdhal. Ja jestem Zabibi, tancerka. Często tańczyłam dla satrapy, Jungira Chana i jego

kochanki, Nafertari oraz dla wszystkich panów i pań Zambouli. Totrasmek pożądał mnie, a ponieważ go odepchnęłam, uczynił mnie mimowolnym narzędziem swojej zemsty na Alafdhalu. Nie domyślając się głębi jego nienawiści i przebiegłości poprosiłam go o napój miłosny. Dał mi proszek, który miałam wsypać Alafdhalowi do wina i przysiągł, że kiedy mój kochanek to wypije, będzie mnie kochał jeszcze bardziej szaleńczo niż dotychczas i spełni każde moje życzenie. Ukradkiem dosypałam proszek do wina, ale mój kochanek zupełnie zwariował, kiedy to wypił i wszystko skończyło się tak, jak mówiłam. Niech diabli porwą Totrasmeka, tego podstępного gada... och!

Dziewczyna stanęła jak wryta i kurczowo złapała Conana za ramię.

Dotarli już do dzielnicy sklepów i straganów, pustych i ciemnych o tak późnej porze.

Właśnie mijali boczną uliczkę, u wylotu której stał jakiś człowiek, nieruchomy i milczący.

Głowę miał opuszczoną na piersi, ale Conan dostrzegł błysk upiornie jarzących się oczu, patrzących na nich bez mrugnięcia. Dreszcz przebiegł barbarzyńcy po plecach, nie z obawy przed mieczem w dłoni nieznanego, lecz na widok jego konwulsyjnie wykrzywionej twarzy, sugerującej utratę zmysłów.

Cymeryjczyk odsunął dziewczynę i sięgnął po miecz.

— Na Seta, nie zabijaj go! — błagała. — Nie zabijaj! Jesteś taki silny — ogłusz go!

— Zobaczę — mruknął ściskając w prawej dłoni miecz, a lewą zaciskając w pięść wielkości bochenka chleba.

Zrobił krok w kierunku Turańczyka, który natychmiast rzucił się na niego. Tocząc pianę z ust i śmiejąc się obłąkańczo zadał potężny cios, napierając całym ciężarem ciała. Trysnął snop błękitnych iskier; Conan odparował cios i szalenie legł bez czucia na ziemi rozciągnięty piorunującym uderzeniem jego pięści.

Dziewczyna podbiegła do leżącego.

— Och, chyba go nie...

Cymeryjczyk nachylił się, odwrócił mężczyznę na plecy i wprawnie obmacał.

— Nic mu nie będzie — orzekł. — Trochę krwawi z nosa, ale to może się zdarzyć każdemu, kto dostanie w szczękę. Niedługo przyjdzie do siebie i może nawet odzyska zmysły. Tymczasem lepiej zwiążę mu ręce — o, tak. Gdzie mam go teraz zanieść?

— Czeka!

Dziewczyna uklękła przy nieprzytomnym, złapała go za ręce i obejrzała je uważnie.

Później wstała i potrząsnęła z rozczarowaniem głową. Podeszła do gigantycznego Cymeryjczyka i położyła smukłe dłonie na jego potężnej piersi. Spojrzała nań prosząco czarnymi oczami,

błyszczącymi w świetle gwiazd jak dwa diamenty.

— Jesteś taki dzielny! Pomóż mi! Totrasmek musi umrzeć! Zabij go!

— Mam włożyć głowę w pętlę turańskiego powroza?

— Wcale nie! — smukłe dłonie mocno objęły jego szyję. Gibkie ciało ocierało się kusząco o jego tors. — Hyrkańczycy nie kochają Totrasmeka, a kapłani Seta boją się go. To demon, rządzący strachem i przesadami. Ja oddaję cześć Setowi, a Turańczycy kłaniają się Erlikowi, ale Totrasmek składa ofiary przekłętemu Hanumanowi! Turańscy panowie obawiają się jego czarów i władzy, jaką ma nad wielojęzycznym społeczeństwem. Nawet Jungir Chan i jego kochanka Nafertari boją się go i nienawidzą. Jeśli ktoś go zabije, nie będą zbyt gorliwie szukać zabójcy.

— A jego czary? — burkliwie spytał Cymeryjczyk.

— Jesteś żołnierzem — odparła. — Ryzykowanie życiem to twój zawód.

— Tak, ale za opłatą — rzekł.

— Otrzymasz zapłatę! — powiedziała podnosząc się na palcach i zaglądając mu w oczy.

Bliskość jej jędrnego ciała sprawiała, że Cymeryjczykowi krew żywiej krążyła w żyłach.

Jej różany oddech uderzał mu do głowy. Gdy jednak chciał ją wziąć w ramiona, wywinęła mu się zwinnie, mówiąc:

— Zaczekaj! Najpierw wyświadcz mi tę przysługę. Powiedz, czego żądasz — wykrztusił.

Podnieś mego kochanka — nakazała.

Barbarzyńca pochylił się i bez trudu zarzucił sobie nieprzytomnego na plecy. W tej chwili wydawało mu się, że z taką samą łatwością mógłby zburzyć pałac Jungir Chana. Dziewczyna mruczała coś pocieszającego do Alafdhala i w zachowaniu jej nie było cienia hipokryzji.

Najwidoczniej bardzo go kochała. Umowa, jaką zawarła z Conanem, nie miała żadnego wpływu na jej uczucia. Kobiety w tych sprawach są bardziej praktyczne od mężczyzn.

— Chodź za mną!

Spiesznie ruszyła ulicą, a Cymeryjczyk raźnie pomaszerował I za nią, zupełnie nie odczuwając ciężaru bezwładnego ciała. Raz po raz czujnie spoglądał na skryte w gęstym mroku zaułki i przejścia, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. Niewątpliwie wszyscy ludożercy zebrali się już przy jamie. Po chwili Zabibi skrzyła w wąską, boczną uliczkę i zapukała lekko w łukowate drzwi.

Niemal natychmiast w drzwiach uchyliło się okienko, a w nim pojawiła się czarna twarz.

Dziewczyna nachyliła się do okienka, szepcząc coś niezrozumiale. Zgrzytnęły rygle i drzwi otworzyły

się, ukazując olbrzymiego niewolnika obramowanego łagodnym blaskiem palących się w głębi, mosiężnych lamp. Jeden rzut oka pozwolił Conanowi stwierdzić, że czarny nie był Darfarczykiem. Nie miał spiłowanych zębów, a jego kręcone włosy były ścięte tuż przy skórze. Niewątpliwie należał do szczepu Wadai.

Na polecenie Zabibi Conan przekazał bezwładne ciało w ramiona sługi, który położył

młodego oficera na aksamitnym pościeliu. Żołnierz nie odzyskał przytomności; cios, który go powalił, mógłby ogłuszyć słonia. Dziewczyna stała nad nim przez chwilę, nerwowo wyłamując sobie palce. Później odwróciła się i gestem pokazała Cymeryjczykowi, żeby szedł za nią.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie, szczęknięły rygle i Conan z dziewczyną znów znaleźli się na oświetlonej blaskiem gwiazd ulicy. Zabibi wzięła barbarzyńcę za rękę. Drżała.

— Nie zawiedziesz mnie?

Potrząsnął gęstą grzywą czarnych włosów.

— A więc chodź ze mną do świątyni Hanumana i niech bogowie zlitują się nad naszymi duszami!

Jak dwie zjawy przemykali przez uśpione ulice. Szli w milczeniu. Dziewczyna pewnie myślała o swoim kochanku, leżącym bez czucia na miękkim pościeliu, a może o tym, co ich czeka w cieszącej się złą sławą świątyni Hanumana. Barbarzyńca myślał tylko o kobiecie, która tak zwinnie kroczyła u jego boku. W nozdrzach miał jeszcze zapach jej perfumowanych włosów, a zmysłowa aura, jaką wokół siebie roztaczała, uderzała mu do głowy i nie zostawiała miejsca na inne myśli.

Raz usłyszeli szcęk podkutych obcasów i skryli się w cieniu arkad przed okiem przechodzącej straży. Piętnastu Pelishtich przemaszerowało w zwartym szyku, z nastawionymi pikami, a idący na końcu zawiesili swe szerokie, spiżowe tarcze na plecach, chroniąc się przed niespodziewanym ciosem w plecy. Nawet ci uzbrojeni strażnicy obawiali się napadu czarnych ludożerców.

Gdy stuk ich sandałów ucichł w oddali, Conan i Zabibi wyszli z ukrycia i poszli dalej. Po dłuższej chwili ujrzeli przed sobą niezgrabną budowlę o płaskim dachu.

Świątynia Hanumana wznosiła się na środku rozległego placu, cichego i opuszczonego o tak późnej porze. Plac był otoczony marmurowym murem, a szeroka brama znajdowała się na wprost portyku. Conan daremnie szukał wzrokiem drzwi czy krat.

Czemu czarni nie polują tutaj? — mruknął. — Nie ma tu niczego, co mogłoby ich powstrzymać.

Poczuł, jak przyciśnięta do niego dziewczyna drży ze strachu.

Tak jak wszyscy w Zambouli, boją się Totrasmeka — odparła. — Nawet satrapa i jego kochanka obawiają się arcykapłana. Chodź! Chodźmy tam, zanim opuści mnie odwaga!

Dziewczyna najwyraźniej w świecie okropnie się bała, ale nie zmieniła postanowienia.

Conan wyciągnął miecz z pochwy i pomaszerował za nią przez szerokie przejście. Znał

odrażające praktyki kapłanów Wschodu i zdawał sobie sprawę z tego, że intruz w świątyni Hanumana mógł się spodziewać najgorszego. Wiedział, że łatwo może się tak zdarzyć, że ani on, ani dziewczyna nie wyjdą żywi ze świątyni, ale zbyt często ryzykował życie, żeby się nad tym zastanawiać.

Wkroczyli na dziedziniec wybrukowany błyszczącym w świetle księżyca marmurem.

Krótkie, szerokie stopnie prowadziły do portyku obramowanego potężnymi kolumnami, między którymi wielkie, spiżowe wrota stały otworem w odwiecznej zachęcie. Jednak nie tłoczyli się tu wierni palący kadzidła. Nawet w dzień ludzie lękliwie zachodzili do świątyni, by złożyć ofiarę człekokształtnemu bóstwu siedzącemu na czarnym ołtarzu. W nocy omijali przybytek Hanumana, jak króliki omijają gniazdo żmij.

Płonące znicze oblewały wewnątrz miękkim, niesamowitym blaskiem, nadającym wszystkiemu posmak, nierealności. Pod ścianą, na ołtarzu z czarnego kamienia siedział bożek wbijając spojrzenie w otwarte drzwi, którymi przez wieki przyprowadzano mu ofiary. Od progu do ołtarza biegło płytkie wgłębienie i Conan pospiesznie cofnął nogę, kiedy poczuł je pod stopą. To wgłębienie wydeptały słabnące stopy niezliczonych ofiar, które umarły na tym ponurym ołtarzu.

W niepewnym świetle zwierzęce rysy bożka zdawał się wykrzywiać szyderczy grymas.

Hanuman siedział, nie przykucnięty jak goryl, lecz jak człowiek, ze skrzyżowanymi nogami, jednak wcale przez to nie był mniej podobny do małpy. Posąg wyrzeźbiono z czarnego marmuru, ale w miejsce oczu osadzono dwa rubiny, jarzące się czerwono i złowrogo niczym ognie z najgłębszych otchłani piekieł. Wielkie łapska bożka były złożone na podołku, spodem ku górze, a szponiaste palce rozcapierzone i zgięte. W groteskowo wyolbrzymionych atrybutach męskości i szyderczym uśmiechu wykrzywiającym zwierzęce rysy odzwierciedlał

się obrzydliwy sens zdegenerowanego kultu, którego obiektem był bożek.

Zmierzając w kierunku tylnej ściany dziewczyna przeszła obok posągu i kiedy otarła się o jego kamienne kolano, odskoczyła gwałtownie, jakby dotknęła węża. Kilka stóp za szerokimi plecami bożka wznosiła się marmurowa ściana ozdobiona fryzem ze złotych liści. W obu jej rogach widniały drzwi wykładane kością słoniową.

— Te drzwi prowadzą do korytarza w kształcie podkowy — rzekła Zabibi. — Raz byłam w środku... raz!

Wzdrygnęła się i skuliła ramiona, przypominając sobie tę okropną i budzącą obrzydzenie wizytę.

— Korytarz ma kształt łuku, którego końce wychodzą przez te drzwi. Komnaty Totrasmeka mieszczą się w jego zagięciu. W tej ścianie jest ukryte przejście wiodące prosto do jednego z pokoi...

To mówiąc zaczęła wodzić rękami po gładkiej powierzchni, na której nie było śladu żadnej szczeliny czy pęknięcia. Conan stał przy niej z mieczem w ręku, czujnie rozglądając się na boki. Cisza i pustka świątyni oraz wyobraźnia podpowiadająca mu, co mogło się znajdować za tą ścianą, sprawiły, że czuł się jak dziki zwierz instynktownie wyczuwający pułapkę.

— Ach! — dziewczyna w końcu znalazła sprężynę i w murze pojawił się prostokątny otwór. — Na Seta! — zakrzyknęła z triumfem.

Conan skoczył ku niej, lecz w tej samej chwili z otworu wyłoniło się wielkie, sękatę łapsko i chwyciło tancerkę za włosy. Gwałtownie szarpnięta dziewczyna wpadła głową naprzód w dziurę. Conan bezskutecznie usiłował ją złapać: palce ześliznęły mu się z jej nagiego ramienia i w następnej chwili stał sam przed gładką jak przedtem ścianą. Zza muru dobiegały go stłumione odgłosy szamotaniny, słaby krzyk i złowrogi śmiech, na dźwięk którego Cymeryjczykowi krew zastygła w żyłach.

SŁUGA KAPŁANA

Conan zaklął i ze straszliwą siłą uderzył rękojeścią miecza w mur, aż czarny marmur pękł i ukruszył się. Jednak ukryte drzwi nie ustępowały pod ciosami i rozsądek podpowiedział

barbarzyńcy, że niewątpliwie zaryglowano je od wewnątrz. Odwrócił się i podbiegł do drzwi w rogu świątyni. Podniósł miecz, aby je rozbić, ale najpierw pchnął je lewą ręką. Otworzyły się bez oporu, ukazując długi korytarz oświetlony migotliwym blaskiem kaganków i niknący w oddali.

Po wewnętrznej stronie drzwi dostrzegł gruby, złoty rygiel i dotknął go lekko końcami palców. Słabe ciepło metalowej sztaby mógł wyczuć tylko człowiek o nadzwyczaj wyostrzonych zmysłach — ale Conanowi nie sprawiło to trudności. Pojął, że ktoś dotykał czy odsuwał tę zasuwę — przed kilkoma sekundami. Wszystko wskazywało na to, że Totrasmek natychmiast się dowie o wizycie nieproszonych gości.

Jeżeli wejdzie do środka, to z pewnością wpadnie w zasadzkę zastawioną przez arcykapłana. Jednak Conan nie wahał się. Gdzieś w tym mrocznym wnętrzu była Zabibi, a sądząc po tym, co słyszał o kapłanach Hanumana, był pewny, że dziewczyna potrzebowała pomocy. Cicho jak kot przeszedł przez próg, gotowy w każdej chwili odeprzeć atak.

Po lewej stronie korytarza ciągnął się szereg łukowatych drzwi. Barbarzyńca próbował je otworzyć — wszystkie były zamknięte. Przeszedł może trzydzieści kroków, gdy korytarz ostro zakręcił w lewo tworząc łuk, o którym mówiła dziewczyna. Zaraz za zakrętem Cymeryjczyk znalazł drzwi, które ustąpiły pod pchnięciem ręki.

Ostrożnie zajrzał do obszernej, prostokątnej komnaty, nieco lepiej oświetlonej niż korytarz.

Jej ściany były z białego marmuru, podłoga z kości słoniowej, a sufit z czernionego srebra. Tu i tam stały otomany obite grubą satyną, inkrustowane złotem stołki z kości słoniowej i owalne stoły z jakiegoś materiału przypominającego metal. Na jednej z otoman leżał człowiek twarzą zwrócony ku drzwiom. Zaśmiał się, widząc zdumienie na twarzy Cymeryjczyka.

Mężczyzna był odziany tylko w przepaskę biodrową i sandały. Miał brązową skórę, krótko obcięte, czarne włosy i bystre oczy szeroko osadzone w twarzy o aroganckim wyrazie. Był

niezwykle wysoki i szeroki w barach, a potężne mięśnie torsu i ramion zdawały się rozsadzać ciemną skórę. Miał największe dłonie, jakie Conan widział w życiu i sprawiał wrażenie człowieka głęboko przekonanego o własnej sile.

— Dlaczego nie wchodzisz, barbarzyńco? — zawołał drwiąco, czyniąc zapraszający gest.

W oczach Conana pojawił się złowrogi błysk, ale wszedł do komnaty, trzymając w pogotowiu obnażony miecz.

— Kim jesteś, do diabła? — warknął.

— Jestem Baal–pteor — odparł tamten. Kiedyś, dawno temu i daleko stąd, nosiłem inne imię. Jednak to też jest dobre. Każda świątynna dziewczka może ci powiedzieć, dlaczego Totrasmek mnie tak nazwał.

— A więc jesteś jego psem! — mruknął Cymeryjczyk. — No, Baal–pteorze, powiedz mi, gdzie jest dziewczyna, którą wciągnąłeś przez sekretne drzwi?

— Mój pan się nią zajmuje! — roześmiał się Baal–pteor. — Posłuchaj!

Zza drzwi znajdujących się po przeciwnej stronie komnaty dobiegł kobiecy krzyk, słaby i przytłumiony.

— Niech cię diabli! — rzekł Conan ruszając do drzwi, lecz zaraz stanął jak wryty. Baal–pteor śmiał się z niego śmiechem, w którym rozbrzmiewała niewypowiedziana groźba.

Barbarzyńcy włosy stanęły dęba na głowie, a przed oczami zawirowały czerwone płatki.

Skoczył ku Baal–pteorowi podnosząc miecz do ciosu, lecz tamten szybkim ruchem rzucił w niego błyszcząca, kryształową kulą, lśniąca w upiornym świetle lamp.

Conan uchylił się instynktownie, lecz pocisk w przedziwny sposób zatrzymał się w powietrzu o kilka centymetrów od jego twarzy i zawisł nieruchomo, jak na niewidzialnej nitce. Kula zaczęła wirować przed oczami zdumionego barbarzyńcy, niknąc, rozszerzając się, zmieniając w mglisty opar. Gęsty obłok wypełnił komnatę i spowiał Cymeryjczyka, zakrył

meble, ściany i uśmiechnięte oblicze Baal–pteor. Barbarzyńca zniknął w oślepiająco błękitnym, oszalamiająco szybko kręcącym się wirze. Straszliwy wicher szarpnął nim i przygiął ku ziemi, usiłując zbić z nóg i wciągnąć w szaleńczo wirujący lej.

Ze zduszonym okrzykiem Cymeryjczyk odskoczył w tył i oparł się plecami o ścianę.

Dotknawszy czegoś materialnego pozbył się iluzji. Wirująca, gigantyczna kula zniknęła jak rozpryskująca się bańka. Conan wyprostował się chwiejnie. Stał w pokoju o srebrnym suficie, stopy spowijała mu szara mgła, a Baal–pteor skręcał się na swym łożu, wstrząsany cichym śmiechem.

— Ty psie! — syknął Conan i rzucił się na niego.

Jednak w tej samej chwili mgła podniosła się z podłogi, kryjąc brązowoskórego olbrzyma.

Macając na oślep w spowijającej go chmurze, Cymeryjczyk doznał wstrząsającego uczucia zagubienia — wszystko zniknęło. Nagle stał wśród wysokich, bagiennych trzciny, a ogromny bawół pędził nań z pochylonym łbem. Cymeryjczyk uskoczył, unikając ciosu wygiętych jak szable rogów i wbił miecz tuż za łopatką, przebijając żebra i serce. Wtedy okazało się, że to nie bawół zdycha w błocie, lecz brązowoskóry Baal–pteor. Conan zaklął i odciął mu głowę, lecz ta odbiła się od ziemi jak piłka i chwyciła go za gardło ostrymi zębami. Mimo swej ogromnej siły nie mógł jej oderwać —

dławił się, dusił... Nagle usłyszał ryk dartego powietrza, poczuł, że spada, leci... Poczuł wstrząs uderzenia i z powrotem był w komnacie z Baal–pteorem, który nadal miał głowę na ramionach i śmiał się z niego szyderczo.

— Sztuczki! — mruknął Cymeryjczyk szykując się do skoku i mocno wpierając stopy w marmurową posadzkę. W oczach pojawił mu się wściekły błysk. Ten pies igrał z nim, drwił z niego! Jednak wszystkie te sztuczki, dziecinne gierki z mgłą i złudzeniami nie mogły wyrządzić mu krzywdy i odwieść od celu. Wystarczy tylko skoczyć i uderzyć, a brązowskóry akolita stanie się skrwawionym, bezgłowym trupem. Tym razem barbarzyńca nie da się zwieść iluzji...

Jednak wbrew temu postanowieniu okręcił się na pięcie, słysząc za plecami mrozący krew w żyłach pomruk i błyskawicznie rąbnął ostrzem w łeb czarnej pantery, czającej się na owalnym stole. Zwierzę zniknęło i klinga z ogłuszającym trzaskiem uderzyła w matową powierzchnię. Conan natychmiast poczuł coś dziwnego. Ostrze przywarło do stołu! Szarpnął

wściekle. Nie oderwało się. To nie było złudzenie. Stół był ogromnym magnesem.

Barbarzyńca chwycił oburącz rękojeść, lecz zaraz odwrócił się słysząc szmer kroków — Baal–pteor w końcu podniósł się z otomany.

Nieco wyższy od Conana i o wiele tęższy, Baal–pteor stał nad nim niczym góra mięśni..

Lekko odchylił od ciała nienaturalnie długie ręce, a jego wielkie dłonie otwierały się i zaciskały bezwiednie. Conan puścił miecz i stanął twarzą do przeciwnika w milczeniu, patrząc nań spod zmrużonych powiek.

— Zabiję cię, Cymeryjczyku! — rzekł z szyderstwem w głosie Baal–pteor. — Skręcę ci kark gołymi rękami, tak jak ukręca się łeb kurczęciu! W taki sposób Kosalańczycy składają ofiary Yajurowi. Stoi przed tobą dusiciel z Yota–pongu, barbarzyńco. Już w dzieciństwie zostałem wybrany przez kapłanów Yajura i od dziecka przez wiek chłopięcy i młodość ćwiczono mnie w sztuce zabijania gołymi rękami — bo w taki sposób składa się ofiary. Yajur kocha krew i nie wolno jej marnować. Kiedy byłem dzieckiem dawali mi niemowlęta; kiedy byłem chłopcem, dusiłem młode dziewczyny; jako młodzieniec dusiłem starców, kobiety i młodych chłopców. Dopiero gdy osiągnąłem wiek męski, dano mi pierwszego mężczyznę, abym go zabił na ołtarzu Yota–pongu. Przez całe lata składałem ofiary, setki karków skręciłem tymi palcami! — rzekł, podsuwając ręce pod nos Cymeryjczyka. — Nieważne, dlaczego uciekłem z Yota–pongu i zostałem sługą Totrasmeka. Za chwilę nic już nie będzie dla ciebie ważne. Kapłani Yajura, dusiciele z Kosali są silni nad ludzkie wyobrażenie, a ja byłem wśród nich najsilniejszy. Tymi rękami, barbarzyńco, skręcę ci kark!

Przy tych słowach błyskawicznie złapał Conana za szyję i ścisnął. Cymeryjczyk nie próbował się uchylić czy odtrącić dłoni napastnika, lecz także ucapił przeciwnika za byczy kark. Czarne oczy Baal–pteora rozszerzyły się ze zdumienia, gdy poczuł pod palcami grube postronki mięśni chroniące szyję barbarzyńcy. Z głuchym pomrukiem zacisnął dłonie i węzły potwornych mięśni naprężyły się na jego sękatych ramionach. Jednak w tejże chwili z jego ust wydobył się zduszony okrzyk, bo Cymeryjczyk zrewanżował mu się równie silnym uściskiem. Przez chwilę stali bez ruchu jak dwa posągi, z twarzami wykrzywionymi z wysiłku i żyłami nabrzmiewającymi na skroniach. Wargi

Conana wykrzywił szyderyczy grymas. Baal–pteorowi oczy wyszły z orbit, pojawiło się w nich niebotyczne zdziwienie pomieszane ze strachem. Obaj stali nieruchomo — tylko mięśnie ich ramion i szeroko rozstawionych nóg dygotały lekko — szczeni w śmiertelnych zmaganiach przekraczających ludzkie wyobrażenie; było to zmaganie sił mogących wyrwać drzewa z korzeniami i kruszyć czaszki stepowych bawołów.

Nagle Baal–pteor ze świstem wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. Twarz mu posiniała, a w oczach pojawił się strach. Wydawało się, że lada chwila pękną mu nabrzmiące żyły na ramionach i skroniach. Daremnie z całej siły zaciskał dłonie; mięśnie, które chroniły grubo kark Conana, były jak stalowe liny, a palce barbarzyńcy coraz mocniej wpijały się w gardło przeciwnika, gniotąc arterię i krtań.

Posągowy bezruch walczących zmienił się w gwałtowną, rozpaczliwą szamotaninę, gdy Baal–pteor zaczął się szarpać i cofać, próbując wyrwać się z uścisku. Puścił szyję Cymeryjczyka i złapał go za nadgarstki, chcąc oderwać bezlitosne palce od swojego gardła.

Conan gwałtownym pchnięciem przycisnął go do krawędzi stołu opierając plecami o twarde kant, tak że kręgosłup Baal–pteora zdawał się pękać.

Cymeryjczyk zaśmiał się drwiąco.

— Głupcze! — syknął. — Chyba nigdy przedtem nie spotkałeś człowieka z Zachodu.

Uważasz się za silnego, ponieważ potrafisz zabijać cywilizowanych ludzi, biednych słabeuszy o mięśniach jak przegniłe nitki? Skręć kark dzikiemu cymeryjskiemu bykowi, zanim nazwiesz się silnym. Ja robiłem to, zanim stałem się dorosłym mężczyzną... o tak!

I gwałtownym skretem wykręcił głowę Baal–pteora w tył, tak że kręgi szyi trzasnęły jak spróchniała gałąź.

Conan z pogardą puścił trupa pozwalając mu opaść na podłogę, po czym jeszcze raz chwycił rękojeść swego miecza i mocno zaparł się nogami o blat stołu. Krew spływała mu na piersi z zadrapań, jakie pozostawiły mu na szyi paznokcie Baal–pteora. Pot zlepił mu czarną grzywę i perlił się na czole. Cymeryjczyk ciężko dyszał. Mimo że tak pogardliwie mówił o sile Baal–pteora, w osobie nieludzkiego Kosalańczyka napotkał niemal równego sobie przeciwnika. Jednak nie tracąc czasu na rozważania i odpoczynek z całych sił szarpnął

rękojeść miecza i oderwał go od magnesu.

Po chwili pchnął drzwi, zza których wcześniej dobiegł krzyk dziewczyny. Przeszedł przez nie i znalazł się w kolejnym korytarzu, długim i prostym, którego przeciwny koniec zasłaniała gruba, aksamitna kotara. Stamtąd nadlatywały dźwięki niesamowitej muzyki, jakby wziętej z koszmarnego snu. Barbarzyńcy dreszcz przebiegł po plecach. Przez muzykę przebijało się histeryczne, jękliwe dyszenie. Mocno ścisnąwszy miecz Conan cicho ruszył korytarzem.

TAŃCZ, DZIEWCZYNO, TAŃCZ!

Kiedy Zabibi została wciągnięta w otwór, który pojawił się w ścianie świątyni, w jej przerażonym umyśle tłukła się tylko jedna myśl: że wybiła jej godzina. Instynktownie zamknęła oczy i czekała na cios. Jednak zamiast tego poczuła, że bezceremonialnie rzucono ją na podłogę, boleśnie objając kolana i biodro. Otworzyłszy oczy rozejrzała się lękliwie wokół.

Zza ściany dochodził stłumiony łoskot uderzeń. Zobaczyła stojącego obok brązowoskórego giganta w przepasce na biodrach, a po drugiej stronie komnaty, do której ją przeniesiono, innego mężczyznę siedzącego na otomanie — grubego, tłustego człowieka o pulchnych dłoniach i bazylijszkowym spojrzeniu. Dziewczynie ciarki przebiegły po skórze: mężczyzną tym był Totrasmek, kapłan Hanumana, który od lat oplatał Zamboulę pajęczymi nitkami swych intryg...

— Barbarzyńca usiłuje rozwalić mur — rzekł z sardonicznym uśmiechem — ale rygiel wytrzyma.

Dziewczyna zobaczyła, że sekretne drzwi — dobrze widoczne po tej stronie — zamknięto grubą, złożoną sztabą. Ta zasuwa wytrzymałaby szarżę słonia.

— Idź i otwórz mu drzwi, Baal-pteorze — rozkazał Totrasmek. — Zabij go w prostokątnej komnacie na drugim końcu korytarza.

Kosalańczyk pokłonił się nisko i wyszedł bocznymi drzwiami. Zabibi podniosła się i z lękiem spojrzała na kapłana, który mierzył ją pożądlivym spojrzeniem. Niewiele ją to obeszło. Jako zamboulańska tancerka była przyzwyczajona do własnej nagości. Jednak wyzierające z jego oczu okrucieństwo sprawiło, że zaczęła dygotać.

— Znów przyszłaś mnie odwiedzić w mojej samotni, moja piękna — zamruczał z cyniczną hipokryzją. — To niespodziewany zaszczyt. Wyglądało, że niezbyt dobrze bawiłaś się tu podczas poprzedniej wizyty, tak że nie ośmieliłem się żywić nadziei, iż zechcesz ją powtórzyć. Jednak zrobiłem, co mogłem, żeby cię zabawić.

Zamboulańskie tancerki nie rumienią się, ale w szeroko otwartych oczach Zabibi pojawił się błysk wściekłości pomieszanej z obawą.

— Tłusta świni! Wiesz dobrze, że nie przyszłam tu z miłości do ciebie.

— Nie — zaśmiał się Totrasmek — przyszłaś tu jak złodziej, skradając się w ciemnościach i przyprowadziłaś głupiego barbarzyńcę, żeby poderznął mi gardło. Dlaczego nastajesz na moje życie?

— Wiesz, dlaczego! — krzyknęła, wiedząc, że nie ma sensu zaprzeczać.

— To z powodu twojego kochanka — roześmiał się kapłan. — Fakt, iż przyszłaś tu dybiąc na moje

życie, wskazuje na to, że połknął lekarstwo, które ci dałem. No, czyż nie prosiłaś o nie? I czy nie dałem ci tego, o co prosiłaś, z miłości jaką do ciebie żywię?

— Prosiłam cię o środek, po którym miał spać przez parę godzin — odparła z goryczą. — A ty... ty przysłałeś przez swego sługę coś, po czym zupełnie oszalał! Byłam głupia, że ci zawierzyłam. Mogłam się domyślić, że twoje deklaracje przyjaźni to kłamstwa, za którymi kryje się złość i nienawiść.

— A dlaczego chciałaś, żeby twój kochanek zasnął? — odparł arcykapłan. — Ponieważ zamierzałaś ukraść mu jedyną rzecz, jakiej nigdy by ci nie dał — pierścionek z klejnotem zwanym Gwiazdą Khorali, skradziony królowej Ophiru, która oddałaby zań wszystkie swe skarby. Nie dałby ci go dobrowolnie, ponieważ wiedział, że w tym pierścieniu kryje się magiczna moc, która — jeśli się nią umiejętnie posłużyć — zapewnia miłość dowolnej osoby przeciwnej płci. Chciałaś go ukraść, bo obawiałaś się, że jego czarownicy odkryją sekret i twój kochanek zapomni o tobie w ramionach księżniczek i królowych wszystkich krajów.

Zamierzałaś sprzedać pierścień władczyni Ophiru, która zna jego sekret i która użyłaby go, żeby uczynić mnie swoim niewolnikiem, tak jak to zrobiła, zanim ktoś go jej ukraść.

— A dlaczego ty chcesz mieć pierścień? — spytała ponuro.

— Ja rozumiem jego moc. Dzięki niemu stałbym się potężniejszy.

— No — warknęła — to teraz go masz!

— Ja mam Gwiazdę Khorali? Nie, mylisz się.

— Po co kłamać? — rzekła z goryczą. — Miał go na palcu, kiedy wygnał mnie na ulicę.

Kiedy go odnalazłam, już go nie miał. Z pewnością twój sługa obserwował dom i zabrał

pierścień, kiedy uciekłam. Do diabła z nim! Chcę, żeby mój kochanek był znów cały i zdrowy. Masz pierścień; ukarałeś nas oboje. Dlaczego nie sprawisz, żeby wrócił mu rozum?

Możesz tego dokonać?

— Mógłbym — zapewnił, wyraźnie ciesząc się jej przygnębieniem. Z fałdów togi wydobył

mały flakonik. — Oto sok złotego lotosu. Jeśli twój kochanek wypije go, odzyska zdrowe zmysły. Tak, będę litościwy. Oboje drwiliście ze mnie i krzyżowaliście mi plany, nie raz, lecz wiele razy. On zawsze stawał mi na drodze. Chodź i weź ode mnie flakonik.

Dziewczyna spoglądała na Totrasmeka, trzęsąc się z niecierpliwości, pragnąc jak najprędzej chwycić flakonik w swoje ręce, lecz obawiając się, że to tylko okrutny żart.

Podeszła nieśmiało i wyciągnęła rękę, ale kapłan roześmiał się drwiąco i cofnął dłoń.

Otworzyła usta, żeby go przekląć, gdy instynkt kazał jej spojrzeć w górę. Ze złoconego sufitu opadły cztery nefrytowe wazy. Odskoczyła, ale naczynia nie uderzyły jej. Z trzaskiem spadły na posadzkę, tworząc naroża kwadratu. Zabibi wrzasnęła przeraźliwie, bo z każdej skorupy wyłonił się szeroki łeb kobry; najbliższa skoczyła ku jej nagiej nodze. Rozpaczliwy skok, którym uniknęła ukąszenia, przywiódł dziewczynę w zasięg kłów kolejnej żmii i ponownie musiała błyskawicznie odskoczyć, żeby znów znaleźć się bliżej innego gada.

Totrasmek złapał ją w pułapkę. Wszystkie cztery żmije kołysały się i kąsały, mierząc w stopy, łydki, kolana, uda lub biodra, w każdą część jej kształtnego ciała, jaka znalazła się w ich zasięgu i w żaden sposób nie mogła ich ominąć ani przeskoczyć, żeby umknąć w bezpieczne miejsce. Mogła tylko uchylać się i odskakiwać, wykręcając ciało tak, by uniknąć ukąszeń i za każdym razem, gdy umykała jednemu gadowi, przysuwała się niebezpiecznie blisko innego, tak że musiała natychmiast uskakiwać z szybkością błyskawicy. Miała bardzo niewiele przestrzeni i zakapturzone głowy kobr nieustannie jej zagrażały. Tylko zamboulańska tancerka mogła przeżyć w tym straszliwym kwadracie śmierci.

Poruszała się z oszałamiającą szybkością i ociekające jadem kły chybiały — o włos, ale chybiały, przegrywając w pojedynku z jej śmigłymi stopami, pewnymi nogami i wspaniałym refleksem, jakiemu nie mogły sprostać demony wyczarowane z powietrza przez jej nieprzyjaciela.

Gdzieś rozległa się cicha, skowycząca muzyka, zmieszana z sykiem żmij, złowieszcza jak nocny wiatr wiejący wśród stosów czaszek i piszczeli. Mimo że dziewczyna była zmuszona całą swą uwagę zwrócić na atakujące gady, zdawała sobie sprawę, że ich ataki przestały być przypadkowe. Kobry dostosowały się do ponurego rytmu upiornej melodii. Uderzały z miarową regularnością, zmuszając ją do dostosowania się do rytmu niesamowitej melodii.

Chaotyczne ruchy Zabibi zmieniły się w regularny, koszmarny taniec, przy którym najbardziej wyuzdane płasy zdawały się czymś skromnym i normalnym. Oszałała ze wstydu i przerażenia dziewczyna usłyszała rozbawiony głos swego bezlitosnego dręczyciela.

— Oto Taniec Kobry, moja śliczna! — śmiał się Totrasmek. — Tak przed wiekami tańczyły dziewice poświęcone Hanumanowi — chociaż nie tak zwinnie i pięknie. Tańcz, dziewczyno, tańcz! Jak długo zdołasz uniknąć kłów Jadowitego Ludu? Minuty? Godziny? W

końcu się zmęczysz. Twoje szybkie, pewne nogi zaczną się plątać, a biodra zaczną się kręcić wolniej. Wtedy ich kły zaczną się wbijać w twoje jędrne ciało...

Kotara za jego plecami zatrzęsała się jakby poruszona wiatrem i Totrasmek wrzasnął

przeraźliwie. Szeroko otworzył oczy i konwulsyjnie ścisnął rękami długie ostrze, które sterczało mu z piersi.

Muzyka urwała się raptownie. Dziewczyna zatoczyła się niepewnie i krzyknęła, spodziewając się ukąszenia straszliwych kłów — ale w tej samej chwili Totrasmek runął

twarzą na posadzkę i żmije zmieniły się w cztery pasma wijącego się dymu.

Conan wyszedł zza kotary i otarł zbroczone ostrze. Patrząc przez szparę w zasłonie widział

dziewczynę wijącą się rozpaczliwie między czterema spiralami dymu, ale podejrzewał, że Zabibi widziała coś zupełnie innego. Wiedział, że zabił Totrasmeka.

Zabibi osunęła się na podłogę dysząc ciężko, ale gdy barbarzyńca ruszył ku niej podniosła się znowu, chociaż nogi uginały się jej ze zmęczenia.

— Flakonik! — wyszeptała. — Flakonik!

Totrasmek wciąż ścisnął go w sztywniejącej ręce. Bezceremonialnie wyrwała mu go z zaciśniętych palców, a później zaczęła pospiesznie przeszukiwać fałdy jego szaty.

— Czego szukasz, u diabła? — dopytywał się Conan.

— Pierścienia, który ukradł Alafdhalowi. Z pewnością to zrobił, kiedy mój kochanek oszalał i biegał po ulicach. A niech to demony!

Przekonawszy się, że Totrasmek nie ma pierścienia przy sobie, zaczęła się miotać po komnacie, rozdzierając obicia, kotary, rozbijając naczynia. Po chwili przestała i odgarnęła z czoła wilgotny kosmyk włosów.

— Zapomniałam o Baal–pteorze!

— Jest już w piekle ze skręconym karkiem — zapewnił ją barbarzyńca.

Słyszając te wieści wyraziła swe nieklamane zadowolenie, ale zaraz zaklęła siarczyście.

— Nie możemy tu zostać. Niedługo będzie świtać. W każdej chwili mogą się tu zjawić inni kapłani i jeśli znajdą nas przy jego zwłokach, to rozerwą nas na sztuki. Turańczycy nam nie pomogą.

Odsunęła rygiel sekretnych drzwi i w kilka chwil później spieszenie oddalali się ulicami od cichego placu, na którym wznosiła się prastara świątynia Hanumana.

Nieco dalej Conan przystanął w krętej uliczce i zatrzymał swoją towarzyszkę, kładąc swą ciężką dłoń na jej ramieniu.

— Nie zapominaj o zapłacie...

— Nie zapomniałam! — odparła odsuwając się. — Ale teraz musimy iść do... najpierw do Alafdhala!

Kilka minut później ten sam czarnoskóry niewolnik wpuścił ich do domu Zabibi. Młody Turańczyk leżał na otomanie z rękami i nogami skrępowanymi grubymi, aksamitnymi sznurami. Oczy miał otwarte, ale były to oczy wściekłego psa i toczył pianę z ust. Zabibi zadrżała.

— Rozchyl mu szczęki! — nakazała i Conan uczynił to swymi stalowymi palcami.

Dziewczyna wlała zawartość flakonika w usta szaleńca. Rezultat zakrawał na czary.

Mężczyzna natychmiast przestał się prężyć. Jego oczy straciły szklisty wyraz; spojrzał na dziewczynę ze zdumieniem, ale zupełnie przytomnie i rozumnie. Potem zapadł w głęboki sen.

— Kiedy się obudzi będzie zupełnie normalny — szepnęła Zabibi i skinęła na milczącego niewolnika.

Podszedł i z głębokim ukłonem wręczył jej skórzaną sakiewkę, a potem narzucił jej na ramiona jedwabny płaszcz. W jej zachowaniu zaszła wyraźna zmiana; gestem pokazała Conanowi, aby poszedł za nią.

W przejściu prowadzącym na ulicę odwróciła się do barbarzyńcy i powiedziała: — Muszę ci wyznać prawdę. Nie jestem Zabibi. Jestem Nafertari. A on nie jest Alafdhalem, biednym kapitanem gwardii. To Jungir Chan, satrapa Zambouli.

Conan nic na to nie odpowiedział; jego smagła, poznaczona bliznami twarz pozostała nieruchoma.

— Okłamałam cię, ponieważ obawiałam się wyznać prawdę — ciągnęła. — Byliśmy sami, kiedy Jungir Chan oszalał. Nikt oprócz mnie o tym nie wiedział. Gdyby rozeszła się wieść, że satrapa Zambouli zwariował, natychmiast zaczęłyby się rozruchy i zamieszki. Widzisz teraz, że nie mogę wynagrodzić cię tak, jak chciałeś. Kochanka satrapy nie może być twoją. Jednak nie odejdziesz bez nagrody. Oto sakiewka złota.

Wręczyła mu woreczek, który dał jej niewolnik.

— Teraz idź, a kiedy słońce wzejdzie, przyjdź do pałacu. Każę Jungir Chanowi, żeby zrobił cię kapitanem gwardii, ale będziesz spełniał moje rozkazy — w tajemnicy. Twoim pierwszym zadaniem będzie udać się na czele oddziału do świątyni Hanumana pod pretekstem szukania zabójcy kapłana, a w rzeczywistości, aby poszukać Gwiazdy Khorali.

Pierścień musi być gdzieś ukryty. Kiedy go znajdziesz, przyniesiesz mi. Teraz możesz odejść.

W milczeniu skinął głową i odszedł. Dziewczyna poczuła się dotknięta, widząc, że jego zachowanie nie zdradzało, by się martwił jej odmową.

Conan skręcił za róg, po czym obejrzał się za siebie, zmienił kierunek marszu i przyspieszył kroku. W kilka chwil później znalazł się w tej części miasta, w której był koński targ. Odszukał pewien dom i załomotał do drzwi, aż w oknie pojawiła się brodata twarz i zaspany głos zapytał o przyczynę tego zamieszania.

— Konia — zażądał Cymeryjczyk. — Najszybszego wierzchowca, jakiego masz.

— Nie otwieram drzwi o tej porze — burknął handlarz koni.

Conan potrząsnął sakiewką.

— Łobuzie, psi synu! Nie widzisz, że jestem sam i mam białą skórę? Zejdź na dół, zanim rozwalę drzwi!

W końcu Conan odjechał na gniadym ogierze w kierunku domu Arama Baksha.

Skręcił z ulicy w aleję biegnącą między tawerną a ogrodem, w którym rosły daktylowce, ale nie zatrzymał się przy bramie. Podjechał do północnego końca muru, po czym zakręcił i pojechał wzdłuż niego, aby w końcu zatrzymać się przed narożnikiem. W pobliżu nie było żadnych drzew, ale rosło trochę niskich krzaków. Do jednego z nich przywiązał konia i już zamierzał wspiąć się na siodło, kiedy usłyszał cichy pomruk głosów.

Wyjął nogę ze strzemienia i podszedłszy do rogu zerknął ostrożnie. Trzej mężczyźni szli drogą w kierunku kępy palm i po rozlazłym chodzie poznał, że to Darfarczycy. Przystanęli na jego wołanie, zbijając się w ciasną grupę, gdy podszedł do nich z mieczem w rękę. Ich oczy błyszczały blado w świetle gwiazd. W mahoniowych twarzach odbijała się zwierzęca żądza, jednak wiedzieli, że ich maczugi nie sprostają stalowemu ostrzu. Barbarzyńca też o tym wiedział.

— Dokąd idziecie? — zapytał.

— Powiedzieć naszym braciom przy jamie, żeby zgasili ognisko — padła ponura, chrapliwa odpowiedź. — Aram Baksh obiecał nam człowieka, ale skłamał. Znaleźliśmy jednego z naszych martwego w pokoju-pułapce. Tej nocy będziemy głodni.

— Chyba nie — uśmiechnął się Conan. — Aram Baksh wyda wam człowieka. Widzicie te drzwi?

Pokazał im małą, obitą żelazem furtę w zachodniej części muru.

— Zaczekajcie tam. Aram Baksh da wam człowieka.

Wycofał się tyłem, aż znalazł się poza zasięgiem ich maczug, a potem obrócił się i zniknął

za rogiem. Dotarłszy do konia przystanął, aby upewnić się, że czarni nie poszli za nim, a potem wspiął się na grzbiet wierzchowca i stanął w siodle, uspokajając zwierzę kilkoma cichymi słowami. Sięgnął ręką, chwycił krawędź muru i podciągnął się w górę. Przez chwilę spoglądał na zabudowania. Gospoda wznosiła się w południowym rogu, resztę przestrzeni zajmował ogród i krzaki. Nigdzie nie dostrzegł żywej duszy. Dom stał cichy i ciemny; barbarzyńca wiedział, że wszystkie drzwi i okna były dokładnie zamknięte i zaryglowane.

Pamiętał, że Aram Baksh śpi w komnacie przylegającej do obsadzonej cyprysami ścieżki wiodącej do drzwi w zachodnim murze. Przemknął jak cień przez zarośla i po chwili lekko zapukał do drzwi komnaty.

— Co jest? — zapytał burkliwy, senny głos.

— Aramie! — syknął Cymeryjczyk. — Czarni przełazą przez mur!

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast, ukazując gospodarza stojącego w samej koszuli, ale ze

sztyletem w rękę. Wyciągnął szyję spoglądając barbarzyńcy w twarz.

— Co to za bajki... To ty!

Stalowe palce Conana zdusiły mu krzyk w gardle. Obaj upadli na podłogę i Cymeryjczyk wyrwał sztylet z ręki wroga. Błysnęło ostrze i trysnęła krew. Aram Baksh zabulgotał

odrażająco, krztusząc się i dławiąc krwią. Conan szarpnięciem postawił go na nogi; znów błysnął sztylet i większość kręconej brody spadła na podłogę.

Wciąż trzymając przeciwnika za gardło — bo człowiek może wydawać nieartykułowane krzyki nawet z odciętym językiem — Cymeryjczyk wywlókł go z komnaty i zaciągnął do drzwi w murze. Jedną ręką odsunął rygiel i otworzył drzwi na oścież, odsłaniając trzy czarne postacie, które czały się tam jak sępy. W ich niecierpliwe ramiona rzucił gospodarza.

Z ust Zamboulańczyka wydobył się straszliwy, zdławiony wrzask, ale gospoda pozostała cicha i ciemna. Ludzie tu byli przyzwyczajeni do nocnych wrzasków.

Aram Baksh walczył jak szalony, nie odrywając swych wytrzeszczonych oczu od twarzy Cymeryjczyka. Nie znalazł w niej litości. Conan myślał o tuzinach nieszczęśników, którzy zawdzięczali swój straszny los chciwości tego człowieka.

Ludożercy z ochotą powlekli go drogą, drwiąc z jego rozpaczliwego bełkotu. Jak mogli poznać Arama Baksha w tej półnagiej, okrwawionej postaci z groteskowo obciętą brodą?

Stojąc przy bramie Conan wciąż słyszał odgłosy szamotaniny, mimo że tamci zniknęli już wśród palm.

Zamknawszy za sobą drzwi Conan wrócił do swego konia, dosiadł go i ruszył na zachód, na pustynię, szerokim łukiem omijając kępę palmowych drzew. Jadąc wyciągnął zza pasa pierścień, w którym błyszczał klejnot niezwyklej urody, sypiący skry w świetle gwiazd.

Przyjrzał mu się uważnie, obracając w palcach. Spory woreczek monet cicho brzęczał mu u łuku siodła, niczym obietnica przyszłego bogactwa.

— Zastanawiam się, co by powiedziała, gdyby wiedziała, że od pierwszego spojrzenia poznałem w niej Nafertari, a w nim, Jungira Chana — śmiał się do siebie. — O Gwieździe Khorali też wiedziałem. Będzie piękna scena, jeżeli ona kiedykolwiek domyśli się, że ściągnąłem mu go z palca, kiedy wiązałem go jego pasem. Jednak nigdy mnie nie złapią.

Obejrzał się na cienisty gąszcz palm, wśród których rósł czerwony blask ognia. Pod niebo wzbił się ponury przyśpiew, pełen dzikiej uciechy. Po chwili zmieszał się z nim inny dźwięk — oszalały wrzask, nieartykułowany ryk strachu i rozpacz. Ten krzyk biegł za Conanem odjeżdżającym na zachód pod niebem pełnym blednących gwiazd.

przeł. Zbigniew A. Królicki

STALOWY DEMON

The Devil in Iron

Robert E. Howard

Opuściwszy Zamboulę, Conan podąża na wschód, ku pielonym łąkom Shemu. Kroniki nic nie mówią o dalszych losach Gwiazdy Khorali; nie wiadomo, czy Conanowi udało się dotrzeć z klejnotem do Ophiru i otrzymać obiecaną górę złota, czy też utracił go po drodze na rzecz sprytnego złodzieja lub dziewczki lekkiego prowadzenia. W każdym razie profit — jeżeli nawet był — nie wystarczył mu na długo.

Odbył kolejną krótką podróż do rodzinnej Cymerii, stwierdzając, że kompani z lat młodości są martwi, a stare kąty nudniejsze niż Zwykle.

Słyszając, że kozacy odzyskali animusz i jak dawniej uprzykrzają życie królowi Yezdigerdowi, Conan wsiada na koń i wraca do Turanu.

Chociaż przybywa z pustymi rękami, znajduje licznych sojuszników wśród kozaków i korsarzy z Czerwonego Bractwa Morza Vilayet. Wkrótce gromadzi pod swoją komendą znaczne siły i zgarnia obfitsze niż kiedykolwiek łupy.

Rybak kurczowo chwycił rękojeść swego noża. Zrobił to zupełnie odruchowo, bowiem tego, czego się obawiał, nie zdołałby zabić nożem — nawet zębatym, zakrzywionym ostrzem Yuetsków, którym z łatwością można rozplatać dorosłego mężczyznę. Tutaj, w murach opuszczonej fortecy Xapur, przybyszowi nie zagrażał ani człowiek, ani zwierzę.

Wspiąwszy się na strome, przybrzeżne skały, przebył otaczającą fortyfikacje dżunglę i znalazł się wśród pozostałości zaginionej cywilizacji. Wśród drzew białe potrzaskane kolumny, zygzaki kruszących się murów biegły chwiejnymi meandrami w cień, a szerokie niegdyś chodniki popękały i powybrzuszały się pod naporem olbrzymich korzeni.

Rybak był typowym przedstawicielem swej rasy, dziwnego ludu, o rodowodzie ginącym w mrokach przeszłości, który od niepamiętnych czasów zamieszkiwał prymitywne chaty osad leżących nad brzegami morza Vilayet. Krępy mężczyzna o długich, małych ramionach i cienkich, kabłąkowatych nogach miał szeroką twarz, niskie cofnięte czoło okolone strzechą zmierzwionych włosów i potężny tors. Pas z nożem i łachman przepaski stanowiły cały jego strój. Obecność rybaka w tym miejscu dowodziła, że w przeciwieństwie do większości swych ziomków nie był zupełnie pozbawiony ciekawości. Ludzie rzadko odwiedzali Xapur.

Niezamieszkała, prawie zapomniana wyspa, jedna z tysięcy rozsianych na tym wielkim, śródładowym morzu. Zwano ją Fortecą Xapur, ze względu na ruiny — pozostałość jakiegoś prehistorycznego królestwa, zapomnianego na długo przed nadejściem Hyboryczyków z północy. Nikt nie wiedział, kto ociosał te głazy, chociaż przekazywane wśród Yuetsków z pokolenia na pokolenie, na wół niezrozumiałe legendy wspominały o pradawnym związku między rybakami a wymarłymi mieszkańcami wyspy.

Jednak Yuetskowie już ponad tysiąc lat wcześniej przestali rozumieć sens tych opowiadań.

Teraz powtarzali je jak pozbawione znaczenia, rytualne formułki, zgodnie ze zwyczajem przekazywane z ojca na syna. Od wieków nikt z ich plemienia nie postawił stopy na Xapur.

Pobliskie brzegi były niezamieszkałe; porośnięte trzciną bagna i dzikie bestie czyniły je niedostępnymi.

Wioska rybaka leżała nieco dalej na południe. Nocny sztorm przygnał jego kruchą łódkę tutaj, daleko od zwykłych łowisk, a ryczące fale roztrzaskały ją o urwisty brzeg wyspy. Teraz, rankiem, niebo było niebieskie i czyste, a wschodzące słońce zamieniało krople rosy na liściach w skrzące się diamenty.

Podczas burzy, kiedy jeden szczególnie silny piorun uderzył w wyspę, dał się słyszeć potężny rumor i łoskot osypujących się głazów. Nie wydawało się możliwe, by ten dźwięk mogło wywołać walące się drzewo. Spędziwszy noc u podnóża skał, rybak wdrapał się na nie o świcie. Przygnała go tam zwykła ciekawość, a teraz, gdy znalazł to, czego szukał, ogarnął

go niepokój i instynktowne przecucie niebezpieczeństwa.

Pośród drzew widniały ruiny kopulastej budowli, wzniesionej z gigantycznych bloków tego szczególnie twardego, jak stal, kamienia, znajdowanego tylko na wyspach Vilayet.

Zdawało się nieprawdopodobne, by ludzkie ręce zdołały obrobić te głady i ustawić z nich mury, a z pewnością zburzenie ich nie leżało w mocy człowieka. Jednak piorun strzaskał

kilkutonowe głady niczym szkło, zamieniając niektóre z nich w zielony płyn i rozłupując kopulasty strop.

Rybak wspiał się na gruzowisko i zajrzawszy do środka wydał okrzyk zdumienia. Pod rozbitym sklepieniem, obsypany przez odłamki skały i kurz, na złotym piedestale leżał

olbrzym. Jedyńm jego odzieniem była krótka spódniczka z rekiniej skóry. Czarną grzywę prosto przyciętych włosów przytrzymywała mu na skroniach wąska, złota opaska. Na nagiej, muskularnej piersi leżał dziwny sztylet o szerokim, zakrzywionym ostrzu i wysadzanej klejnotami rękojeści. Broń była bardzo podobna do noża, jaki nosił u pasa rybak, chociaż nie miała zębatego ostrza i wykonano ją z nieskończenie większą starannością.

Rybak pożądlwie spojrział na sztylet. Jego właściciel był niewątpliwie martwy; od wielu wieków z pewnością spoczywał w swym kopulastym grobowcu. Rybak nie zastanawiał się długo nad tajemniczą sztuką starożytnych, dzięki której umarły zachował tak łudzące pozory życia, a jego smagłe ciało przetrwało nietknięte przez czas. Wszystkie myśli przybyłego skupiły się na pięknym nożu, zdobionym delikatnymi, falistymi liniami biegnącymi wzdłuż zimno lśniącego ostrza.

Zszedłszy do grobowca, podniósł broń leżącą na piersiach mężczyzny. W tej samej chwili zdarzyło się coś dziwnego i straszego. Muskularne, czarne dłonie zacisnęły się kurczowo, powieki uniosły się odsłaniając ogromne, ciemne źrenice, których magnetyczne spojrzenie uderzyło przerażonego rybaka niczym cios pięści. Cofnął się, upuszczając sztylet, gdy spoczywający na postumencie olbrzym podniósł się do pozycji siedzącej. Rybak rozdziawił

usta ze zdziwienia, widząc, jak gigantyczną posturą obdarzony był nieznajomy. Ten wpatrywał się w niego zwięzonymi oczyma, pozbawionymi życzliwości czy wdzięczności, płonącymi obco i wrogoczym ślepią tygrysa.

Nagle wstał ze swego posłania i pochylił się nad rybakiem. W prymitywnej duszy rybaka nie było miejsca na uczucie strachu; przynajmniej nie wzbudził go widok naruszenia podstawowych praw natury. Gdy olbrzymie dłonie zacisnęły się na jego ramionach, dobył

swego zakrzywionego noża i pchnął — jednym płynnym ruchem. Ostrze prysnęło uderzywszy w muskularny tors giganta, jakby okrywał go niewidoczny stalowy pancierz i w tej samej chwili kark rybaka trzasnął w rękach olbrzyma jak spróchniała gałąź.

Jehungir Aga, pan Khawarizmu oraz strażnik morskich granic raz jeszcze spojrzął na ozdobny zwój pergaminu opatrzony wielobarwną pieczęcią, po czym zaśmiał się krótko i sardonicznie.

— No? — bezceremonialnie nalegał Ghaznavi, jego doradca. Jehungir wzruszył

ramionami. Był przystojnym mężczyzną, dumnym ze swych osiągnięć i wysokiego urodzenia.

— Król się niecierpliwi — powiedział. — Własną ręką kreśli do mnie słowa swego niezadowolenia z powodu mojej, jak to nazywa, niezdolności do ochrony granicy. Na Tarima, jeżeli nie zdołam zniszczyć tych stepowych rabusiów, Khawarizm będzie miał nowego pana!

Ghaznavi w zamyśleniu gładził swą przetykaną siwizną brodę. Yezdigard, król Turanu, był

najpotężniejszym monarchą na świecie. Jego pałac w wielkim portowym mieście — Aghrapurze, wypełniały nieprzebrane skarby. Flotyllę jego galer wojennych o czerwonych żaglach królowały na Morzu Hyrkańskim i Morzu Vilayet. Ciemnoskórzy Zamoranie składali mu daninę, tak samo jak wschodnie prowincje Koth. Również Shemici poddali się jego władzy, aż po leżący daleko na wschodzie Shushan. Jego armie pustoszyły pogranicze Stygii na południu i okryte śniegiem ziemie Hyperborejczyków na północy. Jego jeźdźcy ponieśli ogień i żelazo na zachód, do Brythunii, Ophiru, Koryntii, a nawet do granic Nemedii. Na rozkaz króla Yezdigerda wojownicy w pozłacanych zbrojach tratowali kopytami swych koni mieszkańców tych ziem i puszczały z dymem ich miasta. Na przepelnionych targowiskach niewolników w Aghrapurze, Sultanapurze, Khawarizmie, Shahpurze i Khoruzanie za trzy małe sztuki srebra sprzedawano kobiety: ciemnowłose Zamoranki, brunatnoskóre Stygijki, jasnowłose Brythunki, hebanowe Kuszytki i Shemitki o oliwkowej skórze.

A jednak, chociaż jego szybka jazda zwyciężała obce armie daleko od granic Turanu, tuż pod bokiem zuchwały wróg szarpnął go za brodę, niosąc śmierć i pożogę. Na rozległych stepach między Morzem Vilayet a odległymi granicami hyboryjskich królestw, powstała w ciągu niecałych pięćdziesięciu lat nowa społeczność, założona przez zbiegłych niewolników, banitów, przestępców i dezertersów. Ich zbrodnie były tak rozmaite, jak kraje ich pochodzenia: jedni urodzili się na stepach, inni przybyli z królestw Zachodu. Nazywano ich kozakami czyli przybłędami.

Zamieszkując szerokie, dzikie równiny, nie uznając żadnych praw prócz swego specyficznego kodeksu, potrafili stawić czoło nawet wojskom Wielkiego Monarchy.

Nieustannie najeżdżali granice Turanu, chroniąc się w stepie w razie klęski; razem z piratami Czerwonego Bractwa Morza Vilayet niepokoiли wybrzeże, łupiąc statki handlowe kursujące między portami Hyrkani.

— Jak mam zniszczyć to wilcze plemię? — dopytywał się Jehungir. — Jeśli wyruszę za nimi w step, ryzykuję, że otoczą mnie i rozbiją albo, jeżeli będę miał przewagę, wymkną się z okrażenia i spalą miasto w czasie mojej nieobecności. Ostatnio rozzuchwalili się bardziej niż zwykle.

— To z powodu nowego wodza — rzekł Ghaznavi. — Wiesz, o kim myślę.

— Tak! — odparł Jehungir z wściekłością. — To ten demon Conan. Jest jeszcze dzikszy od kozaków, ale waleczny niczym górski lew.

— Raczej dzięki instynktowi niż inteligencji — powiedział Ghaznavi. — Inni kozacy są przynajmniej potomkami cywilizowanych ludzi. On jest barbarzyńcą; gdyby udało nam się go pozbyć, zadalibyśmy kozakom decydujący cios.

— Ale jak? — pytał Jehungir. — Raz po raz wychodzi cało z wydawałoby się śmiertelnych operacji. Poza tym dzięki instynktowi czy rozwadze uniknął wszystkich zasadzek.

— Na każde zwierzę i na każdego człowieka znajdzie się odpowiednia przynęta — rzekł

sentencjonalnie Ghaznavi. — Kiedy paktowaliśmy z kozakami w sprawie okupu za więźniów, obserwowałem Conana. Ma skłonność do mocnych trunków i nie stroni od kobiet. Sprowadź

tu swą niewolnicę Oktawię.

Jehungir klasnął w dłonie i hebanowo czarny Kuszyta — eunuch o kamiennej twarzy — oddalił się z niskim pokłonem, by wykonać rozkaz. Po chwili wrócił, wiodąc za rękę wysoką, przystojną dziewczynę, której jasne włosy, oczy i skóra świadczyły o miejscu urodzenia.

Krótką, ściągniętą w pasie tunika podkreślała zarysy wspaniałego ciała. W jasnych oczach palił się niechętny błysk, a pełne wargi zaciskały się uparcie, lecz długie miesiące niewoli nauczyły ją posłuszeństwa. Stała ze zwieszoną głową przed swym panem, dopóki gestem nie nakazał jej sięść obok na dywanie.

Jehungir spojrzał wyczekująco na doradcę.

— Musimy wywabić Conana z obozu — wypalił Ghaznavi. — Obecnie znajduje się on gdzieś w dolnym biegu rzeki Zaporozka, która, jak wiem, jest gąszczem trzcin, bagnistą dżunglą, gdzie ostatnia ekspedycja karna wyginęła do ostatniego człowieka.

— Nie mogę o tym zapomnieć — powiedział ze złością Jehungir.

— Niedaleko leży niezamieszkała wyspa — ciągnął Ghaznavi — zwana Fortecą Xapur, ze względu na prastare ruiny, jakie na niej stoją. Pewien szczegół czyni ją idealną dla naszych celów. Otóż jej brzegi wznoszą się wprost z morza, tworząc urwiska wysokie na pięćdziesiąt metrów. Nawet małpa nie zdołałaby się na nie wspiąć. Jedyne drogi, jaką można się dostać na wyspę, znajduje się na zachodnim brzegu — to strome, wykute w skale schody. Jeżeli zdołamy zwabić Conana na wyspę samego, nasi łucznicy będą mogli ustrzelić go, jak lwa w klatce.

— Pobożne życzenia — przerwał niecierpliwie Jehungir. — Mamy wysłać do niego posłańca z prośbą, by przybył na wyspę i poczekał tam na nas?

— W samej rzeczy! — widząc zdumienie Jehungira, doradca ciągnął dalej. — Zaczniemy rokowania z kozakami na skraju stepu, przy Forcie Ghori. Jak zwykle udamy się tam zbrojnie i rozłożymy obóz pod murami zamku. Oni przybędą w równej sile, po czym rokowania przebiegną jak zazwyczaj: w

atmosferze podejrzliwości i braku zaufania. Jednak tym razem weźmiemy ze sobą, jakby przypadkiem, naszego ślicznego więźnia — doradca ruchem głowy wskazał dziewczynę.

Oktawia zbladła i zaczęła słuchać ze zdwojonym zainteresowaniem.

— Ona użyje całego swego sprytu, by zwrócić uwagę Conana. To nie powinno być trudne.

Temu dzikiemu rabusiowi wyda się nieziemsko pięknym zjawiskiem. Jej żywy charakter i jędrne ciało powinny pociągnąć go silniej niż wdzięki którejs z lalkowatych piękności twojego seraju, panie.

Oktawia skoczyła na równe nogi, zaciskając pięści, syjąc skry z oczu i trzęsąc się ze złości.

— Chcecie zmusić mnie do łajdaczenia się z tym barbarzyńcą? — krzyknęła. — Nie zrobię tego! Nie jestem tanią dziwką z jarmarku, żeby kokietować jakiegoś stepowego rabusia.

Jestem córką nemedyjskiego szlachcica i...

— Byłaś nemedyjską szlachcianką, zanim porwali cię moi jezdni — zareplikował

Jehungir. — Teraz jesteś tylko niewolnicą i uczynisz, co każe.

— Nie zrobię tego! — wrzasnęła.

— Wprost przeciwnie — rzekł z wysublimowanym okrucieństwem Jehungir — zrobisz.

Podoba mi się plan Ghaznaviego. Mów dalej, mój książę doradców.

— Conan najprawdopodobniej zechce ją kupić. Oczywiście, odmówisz sprzedaży czy wymiany na naszych hyrkańskich jeńców. Może nawet spróbuje ją porwać lub zabrać siłą — chociaż nie sądzę, by chciał naruszyć zawieszenie broni. W każdym razie musimy być przygotowani na wszystko. Zaraz po rokowaniach, zanim zdoła o niej zapomnieć, wyślemy do niego posła, oskarżając go o porwanie dziewczyny i żądając jej zwrotu. Być może zabije posłańca, ale będzie sądził, że dziewczyna uciekła. Później wyślemy szpiega — yuetshański rybak będzie odpowiedni — do obozu kozaków, aby powiedział Conanowi, że Oktawia ukrywa się na Xapur. O ile go znam, uda się tam natychmiast.

— Ale czy na pewno sam? — spierał się Jehungir.

— Czy mężczyzna bierze ze sobą oddział wojowników, gdy udaje się na spotkanie z kobietą, której pożąda? — odparł doradca. — Jest duża szansa, że będzie sam. Jednak zabezpieczymy się przed tą drugą ewentualnością. Nie będziemy czekać na niego na wyspie, ryzykując, że zamieni się ona w pułapkę, lecz ukryjemy się w trzcinach, dochodzących prawie na tysiąc jardów do Xapur. Jeśli przybędzie z większą siłą, wycofamy się i wymyślimy coś innego. Jeżeli przybędzie sam lub z kilkoma ludźmi — będzie nasz. Na pewno przybędzie, mając w pamięci uśmiechy i znaczące spojrzenia twojej czarującej niewolnicy, panie.

— Nigdy nie okryję się taką hańbą! — Oktawia szalała z gniewu i upokorzenia. — Prędzej umrę!

— Nie umrzesz, moja piękna buntowniczo — rzekł Jehungir — ale doświadczysz czegoś bardzo bolesnego i przykrego.

Klasnął w dłonie i Oktawia pobladła. Tym razem nie pojawił się ciemnoskóry Kuszyta, lecz muskularny Shemita — krępy mężczyzna z kędzierzawą, kruczoczną bródką.

— Jest robota dla ciebie, Gilzanie — rzekł Jehungir. — Weź tę głupią dziewczkę i pobaw się z nią trochę. Tylko bacz, byś nie zepsuł jej urody.

Z nieartykułowanym mruknięciem Shemita chwycił Oktawię za rękę i uścisk jego żelaznych palców sprawił, że opuściła ją cała odwaga. Z żalnym okrzykiem wyrwała się oprawcy i padła na kolana przed nieubłaganym panem, z łkaniem prosząc o litość.

Jehungir gestem odprawił rozczarowanego kata i rzekł do Ghaznaviego: — Jeżeli twój plan się powiedzie, ozłocę cię!

Ciemności przedświtu, spowijające morze falujących trzcin i mętne wody bagniska, zakłócał dziwny szmer. Nie spowodował go leniwie ciekący strumyk ani skradające się zwierzę. Przez gęste, wysokie trzciny przedzierała się ludzka istota.

Gdyby ktoś tam był, zobaczyłby kobietę wysoką i jasnowłosą, o bujnych kształtach podkreślonych przez przemoczoną tunikę oblepiającą jej ciało. Oktawia rzeczywiście uciekła; nawet teraz wzdrygała się na wspomnienie upokorzeń, jakich zaznała w niewoli.

Wystarczająco okropne było mieć Jehungira za pana, lecz on z rozmyślnym okrucieństwem podarował ją szlachcicowi, którego imię nawet w Khawarizmie było synonimem zwyrodnienia. Na samą myśl o tym ciarki przebiegły po jedwabistej skórze Oktawii. Rozpacz dodała jej sił do ucieczki z zamku Jelal Chana. Nocą spuściła się po linie sporządzonej z podartych gobelinów, a przypadek dopomógł jej znaleźć spętanego konia. Jechała całą noc; rano zastała ją z ochwaconym wierzchowcem na bagnistym brzegu morza. Trzęsąc się z odrazy na myśl o ponownym wpadnięciu w ręce Jelal Chana i czekającym ją w tym wypadku losie, zagłębiła się w moczary, szukając schronienia przed spodziewanym pościgiem. Kiedy otaczające ją trzciny stały się rzadsze, a woda sięgnęła do pasa, dziewczyna ujrzała przed sobą mroczne kontury wyspy. Oddzielał ją od brzegu szeroki pas wody, ale nie powstrzymywało to Oktawii. Brnęła dalej, dopóki ciemna toń nie sięgała jej do piersi, potem odbiła się mocno od dna i popłynęła z wigorem świadczącym o niezwyklej wytrzymałości.

Gdy podpłynęła bliżej, zobaczyła, że brzegi wyspy wznoszą się pionowo z wody niczym mury zamku. W końcu dotarła do ich podnóża, ale nie znalazła ani uchwytu, ani występu, na którym mogłaby stanąć. Popłynęła dalej wzdłuż brzegu, czując, jak ogarnia ją zmęczenie.

Nagle macające niecierpliwie ręce trafiły na zagłębienie. Z jęklwym westchnieniem ulgi wciągnęła się na głazy i leżała dysząc, ociekająca wodą, w przyćmionym blasku gwiazd podobna do białej boginki. Natrafiła na coś, co wyglądało na wykute w skale schody. Ruszyła po nich w górę. Nagle przywarła do kamieni, usłyszawszy stłumione skrzypnięcie owiązanych szmatami wiosł. Wyteżyła wzrok i wydało jej się, że dostrzega niewyraźny kształt zmierzający do porośniętego trzcina cypla, który niedawno opuściła. Jednak mrok był

wciąż jeszcze zbyt gęsty, by mogła być tego pewna. W końcu słaby szmer ucichł i Oktawia znów ruszyła w górę. Jeżeli to pościg za nią, nie miała innego wyjścia, jak ukryć się na wyspie. Wiedziała, że większość wysp tego bagnistego wybrzeża była niezamieszkała. Ta mogła być pirackim gniazdem, ale wolała nawet piratów od Jelal Chana — bestii w ludzkiej skórze. W czasie wspinaczki mimowolnie porównywała swego właściciela z wodzem kozaków, którego — pod przymusem — bezwstydnie kokietowała w namiotach obozu przy Forcie Ghori, gdzie hyrkańscy panowie układali się ze stepowymi wojownikami. Jego palące spojrzenia przepajały ją lękiem i wstydem, lecz czysta, prymitywna natura stawiała go wyżej od potwora, jakiego tylko zbyt wyrafinowana cywilizacja mogła wydać.

Wdrapała się na skraj urwiska i bojaźliwie rozejrzała się wokół. Gęstwina sięgała prawie do

samego brzegu, tworząc zwartą ścianę ciemności. Coś śmignęło jej nad głową — skuliła się mimo woli, wiedząc, że to tylko nietoperz.

Chociaż przerażał ją hebanowy mrok, zacisnęła zęby i skierowała się w głąb wyspy, próbując nie myśleć o jadowitych wężach. Jej bose stopy stąpały bezgłośnie po miękkim poszyciu. Kiedy weszła między drzewa, ciemność zamknęła się wokół niej nieprzeniknionym murem, napełniając trwogą. Nie zrobiła jeszcze tuzina kroków, a już nie mogła dojrzeć skał i morza. Po kilku następnych straciła poczucie kierunku i zgubiła się kompletnie. Przez splątane gałęzie nie mogła dostrzec ani jednej gwiazdy. Brnęła po omacku, na oślep, gdy nagle... zatrzymała się.

Gdzieś przed nią rozległo się monotonne dudnienie bębna. Nie był to ten rodzaj dźwięku, jakiego można by się spodziewać w tym miejscu i czasie. Jednak zapomniała o nim natychmiast, uświadomiwszy sobie czyjąś obecność w pobliżu. Nie widziała niczego, ale wiedziała, że ktoś stoi przy niej w ciemnościach.

Ze zduszonym krzykiem rzuciła się w tył i w tej samej chwili coś, w czym mimo paniki rozpoznała ludzkie ramię, chwyciło ją w tali. Wrzasnęła i szarpnęła się ze wszystkich sił, lecz napastnik porwał ją w objęcia jak dziecko, z łatwością przewycięzając gwałtowny opór.

Milczenie, z jakim spotkały się jej rozpaczliwe błagania i protesty, wzmogło jeszcze jej przerażenie. Poczula, że ktoś taszczy ją w kierunku odległego, wciąż pulsującego miarowym rytmem, bębna.

Kiedy pierwszy promyk świtu zaczerwienił morze, do brzegu wyspy zbliżała się mała łódź z samotnym żeglarzem. Mężczyzna ten był niezwykle malowniczą postacią. Głowę miał

owiazaną purpurową opaską, obszerną, jedwabną koszulę o jaskrawej barwie podtrzymywała szeroka szarfa, na której zawieszona była krótka szabla w pochwie z rekiniej skóry. Nabijane złotem, skórzane buty sugerowały, że ich właściciel był raczej jeźdźcem niż żeglarzem, tym niemniej wprawnie sterował swoją łodzią.

Wycięcie szeroko otwartej, jedwabnej koszuli ukazywało muskularną, spaloną od słońca pierś.

Pod brązową skórą przybysza grały potężne mięśnie, gdy bez wysiłku poruszał piórami wiosel. Jego rysy zdradzały dziką, prymitywną naturę, lecz twarz nie była odpychającym obliczem dzikusa, chociaż płomień tłący się w błękitnych oczach zdradzał, że łatwo jest wzbudzić jego gniew. Był to Conan, który zawędrował do warownych obozowisk kozaków, nie mając nic prócz swego sprytu i miecza, a jednak został ich wodzem.

Przybił do brzegu opodal wykutych w skale schodów, jak ktoś dobrze znający wyspę i przycumował łódź do skalnego występu. Następnie bez wahania ruszył w górę po zmurszałych stopniach. Rozglądał się bacznie wokół; nie dlatego, by świadomie spodziewał

się ukrytego zagrożenia, lecz ponieważ czujność była częścią jego osobowości, wyostrzoną przez pełne niebezpieczeństw życie, jakie wiódł. To, co Ghaznavi uważał za jakiś szósty zmysł lub zwierzęcy instynkt, było jedynie nabytą w toku długotrwałych ćwiczeń wprawą i wrodzonym sprytem barbarzyńcy. Żaden instynkt nie podpowiadał Conanowi, że obserwują go skryci w nadbrzeżnych trzcinach ludzie.

Kiedy wspinał się na urwisko, jeden z nich odetchnął głęboko, powoli naciągając cięciwę swego łuku. Jehungir chwycił go za ramię i z wściekłością syknął do ucha: — Głupcze! Chcesz wszystko zepsuć? Nie widzisz, że jest poza zasięgiem? Niech wejdzie na wyspę. Będzie szukał dziewczyny. My zaczekamy tu jakiś czas. Mógł wyczuć naszą obecność lub przejrzeć nasz plan. Może ukrył gdzieś w pobliżu swoich wojowników.

Poczekamy. Za godzinę, jeżeli nie zajdzie nic podejrzanego, podpłyniemy do schodów i zaczaiemy się tam. Jeśli nie powróci szybko, pójdziemy na wyspę i zapolujemy na niego.

Wolałbym jednak tego unikać, bo wielu z nas zginie w dżungli. Chciałbym go zaskoczyć, gdy będzie schodził do łodzi i naszpikować strzałami z bliskiej odległości.

W tym czasie nie podejrzewający niczego wódz kozaków zagłębił się w gęstwinę. Szedł

cicho na miękkich skórzanych podszwach, przesywając wzrokiem każdy zakamarek, niecierpliwie oczekując widoku wspaniałej, jasnowłosej piękności, o której marzył od chwili pierwszego spotkania w namiocie Jehungira Agi przy Forcie Ghori. Pożądałby jej nawet, gdyby okazywała mu

wyraźną niechęć. Jednak jej znaczące spojrzenia i uśmiechy rozpały mu krew i teraz z całą odziedziczoną po przodkach gwałtownością pożądał tej białoskórej, jasnowłosej kobiety.

Był już przedtem na Xapur. Niecały miesiąc wcześniej odbyło się tu sekretne spotkanie z piratami. Wiedział, że właśnie zbliża się do miejsca, gdzie wznoszą się tajemnicze ruiny, którym wyspa zawdzięcza swoją nazwę i zastanowił się przelotnie, czy poszukiwana dziewczyna ukrywa się wśród nich. Nagle stanął jak wryty.

Zobaczył coś, co przeczyło wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi — wielki, ciemnozielony mur, za blankami którego wznosiły się wyniosłe wieże.

Przez chwilę Conan stał jak sparaliżowany, szarpany wątpliwościami, jakie ogarnęłyby każdego, kto staje w obliczu rzeczy nieprawdopodobnej i przeczącej zdrowemu rozsądkowi.

Conan nie wątpił w swoje zmysły, ale coś tu było nie w porządku. Mniej niż miesiąc wcześniej tylko ruiny wznosiły się wśród drzew.

Czyż ludzkie ręce zdołałyby wznieść tak potężne mury w ciągu zaledwie kilku tygodni?

Ponadto nieustannie przemierzający Morze Vilayet piraci powinni zauważyć prace przy tak gigantycznym przedsięwzięciu i zawiadomić kozaków.

W żaden sposób nie można było wytłumaczyć tego wydarzenia, a jednak wzrok nie mylił

barbarzyńcy. Znajdował się na Xapur i te fantastyczne, kamienne budowle stały na wyspie i wszystko to wydawało się szaleństwem i niemożliwością, a jednak było prawdą.

Zawrócił, chcąc umknąć z powrotem przez dżunglę, wykute w skale schody i błękitne wody, do odległego obozu u ujścia rzeki Zaporozka. Przez jedną krótką chwilę ogarniętemu paniką Conanowi nawet myśl o pozostaniu w pobliżu wyspy wydawała się odstręczająca.

Najchętniej porzuciłby wszystko — warowne obozy, step, kozaków — i zostawił tysiąc mil za sobą ten tajemniczy Wschód, gdzie niewyobrażalne, demonie moce wyczyniały rzeczy urągające podstawowym prawom natury.

Przez chwilę przyszłość królestw, uzależniona od tego nieświadomego barbarzyńcy, wisiała na włosku. Tylko jeden drobny szczegół przeważył szalę: spłoszony wzrok Conana padł na mały strzęp jedwabiu wiszący na krzaku. Pochylił się nad nim węsząc, wyczuł

delikatną woń. Ten wydarty przez gałąź kawałeczek materiału zachował dręczący zmysły zapach. Raczej dzięki jakiemuś niejasnemu przeczuciu niż dzięki wyczulonemu węchowi rozpoznał perfumy pięknej, jasnowłosej dziewczyny, którą widział w namiocie Jehungira.

Zatem rybak nie kłamał: była tu! Później zobaczył na ziemi odcisk bosej stopy, długiej i wąskiej — ślad mężczyzny, nie kobiety — lecz odcisnięty nienaturalnie głęboko. Wniosek był oczywisty: człowiek niósł coś, a cóż to mogło być, jak nie poszukiwana dziewczyna?

Conan stał bez ruchu, patrząc na czarne wieże groźnie majaczące między drzewami i w jego niebieskich oczach pojawił się złowrogi błysk. Pożądanie jasnowłosej dziewczyny i ponura, pierwotna nienawiść do jej porywacza, stopiły się w jedno, przemożne uczucie. Namiętność przewyciężyła przesądny lęk i Conan przyczajony niczym gotujący się do skoku lew, ruszył

ku murom fortu, korzystając z osłony gęstego listowia.

Stwierdził, że mur zbudowano z tego samego zielonego kamienia, z jakiego korzystali dawni budowniczy, unosząc fortyfikacje leżące do niedawna w ruinie i doznał dziwnego wrażenia, że spogląda na coś dobrze znanego. Wydawało mu się, że patrzy na coś, co widział

przedtem we śnie.

W końcu zrozumiał. Mury i wieże znajdowały się na miejscu dawnych ruin. Jakby z kruszejących szczątków znów odbudowano starożytne budowle.

Żaden dźwięk nie zakłócił ciszy poranka, gdy Conan podkraść się pod mur wznoszący się pionowo wśród bujnej roślinności, tu, na południowych krańcach ogromnego, śródziemnego morza, prawie tropikalnej. Na blankach nie ujrzał nikogo, niczego też nie dosłyszał. W

pobliżu dostrzegł masywną bramę, lecz nie przypuszczał, by mogła być niezamknięta czy niestrzeżona. Wiedziony przekonaniem, że kobieta, której szukał, znajduje się gdzieś za murami, postąpił w typowy dla siebie, zuchwały sposób.

W górze porośnięte pnączami gałęzie sięgały prawie do blanków. Conan wdrapał się na drzewo jak kot, po czym, dotarłszy nieco powyżej górnej krawędzi muru, chwycił obiema rękami gruby konar, rozkołysał się i w odpowiedniej chwili puścił. Przeleciał w powietrzu i z kocią zwinnością wylądował na blankach. Tam przyczał się i spojrzał w dół, na ulice miasta.

Mur miał niewielki obwód, lecz liczba budynków znajdujących się wewnątrz była zdumiewająca. Trzy i czteropiętrowe budowle z zielonego kamienia miały płaskie dachy i reprezentowały dobry styl architektoniczny. Ulice zbiegały się jak szprychy koła na ośmiokątnym placu stanowiącym centrum miasta — tam wznosił się wyniosły gmach o wielu kopułach i wieżach, górujących nad całym miastem.

Na ulicach i w oknach nie zobaczył żywej duszy, chociaż słońce wzeszło już dawno.

Królująca wszędzie martwa cisza zdawała się świadczyć o opuszczeniu miasta.

Conan znalazł wąskie, kamienne schody i ruszył nimi w dół. Domy przylegały tak blisko muru, że znalazłszy się w połowie drogi miał najbliższe okno na wyciągnięcie ręki. Zatrzymał

się i zajrzał. Okno nie miało okiennic ani krat, tylko rozchylone szeroko, jedwabne zasłony.

Za nimi zobaczył komnatę o ścianach okrytych ciemnymi, aksamitnymi gobelinami. Na podłodze leżały grube dywany, a ławy z polerowanego hebanu i łoże ze słoniowej kości zasłane były stertami futer.

Conan zamierzał iść dalej, gdy usłyszał na ulicy czyjeś kroki. Zanim nadchodzący zdążył

wyjsc z za rogu i zobaczyć Cymeryjczyka na schodach, ten jednym susem przeskoczył do komnaty i miękko wylądowawszy na podłodze dobył szabli. Przez moment stał nieruchomo jak posąg; później, kiedy nic się nie wydarzyło, ruszył po dywanach w stronę drzwi. Nagle jedna z zasłon odchyliła się, ukazując wyłożoną poduszkami alkowę i szczupłą, ciemnowłosa dziewczyna spojrzała na niego sennym wzrokiem.

Conan popatrzył w napięciu spodziewając się, że zaskoczona zaraz zacznie krzyczeć.

Jednak dziewczyna tylko stłumiła ziewnięcie delikatną dłonią; wstała i niedbale oparła się o zasłoniętą gobelinem ścianę.

Niewątpliwie należała do białej rasy, chociaż jej skóra była bardzo ciemna. Miała prosto przycięte, czarne jak noc włosy, a jedynym jej odzieniem był skrawek jedwabiu owinięty wokół bioder. W końcu odezwała się, ale w nieznanym języku i Conan potrząsnął głową.

Dziewczyna ziewnęła ponownie, przeciągnęła się i nie okazując strachu czy zdziwienia, zaczęła mówić językiem, który rozumiał: dialektem Yuetszów, brzmiącym dziwnie archaicznie.

— Szukasz kogoś? — zapytała tak obojętnie, jakby najście jej komnaty przez uzbrojonego nieznajomego było rzeczą najzwyczajszą w świecie.

— Kim jesteś? — zapytał Conan.

— Jestem Yateli — odparła leniwie. — Chyba biesiadowałam wczoraj do późna — jestem taka senna. A kim ty jesteś?

— Jestem Conan, wódz kozaków — odrzekł, przyglądając się jej bacznie. Uważał jej zachowanie za pozę i spodziewał się, że dziewczyna spróbuje uciec z komnaty lub zaalarmować domowników. Jednak, mimo że aksamitny sznur, najprawdopodobniej używany do wzywania służby, wisiał w zasięgu jej ręki, dziewczyna nie próbowała zań pociągnąć.

— Conan — powtórzyła niepewnie. — Nie jesteś Dagonem. Sądzę, że jesteś najemnym żołnierzem. Czy ściałeś głowy wielu Yuetszom?

— Nie walczę ze szcurami! — sarknął Conan.

— Ale oni są straszni — mruknęła. — Pamiętam czasy, gdy byli naszymi niewolnikami.

Potem zbuntowali się: palili, zabijali. Tylko czary Khosatrała Khela trzymają ich z dala od murów...

Przerwała i na jej twarzy pojawiło się zdziwienie.

— Zapomniałam — szepnęła. — Oni wspięli się na mury zeszłej nocy. Wokół słyhać było krzyki i trzask płomieni, a ludzie daremnie wzywali Khosatrała...

Potrząsnęła głową, jakby próbując się otrząsnąć.

— Przecież to niemożliwe — wymamrotała. — Ja żyję, a wydawało mi się, że jestem martwa. Och, do diabła z tym!

Przeszła przez komnatę i biorąc Conana za rękę, pociągnęła go na łóżko. Pozwolił na to, wciąż spodziewając się podstępu. Dziewczyna uśmiechnęła się jak senne dziecko: długie, jedwabiste rzęsy opadły przysłaniając ciemne, zamglone oczy. Przesunęła dłonią po jego gęstych lokach, jakby chciała przekonać się, że jest rzeczywistością.

— To był sen — ziewnęła. — Z pewnością to mi się tylko śniło. Teraz też czuję się jak we śnie. Nieważne. Nic nie pamiętam... Zapomniałam... jest coś, czego nie mogę zrozumieć, ale kiedy tylko próbuję o tym myśleć, staję się taka senna... W każdym razie to bez znaczenia.

— Co masz na myśli? — zapytał Conan. — Mówisz, że wspięli się zeszłej nocy na mury?

Kto?

— Yuetshowie. Przynajmniej tak mi się zdaje. Kłęby dymu zasłoniły wszystko, a potem nagi, zboczony krwią potwór chwycił mnie za gardło i wbił nóż w piersi. Och, jak bolało!

Ale to był tylko sen, bo — widzisz? — wcale nie mam blizny!

Ospale obejrzała swą gładką pierś, po czym siadła Conanowi na kolana i otoczyła ramionami jego potężny kark.

— Nie pamiętam — mruzczała, tuląc swą ciemną główkę do jego masywnej piersi. — Wszystko wydaje się takie odległe i niewyraźne... To nic. Ty nie jesteś snem. Jesteś silny.

Cieszmy się życiem, póki możemy. Kochaj mnie!

Conan ułożył puszystą głowę w zagłębieniu zgiętego ramienia i z nieskrywaną przyjemnością ucałował pełne, czerwone wargi.

— Jesteś silny — powtórzyła słabnącym głosem. Kochaj mnie, kochaj...

Senne mamrotanie ucichło: długie rzęsy opadły, ciemne powieki zamknęły się i dziewczyna zwiotczała w ramionach Conana.

Popatrzył na nią marszcząc brwi. Tak jak i całe miasto, wydawała się być złudzeniem, lecz ciepło i miękkość jej ciała świadczyły dobitnie, że ma w swych objęciach żywą istotę, a nie senną zjawę. Mimo to zakłopotany Conan pośpiesznie ułożył ją na wyścielonym futrami łóżku.

Jej sen był zbyt głęboki, by mógł być naturalny. Zdecydował, że dziewczyna musiała zażyć jakiś narkotyk, może podobny do czarnego lotosu z Xuthal.

Nagle zobaczył coś, co go zdziwiło. Wśród futer na łóżku znajdowała się piękna, złocista skóra w

czarne cętki. Conan wiedział, że zwierzę to wymarło przed tysiącem lat — był to bowiem wielki złoty leopard, zajmujący tak poczesne miejsce w hyboryjskich legendach i którego starożytni artyści tak chętnie przedstawiali na freskach. Z niedowierzaniem potrząsając głową, Conan wyszedł przez łukowato sklepione drzwi na korytarz. W budynku panowała cisza, lecz na zewnątrz wyczulone ucho barbarzyńcy pochwyciło dźwięk ludzkich kroków. Ktoś schodził z muru po tych schodach, z których Conan skoczył do komnaty.

W chwilę później z niepokojem usłyszał, jak coś wylądowało z potężnym trzaskiem na podłodze pokoju, który dopiero co opuścił. Conan zawrócił i pospieszył krętym korytarzem, aż zatrzymał się na widok leżącego człowieka. Mężczyzna leżał na podłodze, połową ciała tkwiąc jeszcze w otworze zamaskowanych drzwi — teraz uchylonych. Szczupłe i ciemne ciało okrywała jedynie przepaska. Leżący miał ogoloną głowę, a na jego twarzy malowało się okrucieństwo.

Conan pochylił się nad nim szukając przyczyny śmierci — śladu morderczego ciosu — i stwierdził, że mężczyzna jest pogrążony we śnie tak samo jak ciemnowłosa dziewczyna w komnacie. Tylko dlaczego wybrał sobie takie miejsce na drzemkę?

Zastanawiając się nad tym, Conan wzdrygnął się usłyszawszy coś za sobą. Ktoś zbliżał się korytarzem. Conan rozejrzał się wokoło i zobaczył, że się kończy się wielkimi drzwiami.

Mogły być zamknięte. Jednym szarpnięciem wyciągnął śpiącego mężczyznę z ukrytego przejścia i przeszedł przez próg, zamykając drzwi za sobą. Stojąc w ciemności usłyszał, że odgłos kroków urwał się przed jego kryjówką i lekki dreszcz przebiegł mu po krzyżu. W ten sposób nie mógł stąpać ani człowiek, ani żadne ze znanych barbarzyńcy zwierząt.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, przerywana słabym trzeszczeniem drewna. Wyciągnąwszy rękę Conan poczuł, że metalowe drzwi wyginają się, jakby z drugiej strony napierał na nie straszliwy ciężar. Sięgnął po broń, ale napór ustał nagle: usłyszał dziwne, obrzydliwe ciamkanie, od którego włosy zjeżyły mu się na głowie. Z szablą w dłoni zaczął się wolno cofać, aż natrafił na schody i niewiele brakowało, a byłby z nich spadł. Wąskie stopnie prowadziły w dół. Ruszył w ciemność, próbując bezskutecznie wymacać jakieś drzwi.

Właśnie kiedy doszedł do wniosku, że już nie znajduje się w budynku, lecz głęboko pod nim, schody skończyły się i zaczął się tunel.

Wymacując sobie drogę w ciemnościach, Conan szedł przez cichy tunel, w każdej chwili spodziewając się upadku w jakąś niewidoczną przepaść. Jednak w końcu jego stopy ponownie natrafiły na stopnie. Wszedł po nich i dotarł do drzwi. Po chwili jego błędzące palce znalazły metalowy rygiel. Wyszedł z tunelu i znalazł się w mrocznej, wyniosłej sali o ogromnych rozmiarach. Pod żyłkowanymi ścianami biegły szeregi dziwacznych kolumn, podtrzymując sklepienie — czarne i przezroczyste jednocześnie, które wyglądało jak zachmurzone, nocne niebo, dając złudzenie nieprawdopodobnej wysokości. Światło wpadające tędy do komnaty było przedziwnie zmienione. W zalegającym wokół półmroku Conan ruszył po pustej, zielonej posadzce. Wielka sala miała kształt owalny. Jedną ze ścian przecinały wielkie podwoje spiżowych wrót. Naprzeciw nich znajdowało się podium, na które wiodły szerokie, kręte schody. Tam stał miedziany tron i Conan cofnął się gwałtownie, unosząc szablę, kiedy zobaczył, kto na nim siedzi.

Wstrzymując oddech wszedł po szklanych stopniach, żeby przyjrzeć się temu z bliska. Był

to gigantyczny wąż, najwidoczniej wyrzeźbiony z jakiegoś materiału przypominającego nefryt. Każda łuska odrażającego cielska wyglądała jak prawdziwa, również tęcze kolory odtworzono z niezwykłą dokładnością. Wielka, trójkątna głowa była do połowy ukryta w splotach — tak więc ślepia i paszczyka pozostawały niewidoczne. W mózgu Conana wolno kiełkowało zrozumienie. Ten wąż najwidoczniej miał uosabiać jedno z tych ponurych stworzeń, jakie w minionych wiekach zamieszkiwały trzciniaste brzegi południowych krańców Morza Vilayet. Jednak, podobnie jak złocisty lampart, węże te wymarły przed setkami lat. Conan widział ich toporne wizerunki w świętych chatach Yuetshów, a także czytał ich opis w Księdze ze Skelos, która powoływała się na przedhistoryczne źródła.

Teraz, podziwiając pokryte łuskami cielsko, grubsze od jego uda i z pewnością niezwykle długie, wyciągnął rękę i dotknął węża. W tej samej chwili drgnął gwałtownie, a serce podeszło mu do gardła. Krew w jego żyłach zmieniła się w lód i wszystkie włosy stanęły mu dęba, bowiem nie dotknął gładkiej, kruchej powierzchni z metalu, szkła lub kamienia, lecz elastycznej tkanki. Pod palcami poczuł leniwie tętniące życie...

Z obrzydzeniem cofnął rękę. Zachowując najwyższą ostrożność zszedł tyłem po krętych stopniach, nie spuszczać oka ze straszliwego władcy wylegującego się na swym miedzianym tronie. Z gardłem ściśniętym lękiem i odrazą dotarł do wielkich drzwi i spróbował je otworzyć. Stwór nie poruszył się. Conan czuł przerażenie na myśl, że nie uda mu się otworzyć wrót i pozostanie tu dłużej razem z potwornym gadem. Jednak podwoje ustąpiły — wysliznął się z sali i zamknął je za sobą.

Znalazł się w obszernej komnacie o pokrytych gobelinami ścianach, w której panował taki sam mętny półmrok. W słabym świetle bardziej odległe przedmioty były trudne do rozpoznania i Conana zaniepokoiła myśl o ewentualnym spotkaniu z pełzającymi w ciemnościach gadami. Oświetlenie sprawiało, że drzwi na końcu sali wydawały się oddalone o całe mile.

Wiszący na pobliskiej ścianie gobelin najwyraźniej zasłaniał jakieś przejście. Ostrożnie unosząc kotarę, Conan odkrył wąskie schody wiodące w górę.

Gdy stał zastanawiając się, z wielkiej sali, którą dopiero co opuścił, dobiegło go ponownie znajome szuranie stóp. Czyżby ktoś za nim szedł? Conan nie zwlekając wbiegł na stopnie.

Kiedy schody wreszcie się skończyły, wszedł w pierwsze napotkane drzwi. Jego pozornie chaotyczna wędrówka miała dwa cele: ucieczkę z tego niesamowitego budynku i odnalezienie nemedyjskiej dziewczyny, którą, jak czuł, uwięziono gdzieś tutaj. Był przekonany, że wielki, kopulasty gmach w centrum miasta jest siedzibą władcy i tu z pewnością doprowadzono dziewczynę.

Znalazł się w pomieszczeniu pozbawionym drugich drzwi i już chciał zawrócić, gdy usłyszał dochodzący zza ściany głos. Przytknął ucho do muru i słuchał uważnie. Lodowaty dreszcz zaczął wolno pełznąć mu po krzyżu. Głos nie należał do ludzkiej istoty, choć przemawiał po nemedyjsku.

— Nie było życia w Otchłani prócz tego, jakie ja uosabiałem — dudnił głos. — Nie było światła, ni ruchu, ni dźwięku. Tylko siła nakazująca i wiodąca mnie w górę — ślepego, pozbawionego zmysłów i litości. Wiek za wiekiem wspinałem się przez niezmierzone odmęty ciemności...

Conan zaczarowany przez ten dźwięczący głucho, niczym dzwon bijący o północy, głos, trwał zasłuchany, zapomniawszy o całym świecie, aż hipnotyczna moc odjęła mu wszystkie zmysły, pozostawiając tylko pojawiające się w mózgu wizje. Już nie zdawał sobie sprawy z istnienia głosu, czuł jedynie przytłumione, rytmiczne fale dźwięków. Przeniesiony poza czas i przestrzeń, pozbawiony osobowości widział przemianę rzeczy zwołującej się Khosatralem Khelem, która wypełzła z Mroku przed setkami lat i przybrała materialną postać.

Jednakże ludzkie ciało było zbyt słabe i marne dla tej straszliwej istoty. Tak więc Khosatral Khel przybrał postać mężczyzny, lecz jego ciało nie było ciałem, krew — krwią, a kości — kośćmi. Stał się chodzącym bluźnierstwem przeciwko prawom natury, ponieważ w jego osobie bezpostaciowa, pierwotna siła przybrała żywą, myślącą formę.

Niczym bóg przemierzał świat, bowiem nie miała się go żadna broń, a wiek był dla niego tylko chwilą. Podczas swoich wędrówek natrafił na prymitywny lud zamieszkujący wyspę Dagonię. Obdarzył ich kulturą i mądrością, bo sprawiło mu to przyjemność; dzięki jego pomocy zbudowali miasto, gdzie zamieszkali i oddawali mu cześć. Dziwni i straszni byli jego słudzy zwoływani z najciemniejszych zakamarków planety, na której wciąż jeszcze uchowały się ponure stwory z minionych wieków. Jego siedziba łączyła się z wszystkimi domami w mieście tunelami, którymi kapłani o wygolonych głowach znosili mu ludzkie ofiary.

Po wielu wiekach na brzegu morza pojawił się dziki, koczowniczy szczep. Nazywali się Yuetshami. Po zacieklej bitwie zostali zwyciężeni i przez następne pół wieku służyli Khosatralowi jako niewolnicy i umierali na jego ołtarzach. Czarami trzymał ich w ryzach, lecz w końcu yuetshański kapłan — dziwny, ponury człowiek — umknął w pustkowia, a kiedy wrócił, przyniósł ze sobą nóż z nieziemskiej materii. Wykuto go z meteoru, który przemknął po niebie jak ognista strzała i spadł w odległej dolinie. Niewolnicy zbuntowali się.

Zębatymi ostrzami swych noży rznąli Dagonów jak owce, a czary Khosatrala nie miały mocy przeciw magicznemu nożowi kapłana. Rzeź i pożoga rozszalały się na ulicach miasta, a ostatni akt ponurego dramatu rozegrał się w ukrytej krypcie, za wielką salą tronową o ścianach cętkowanych niczym skóra

węża.

Stamtąd kapłan Yuetszów wyszedł sam. Nie zabił swego wroga, ponieważ w razie potrzeby chciał go użyć przeciw swym buntowniczym poddanym. Pozostawił Khosatrala leżącego bez zmysłów na złotym postumencie, z magicznym nożem na piersiach. Ale mijały wieki. Kapłan umarł i rozsypały się wieże Dagonii; opowieści o tym stały się legendą, a Yuetszowie w wyniku głodu, zarazy i wojen stali się nielicznym ludem, zamieszkującym brudne i nędzne wioski na brzegu morza. Tylko tajemna krypta oparła się działaniu czasu, aż przypadkowy piorun i ciekawość rybaka podniosły magiczne ostrze z piersi bóstwa i zdjęły zaklęcie. Khosatral Khel ożył i znów był potężny jak dawniej. Z jego woli odrodziło się miasto — takie, jakim było przed upadkiem. Czarnoksiężką sztuką wskrzesił z prochu minionych stuleci budowle i zamieszkujący w nich lud. Jednak ludzie, którzy zaznali spokoju śmierci, są już tylko częściowo żywi. W zakamarkach duszy i umysłu wciąż kryje się nieprzezwyciężona martwota. W nocy lud Dagonii bawi się i tańczy, nienawidzi i kocha, pamiętając o swej śmierci i zagładzie miasta jak o niewyraźnym koszmarze sennym: krążąc w kręgu złudzeń, czując niezwykłość swego istnienia, lecz nie dociekając jej przyczyny. O

świecie zapada w głęboki sen, by zbudzić się znowu z nadejściem nocy — krewniaczki śmierci.

Wszystko to przemknęło przez świadomość Conana, kiedy trwał zasłuchany przy ścianie.

Zamroczony, czuł, że opuszcza go wiara we własne zdrowe zmysły, pozostawiając wizję świata gęsto zaludnionego przez ponure stwory o straszliwych zdolnościach. Przez dudniący głos, głoszący swój triumf nad wszelkimi prawami natury i kosmosu, przedarł się ludzki krzyk, sprowadzając Conana do rzeczywistości. Gdzieś histerycznie szlochała kobieta.

Conan odruchowo zerwał się na równe nogi.

Jehungir Aga z rosnącą niecierpliwością czekał na swej łodzi wśród trzcin. Upłynęła już przeszło godzina, a Conan nie pojawił się ponownie. Niewątpliwie wciąż przeszukiwał

wyspę, myśląc, że dziewczyna się na niej ukrywa. Jednak Aga zaczął obawiać się czegoś innego. A jeśli hetman pozostawił swoich ludzi w pobliżu? Czy nie nabiorą podejrzeń i nie nadciągną, by sprawdzić przyczynę tak długiej nieobecności wodza? Jehungir wydał rozkaz wioślarzom. Długa łódź wynurzyła się z trzcin i pomknęła ku wykutym w skale stopniom.

Pozostawiając pół tuzina ludzi na pokładzie, Aga zabrał resztę ze sobą: dziesięciu tęgich łuczników z Khawarizmu, odzianych w spiczaste hełmy i płaszcze z tygryziej skóry. Jak myśliwi podążający za tropem lwa skradali się pod drzewami, trzymając strzały na cięciwach.

W lesie panowała cisza: tylko wielkie, zielone stworzenie — chyba papuga — przeleciało im nad głowami z głośnym łopotem skrzydeł i zniknęło w mroku. Nagle Jehungir gwałtownym gestem zatrzymał oddział. Z niedowierzaniem spoglądał na widoczne w oddali wieże.

— Na Tarima! — mruknął pod nosem. — Piraci odbudowali fort! Conan na pewno jest w środku. Musimy to zbadać. Forteca tak blisko lądu! Chodźmy!

Ze zdwojoną ostrożnością przemykali między drzewami. Gra stała się bardziej ryzykowna: z tropicieli i myśliwych stali się szpiegami. A kiedy czołgali się przez splątany gąszcz, człowiek, którego szukali, stawiał czoła niebezpieczeństwu znacznie groźniejszemu niż ich smukłe strzały.

Z dreszczem niepokoju Conan stwierdził, że głos dolatujący zza ściany umilkł. Przez moment stał nieruchomo jak posąg, ze spojrzeniem wbitym w zasłonięte drzwi, spodziewając się, że zaraz pojawi się w nich straszliwy Khosatrał Khel. W komnacie zalegał mglisty półmrok, lecz barbarzyńca dojrzał gigantyczną postać przeciwnika. Nie dosłyszał kroków, ale olbrzym zbliżył się na tyle, że Conan mógł dostrzec dalsze szczegóły. Mężczyzna odziany był

w sandały, spódniczkę i szeroki, skórzany pas. Złota obręcz na skroniach przytrzymała prosto przyciętą u ramion grzywę czarnych włosów. Zobaczył mocarne ramiona, szeroką pierś i bary z piętrzącymi się węzłami mięśni. Z twarzy o ostrych rysach spoglądały na Cymeryjczyka okrutne, bezlitosne oczy. Conan wiedział, że ma przed sobą Khosatrała Khela, istotę z Otchłani, boga Dagonii.

Nie padło nawet jedno słowo. Nie było to potrzebne. Khosatrał rozłożył szerokie ramiona i Conan przykucając ciał w brzuch giganta. Natychmiast cofnął się gwałtownie, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. Ostrze zadźwięczało jak na kowadle i odskoczyło nie pozostawiając śladu. Olbrzym runął na niego jak burza. Starli się gwałtownie. Conan z najwyższym trudem wyrwał się z objęć przeciwnika: krew sączyła mu się z miejsc, gdzie stalowe palce rozdarły mu skórę. Podczas tego przelotnego starcia doznał szoku, uzmysłowivszy sobie, że zetknął się nie ze zwyczajnym ludzkim ciałem, lecz z ożywionym myślącym metalem.

Khosatrał nacierał na niego w półmroku. Conan wiedział, że jeśli te olbrzymie dłonie zamkną się raz

jeszcze wokół jego szyi, to nie rozluźnią uścisku, dopóki nie wycisną ostatniego tchu. W ciemnościach wydawało mu się, że walczy z sennym koszmarem.

Odrzuciwszy bezużyteczną szablę, podniósł ciężką ławę i cisnął nią z całej siły. Niewielu mężczyzn zdołałoby choćby unieść taki ciężar, jednak na piersi Khosatrala Khela pocisk roztrzaskał się w kawałki nie zachwiawszy nawet olbrzymem. Tylko twarz giganta zatraciła ludzki wyraz i nad jego głową zapaliła się złocista poświata. Z impetem ruszył na Cymeryjczyka.

Jednym gwałtownym ruchem Conan zerwał ze ściany olbrzymi gobelin i zakręciwszy nim nad głową, co wymagało większego wysiłku niż ciśnięcie ławą, zarzucił go na głowę przeciwnika. Przez chwilę Khosatral plątał się, przyduszony i oślepiony przez materiał

opierający się jego nieludzkiej sile lepiej niż drewno czy stal. W tym czasie Conan podniósł

szablę i wypadł na korytarz. Nie zwalniając kroku przemknął przez drzwi przyległej komnaty, zatrzaskał je i zasunął rygiel.

Odwróciwszy się, stanął jak wryty i krew uderzyła mu do głowy. Na stercie jedwabnych poduszek z falami złotych włosów opadających na ramiona i przerażeniem w oczach kuliła się kobieta, której pożałował. Prawie zapomniał o deptającym mu po piętach potworze, kiedy głośny trzask za plecami przywrócił mu rozsądek. Chwycił dziewczynę i skoczył do drzwi po drugiej stronie komnaty. Jasnowłosa była zbyt wystraszona, by mu w tym przeszkadzać lub pomagać. Wydawało się, że jedynym dźwiękiem, jaki jest w stanie z siebie wydobyć, jest słaby jęk.

Conan nie tracił czasu na próbę otwarcia drzwi. Straszliwym ciosem szabli przerąbał

zamek i wyskakując na schody zobaczył kątem oka głowę i ramiona Khosatrala z trzaskiem wyłamującego zamknięte drzwi po drugiej stronie pokoju. Kolos zdruzgotał je jakby były z tektury.

Conan pognał schodami w górę, z dziecinną łatwością niosąc przerzuconą przez ramię dziewczynę. Nie miał pojęcia, dokąd biegnie, ale schody doprowadziły go do owalnej komnaty o kopulastym suficie. Olbrzym pędził za nimi po schodach, szybki i cichy jak śmierć. Komnata miała stalowe ściany i drzwi. Conan zatrzaskał je i zasunął rygle — wielkie, stalowe sztaby. Uderzyła go myśl, że znaleźli się w komnacie Khosatrala, w której ten zamykał się na noc, by zabezpieczyć się przed potworami, przyzywanymi z Otchłani dla zaspokojenia jego kapryśków.

Zaledwie zamknął drzwi, gdy zatrzęsły się pod gwałtownymi ciosami. Conan wzruszył

ramionami. Oto kres drogi. Z pomieszczenia nie było wyjścia. Powietrze i dziwne przymione światło najwidoczniej dochodziło przez szczeliny kopuły. Zupełnie spokojny, sprawdził

wyszczerbione ostrze swej szabli. Zrobił, co mógł; jeśli kolos wyłamie drzwi, Conan znów rzuci się na niego z bezużyteczną bronią w rękę — nie dlatego, by spodziewał się sukcesu, lecz ponieważ w jego naturze leżała walka do końca. Na razie nie miał nic do roboty. Jego spokój nie był wymuszony czy udawany. W spojrzeniu, jakim obrzucił swą urodziwą towarzyszkę, był tak nieklamany zachwyty, jakby miał przed sobą sto lat życia.

Kiedy zamknął drzwi, rzucił ją bezceremonialnie na podłogę — podniosła się na nogi, machinalnie przyglądając falujące loki i skąpy przyodziewek. Conan obrzucił ją spojrzeniem pełnym aprobaty, zatrzymując je dłużej na gęstych, złocistych włosach, pełnych piersiach i zarysie wspaniałych bioder.

Z jego gardła wyrwał się cichy krzyk, gdy drzwi zatrzęsły się i rygiel pękł ze zgrzytem.

Conan nie obejrzał się. Wiedział, że drzwi wytrzymają jeszcze przez chwilę.

— Powiedziano mi, że uciekałaś — rzekł. — Yuetszański rybak doniósł mi, że tu się ukrywasz. Jak masz na imię?

— Oktawia — szepnęła odruchowo i zaraz wybuchnęła potokiem słów, chwyciwszy kurczowo Conana za rękę. — O Mitro! Czy to koszmarny sen? Ci ludzie... ciemnoskórzy...

jeden z nich chwycił mnie w puszcy i przywiódł tutaj. Zanieśli mnie do tego... tego stwora.

Powiedział mi... powiedział... Czy ja oszalałam? Czy to sen?

Conan zerknął na drzwi, które wygięły się jak pod ciosem tarana.

— Nie — rzekł. — To nie sen. Zawiasy ustępują. Dziwne, że ten demon musi wyłamywać drzwi jak zwykły człowiek — jednak mimo wszystko sama jego siła jest piekielna.

— Czy nie możesz go zabić? — jęknęła. — Jesteś silny.

Conan był zbyt uczciwy, by karmić ją kłamstwami.

— Gdyby zwykły śmiertelnik mógł go zabić, byłby już martwy — odparł. — Wyszczериłem szablę na jego brzuchu.

Jej oczy pociemniały.

— Więc musisz umrzeć i ja też... o, Mitro! — krzyknęła nagle w najwyższym przerażeniu i Conan chwycił ją za rękę, obawiając się, że zechce sobie coś zrobić.

— Powiedział, co chce ze mną zrobić! — dyszała ciężko. — Zabij mnie! Zabij! Zanim tutaj wejdzie!

Conan spojrział na nią i potrząsnął głową.

— Zrobię, co będę mógł — powiedział. — To nie będzie wiele, ale da ci szansę wydostania się z komnaty. Biegnij do brzegu. Mam tam łódź przycumowaną przy schodach.

Jeżeli wydostaniesz się z pałacu, może uda ci się uciec. Wszyscy mieszkańcy miasta śpią.

Ukryła twarz w dłoniach. Conan podniósł swą szablę, podszedł do dudniących pod uderzeniami drzwi i stanął przy nich. Patrząc na niego trudno było uwierzyć, że czekał na nieuniknioną, w swoim przekonaniu, śmierć. Może oczy jarzyły mu się bardziej niż zwykle i silniej ścisnął broń w

muskularnej dłoni — to wszystko.

Zawiasy ustąpiły pod straszliwymi ciosami giganta i drzwi zakołysały się gwałtownie, przytrzymywane tylko przez rygle. Te solidne, stalowe sztaby również gięły się i łamały, jakby były z miękkiej miedzi. Conan spoglądał na to z niemal beznamiętnym zainteresowaniem, podziwiając nieludzką siłę potwora. Nagle, bez ostrzeżenia, dudnienie ustało. Po drugiej stronie drzwi wyczulony słuch barbarzyńcy pochwycił dziwne dźwięki: trzepot skrzydeł i skrzeczący głos, przypominający skowyt wiatru o północy. Później nastała cisza, lecz nieco inna niż poprzednio. Conan wiedział, że władca Dagonii odszedł.

Cymeryjczyk zerknął przez szparę powstałą między drzwiami a framugą. Podest był pusty.

Conan odciągnął zwichrowane rygle i ostrożnie odstawił na bok wyłamane drzwi. Khosatralla nie było na schodach, tylko gdzieś w dole usłyszał trzask zamykanych drzwi. Nie wiedział, czy gigant knuł jakiś nowy podstęp, czy też wezwał go gdzieś tajemniczy głos, ale nie tracił

czasu na rozważania. Krzyknął na Oktawię i ton jego głosu sprawił, że dziewczyna skoczyła na nogi i stanęła u jego boku.

— Co się stało? — szepnęła.

— Nie traćmy czasu na rozmowy! — syknął. — Chodźmy!

Conan odmienił się całkowicie; z błyskiem w oczach rzekł głosem nie znającym sprzeciwu:

— Pójdziemy po nóż! Magiczne ostrze Yuetsarów. Zostawił je w krypcie!

W dzikim pośpiechu pociągnął dziewczynę za sobą.

Po drodze przypomniał sobie tajemną kryptę przylegającą do sali tronowej i oblał się potem. Jedyna droga do grobowca wiodła obok miedzianego tronu stworzenia, które na nim spoczywało. Jednak nie wahał się ani chwili. Szybko zeszli po schodach, przeszli przez komnatę, zbiegli po następnych schodach i stanęli pod drzwiami wielkiej, mrocznej sali.

Nigdzie nie dostrzegli śladu kolosa. Zatrzymując się przed spiżowymi podwojami Conan ujął

Oktawie za ramiona i potrząsnął nią mocno.

— Słuchaj! — warknął. — Wejdę do komnaty i zamknę drzwi za sobą. Stój tu i czekaj; jeśli usłyszysz kroki Khosatralla, zawołaj mnie. Jeżeli usłyszysz mój krzyk, biegnij, jakby cię goniły wszystkie demony — zresztą tak będzie. Uciekaj przez tamte drzwi na końcu korytarza, bo ja już nie będę ci mógł pomóc. Idę po nóż Yuetsarów!

I zanim zdążyła zaprotestować, prześliznął się przez uchylone wierzeje i zamknął je cicho za sobą. Ostrożnie opuszczając rygiel, nie zauważył, że można go odsunąć z drugiej strony.

Odszukał wzrokiem ukryty w gęstym mroku miedziany tron — tak, oślizły gad wciąż tam leżał,

oplatając go swoim cielskiem. Conan dostrzegł drzwi za tronem i domyślił się, że prowadzą do krypty. Jednak aby tam się dostać, musiał przejść przez podium blisko potwora.

Wietrzyk wiejący po zielonej posadzce narobiłby więcej hałasu niż cicho stąpający barbarzyńca. Ze spojrzeniem utkwionym w śpiącej bestii dotarł do podium i wszedł na szklane stopnie. Potwór nie poruszył się. Conan był już blisko drzwi...

Szczęknął brązowy rygiel przy wielkich drzwiach i Cymeryjczyk stłumił wściekle przekleństwo widząc wchodzącą do sali Oktawię. Rozejrzała się, nic nie widząc w gęstym mroku; Conan stał jak wryty nie mogąc jej ostrzec. Dziewczyna dojrzała go i podbiegła do podium, krzycząc:

— Chcę iść z tobą! Boję się zostać sama! Och! Z przenikliwym okrzykiem uniosła ręce w górę, gdy wreszcie dostrzegła zwiniętego na tronie węża. Trójkątna głowa podniosła się i wyciągnęła w kierunku Oktawii. Płynnym ruchem gad począł spełzać z tronu: powoli, zwój po zwoju, paraliżując dziewczynę spojrzeniem nieruchomych oczu. Jednym rozpaczliwym susem Conan przebył przestrzeń dzielącą go od tronu i z całej siły ciął szablą. Lecz gad był od niego szybszy. Pochwyił Conana w pół skoku, otaczając swoimi splotami. Szabla spadła bez rozmachu przecinając łuski, ale nie raniąc poważnie węża.

Conan miotał się rozpaczliwie w straszliwym uścisku, wyciskającym mu dech z piersi i miażdżącym żebra.

Prawe ramię miał wciąż jeszcze wolne, ale nie mógł nabrać rozmachu, by wymierzyć morderczy cios, a wiedział, że musi zabić bestię jednym ciosem. Wyteżył wszystkie siły, czując, że mięśnie zamieniają mu się w węzlaste bryły, a żyły prawie pękają z wysiłku. Stanął

na nogi, dźwigając niemal cały ciężar dwunastometrowego cielska. Przez moment chwiał się na szeroko rozstawionych stopach, wreszcie wznosił błyszczące ostrze nad głową.

Szabla spadła ze świstem, przecinając łuski, ciało i kręgi gada. Zamiast jednego węża były teraz dwa, wijące się po posadzce w kurczach agonii. Conan chwiejnie opadł na bok, kręciło mu się w głowie, krew lała się z nosa i miał mdłości. Macając wokół siebie złapał Oktawię i potrząsnął nią, aż zadzwoniła zębami.

— Następnym razem kiedy każę ci zostać — wydyszał — to zostaniesz!

Był zbyt oszołomiony, by dosłyszeć jej odpowiedź. Chwyciwszy ją za rękę jak krnąbrne dziecko, podszedł do drzwi, szerokim łukiem omijając wciąż drgające cielsko. Wydawało mu się, że w oddali słyhać jakieś wrzaski, ale w uszach mu jeszcze szumiało, więc nie był tego pewny.

Pchnięciem otworzył drzwi. Jeżeli to Khosatral umieścił węża na straży magicznego ostrza, najwidoczniej uważał to za wystarczające zabezpieczenie. Conan prawie spodziewał

się, że z otwartych drzwi wyskoczy następny potwór, lecz w przymglonym świetle ujrzał

jedynie dziwny zarys łuskowatego sklepienia, matowy blask złotego postumentu i półksiężycowate ostrze lśniąca na kamieniach.

Porwał je z westchnieniem ulgi, po czym nie tracąc czasu na oglądanie grobowca odwrócił

się do odległego wyjścia, które, jak przypuszczał, prowadziło na zewnątrz. Miał rację. Kilka minut później wyszedł na cichą ulicę, pół niosąc, pół ciągnąc swoją towarzyszkę. Nie widzieli nikogo, chociaż za zachodnim murem rozlegały się wrzaski i jęki, na nowo napełniając Oktawię przerażeniem. Conan poprowadził ją do południowej bramy i bez trudu odnalazł

kamienne schody na szczyt muru. Z wielkiej sali zabrał gruby sznur i teraz, dotarwszy na górę, okręcił mocną pętlą talię dziewczyny i opuszczył ją na ziemię. Następnie, przywiązawszy jeden koniec liny do muru, zręcznie się po niej ześliznął. Z wyspy mogli uciec tylko jedną drogą —schodami na zachodnim brzegu. Ruszyli w tym kierunku, omijając z daleka miejsce, skąd dobiegały krzyki i odgłosy straszliwych ciosów.

Oktawia czuła kryjące się w gęstwinie zagrożenie. Oddychała ciężko i trzymała się blisko swego opiekuna. Jednak w puszczy panował spokój. Nie dostrzegli śladu niebezpieczeństwa.

Dopóki nie wyszli na otwartą przestrzeń i nie zobaczyli stojącego na nadbrzeżnych skałach człowieka.

Wypadłszy nagle z fortecy, Jehungir Aga uniknął losu swych wojowników, których stalowy olbrzym rozszarpał na strzępy. Kiedy zobaczył, jak miecze jego łuczników łamią się na ciele demona o ludzkiej postaci, zrozumiał, że ich przeciwnik nie jest człowiekiem i umknął, kryjąc się w gąszczu, dopóki odgłosy rzezi nie ucichły. Później podkraść się do schodów, lecz... jego załoga nie czekała na niego.

Słyszając dzikie wrzaski mordowanych towarzyszy, a później widząc na brzegu zbroczonego krwią potwora, wymachującego groźnie gigantycznymi ramionami, nie czekali długo. Kiedy Jehungir dotarł do schodów, właśnie znikali w trzcinach po drugiej stronie przesmyku.

Khosatral odszedł — wrócił do miasta albo przetrząsał puszcę w poszukiwaniu zbiegów.

Jehungir właśnie przygotowywał się, by zejść po schodach i odpłynąć łodzią Conana, gdy zobaczył hetmana wychodzącego z dżungli. Wstrząsające wydarzenia, które zmroziły mu krew w żyłach i niemal odebrały zmysły, nie zmieniły zamiarów Jehungira co do wodza kozaków. Widok człowieka, którego chciał zabić, napełnił go zadowoleniem. Trochę zdziwiło go pojawienie się dziewczyny, ale nie tracił czasu na rozmyślenia. Podniósł łuk, napiął

ciężką i wypuścił strzałę. Conan uskoczył i pocisk utkwiał w pniu drzewa.

— Psie! — zaśmiał się barbarzyńca. — Nie zdołasz mnie trafić! Nie urodziłem się po to, by umrzeć od hyrkańskiej stali! Spróbuj jeszcze raz, turańska świnió!

Jehungir nie próbował — to była jego ostatnia strzała. Dobył szabli i runął na wroga, ufając swemu spiczastemu hełmowi i kolczudze o drobnych oczkach. Conan spotkał go wpół

drogi, tnąc zajadle. Zakrzywione ostrza starty się z brzękiem, odskakując, zataczając lśniące łuki, sypiąc skry. Obserwująca to Oktawia nie zauważyła ciosu; usłyszała tylko głuchy odgłos uderzenia i zobaczyła, jak Jehungir pada oblany krwią z rozrąbanego boku, gdzie stał Cymeryjczyka przecięła kolczugę i kręgosłup.

Jednak to nie na widok śmierci swego dawnego pana z gardła dziewczyny wydarł się przesywający okrzyk. Z trzaskiem łamanych gałęzi z dżungli wynurzył się Khosatral Khel.

Oktawia nie była w stanie uciekać — krzyknęła tylko przeraźliwie, kolana się pod nią ugięły i opadła na murawę.

Stojący nad ciałem Agi Conan nie zamierzał uciekać. Przerzucił okrwawioną szablę do lewej ręki i wyjął wielki, zakrzywiony nóż Yuetshów. Olbrzym zmierzał ku niemu wyciągając potężne ramiona, lecz gdy promień słońca zaśnił jasno na ostrzu, cofnął się gwałtownie. Conan jednak nie zadowolił się tym. Runął na niego wywijając magiczną bronią.

Pod jego ciosem ciemny metal ciała Khosatrala poddał się jak kark wołu pod ciosem topora.

Z głębokiej rany trysnęła ciemna posoka i olbrzym krzyknął głosem przypominającym żałobne bicie dzwonu. Straszliwe ramiona opadły z impetem, lecz Conan był szybszy od turańskich łuczników, którzy zginęli pod ich ciosami. Uchylił się, uderzył ponownie i jeszcze raz Khosatral zachwiał się i zatoczył w tył; jego krzyki były nie do zniesienia. Wydawało się, że żelazo obdarzone ludzką mową rzezi i wyje pod ciosami. W następnej chwili gigant chwiejnie pobiegł w gąszcz, potykając się, łamiąc drzewa i tratując krzaki. A jednak, mimo że Conan pędził za nim z szybkością podwojoną przez wściekłość, zanim dopadł wroga, już majaczyły przed nimi mury i wieże Dagonii.

Khosatral odwrócił się ponownie, młócąc rozpaczliwie ramionami, lecz nie zdołał

powstrzymać rozjuszonego przeciwnika. Jak pantera atakująca łosia, Conan zanurkował pod opadające ramiona i wbił zakrzywione ostrze po rękojeść w miejsce, gdzie u człowieka znajduje się serce.

Khosatral zatoczył się i upadł. Stojąc miał jeszcze ludzką postać, ale na ziemię padł już jako nie-człowiek. Tam, gdzie przedtem była twarz o ludzkich rysach, nie było nic; metal topił się i zmieniał... Conan, którego nie przerażał żywy Khosatral Khel, z odrazą odskoczył

od martwego wroga, bowiem w agonii olbrzym przybrał ponownie postać, jaką miał, gdy wypełzał z Otchłani przed tysiącami lat. Drżąc z obrzydzenia, Conan odwrócił się i zobaczył, że wieże Dagonii nie wznoszą się już wśród drzew. Rozwiały się jak dym: baszty, parapety, strzelnice, wielkie wrota z brązu, aksamity i jedwabie, złoto i kość słoniowa, kobiety i mężczyźni — wszystko znów rozsypało się w proch. Tylko kikuty potrzaskanych kolumn sterczały wśród gruzów zwalonych ścian, zdruzgotanych bruków i rozłupanych murów.

Conan znów widział ruiny Xapur takie, jakimi je pamiętał.

Cymeryjczyk stał długą chwilę w milczeniu, niejasno uświadamiając sobie istotę odwiecznego

konfliktu między efemerycznym tworem zwanym ludzkością a mrocznymi wytworami odwiecznego Mroku. Później posłyszał, że ktoś wzywa go ze strachem w głosie; drgnął jak zbudzony ze snu, spojrzął raz jeszcze na leżące na ziemi szczątki, wzdrygnął się i ruszył z powrotem.

Czekając, dziewczyna lękliwie wpatrywała się w gąszcz. Pojawienie się Conana wyrwało z jej ust krzyk ulgi.

Cymeryjczyk otrząsnął się z ponurych wizji i znów był sobą.

— Gdzie on jest? — spytała lękliwie Oktawia.

— Wrócił tam, skąd przybył — do Piekła! — odparł z zadowoleniem. — Dlaczego nie zesłaś po schodach i nie uciekłaś moją łodzią?

— Nie opuściłabym... — zaczęła, po czym zmieniwszy zdanie, dokończyła zacinając się: — Nie mam gdzie iść. Hyrkańczycy znów zrobiliby ze mnie niewolnicę, a piraci...

— A co z kozakami? — podpowiedział.

— Czyżby byli lepsi od piratów? — zapytała pogardliwie.

Podziw Conana wzrósł, gdy ujrzał, jak szybko odzyskała swą dawną pozę, mimo tak gwałtownych wzruszeń. Jej arogancja rozbawiła go.

— Wydawałaś się tak sądzić w obozie przy Ghoru — odparł.

Ze wzgardą wykrzywiła czerwone wargi.

— Myślisz, że rozkochałam się w tobie? Wyobrażałeś sobie, że okryłabym się hańbą flirtując z takim żarłokiem i piwożłopem? Mój właściciel — którego zwłoki tam leżą — zmusił mnie do tego.

— Och! — Conan wydawał się być speszony, ale zaraz roześmiał się wesoło.

— Nieważne. Teraz należysz do mnie. Pocałuj mnie.

— Ośmielasz się prosić... — zaczęła z oburzeniem, lecz nagle poczuła, że unosi ją w powietrzu i przyciska do swej muskularnej piersi. Opierała się wściekle, wyęzając wszystkie siły, ale Conan tylko śmiał się coraz głośniejszymi, upojony bliskością tego wspaniałego ciała. Bez trudu przełamał jej opór i z nieposkromioną gwałtownością jął spijać nektar z jej warg, aż przestała się szamotać i objęła go za szyję. Później zajął jej w oczy i rzekł: — Czemu wódz Wolnego Ludu nie miałby być lepszy od turańskiego kundla?

Odrzuciła w tył faliste loki, wciąż czując każdym nerwem żar jego pocałunków. Nie wypuszczając go z objęć, zapytała prowokująco:

— Czy uważasz się za równego Adze?

Roześmiał się i ruszył ku schodom, niosąc ją w ramionach.

— Sama osądzisz — rzekł z przechwałą. — Podpalę Khawarizm jak pochodnię, by oświetlić ci drogę do mego namiotu.

przeł. Zbigniew A. Królicki

PŁOMIENNY NÓŻ

The Flame Knife

Robert E. Howard

L. Sprague de Camp

Nie wiadomo, czy Conan spełnił swoją groźbę o puszczeniu Z dymem miasta Jehungira — Khawarizmu. Jedno jest pewne — kiedy zabrał na nowo swój oddział, składający się z kozaków i piratów, stał się tak poważnym zagrożeniem dla Króla Yezdigerda, że ten zrezygnował ze swych podbojów, aby stawić czoła niebezpiecznym hordom i rozbić je doszczętnie. Turańskie oddziały zostały odwołane znad granic państwa i w jednym, zmasowanym ataku rozbiły siły nieprzyjaciela. Niektórzy spośród tych, co przeżyci udali się na wschód, w dzikie ostępy Hyrkanii, inni podążyli na zachód, aby na pustyni dołączyć do plemion Zuagirów. Conan wraz Z najlepszymi zawrócił na południe i po męczącej wędrówce przez Góry Ilbarskie dotarł do Iranistanu. Tam przyłączył się do armii jednego z najpotężniejszych rywali Yezdigerda — króla Kobad Szacha, aby służyć w oddziałach lekkiej jazdy.

NOŻE W CIEMNOŚCI

Delikatne szuranie stóp kogoś ukrywającego się w spowitym w ciemnościach przejściu ostrzegło potężnego Cymeryjczyka. Odwrócił się błyskawicznym ruchem i ujrzał wysoką postać, która wyskoczyła z czarnych podcieni w jego stronę.

Było ciemno, ale Conan dostrzegł wykrzywione wściekłością brodate oblicze i błysk stali w uniesionej dłoni, nim gwałtownym skrętem ciała zszedł z linii jego ciosu.

Nóż rozciął materiał tuniki i ześlizgnął się po ogniwach kolczugi, jaką Cymeryjczyk miał

pod spodem. Zanim zabójca zdołał odzyskać równowagę, olbrzym złapał go za rękę i odwróconą dłonią, niby młotem, wymierzył mu potężny cios w kark. Mężczyzna osunął się na ziemię bez jęku. Conan pochylił się nad nim w pełnym napięciu oczekiwaniu. Zza najbliższego rogu ulicy ułowił uchem cichy szelest obutych w sandały stóp i stłumiony brzęk stali. Te złowieszcze dźwięki przypomniały mu, że nocą ulice Anshanu stawały się śmiertelną pułapką. Zawahał się z na wpół wyjętym z pochwy sejmitem — wschodnią szablą o szerokim ostrzu — po czym wzruszył ramionami i odszedł pospiesznie w dół ulicy. Omijał z dala mroczne bramy w murach budynków graniczących z ulicą.

Skręcił w szerszą ulicę i parę chwil później gwałtownie załomotał do drzwi, nad którymi płonęła brązowa latarnia. Drzwi otwarły się niemal natychmiast. Conan wszedł do środka i rzucił:

— Zamknij drzwi, ale żywo!

Potężny Shemita, który go wpuścił, zasunął ciężką zasuwę i odwrócił się; spoglądając na swego dowódcę, pociągał nerwowo za poskręcane kudły szpakowatej brody.

— Conanie, masz pociętą bluzę — mruknął.

— Jakiś człowiek próbował mnie zabić — odrzekł Conan. — Nie był sam.

Czarne oczy Shemity załśniły. Jego wielka, owłosiona ręka dotknęła metrowego ilbarskiego sztyletu, który nosił na biodrze.

— Pozwól nam uderzyć i powyrzynać te psy! — zażądał.

Conan pokręcił przecząco głową. Był potężnym mężczyzną, o wiele wyższym od Shemity, ale jak na swoje rozmiary poruszał się z istic kocią zręcznością. Jego potężna klatka piersiowa, gruba szyja i potężne bary świadczyły o pierwotnej sile, szybkości i niebywałej wytrzymałości.

— Wszystko w swoim czasie — powiedział. — To wrogowie Balasha, którzy wiedzieli, że miałem dziś utarczkę z królem.

— Coś takiego! — krzyknął Shemita. — To doprawdy złe wieści. Co powiedział król?

Conan podniósł do ust dzban wina i opróżnił go do połowy.

— Kobad Szach jest trawiony szaleństwem. Podejrzewa wszystko i wszystkich. Obecnie trafiło na naszego przyjaciela, Balasha. Wrogowie wodza nastawili króla przeciwko niemu, ale swoją drogą Balash to uparty człek. Nie chciał przybyć i poddać się, jak tego żądał Kobad.

Wiedział, że kosztowałoby go to głowę, a on nie chce jeszcze żegnać się z życiem. Kobad rozkazał mi, abym wraz z kozakami udał się w Góry Ubarskie i przyprowadził Balasha — o ile to możliwe w całości, a przynajmniej jego głowę.

— No i...

— Odmówiłem.

— Odmówiłeś? — spytał pełnym przerażenia szeptem Shemita.

— Oczywiście. Za kogo mnie uważasz? Opowiedziałem Kobad Szachowi jak Balash i jego szczer uratowali nas, kiedy w środku zimy, podczas wędrówki na południe od morza Vilayet zgubiliśmy się w Górach Ilbarskich. Większość górali była za natychmiastowym skróceniem nas o głowy... Alea, ten głupiec nie chciał słuchać. Zaczął krzyczeć o swojej władzy królewskiej, o bezczelności nisko urodzonych barbarzyńców i inne takie... Jeszcze słowo i wepchnąłbym mu do gardła ten jego cesarski turban.

— Ale nie uderzyłeś króla? — spytał Shemita.

— Nie, choć chciałem to uczynić. Na Croma! Nie potrafię pojąć, jak wy, cywilizowani ludzie, możecie pełzać na brzuchach przed byle dupkiem, któremu uda się usiąść na pokrytym klejnotami krześle z błyskotką na łbie.

— Bo te dupki mogą jednym skinieniem kazać nas obedrzeć ze skóry albo wbić na pal. A teraz musimy uciekać z Iranistanu, aby uniknąć gniewu króla.

Conan skończył wino i oblizał wargi.

— Nie sądzę. Nie będzie nas ścigał. Wie, że jego armia nie jest taka, jak za czasów jego przodków, a my jesteśmy jedynym oddziałem lekkiej jazdy, na jaki może liczyć. Mimo to jednak pozostaje sprawa naszego przyjaciela Balasha. Kusi mnie, by wyruszyć na północ i ostrzec go.

— Sam, Conanie?

— Dlaczego nie? To tylko parę dni. Możesz tymczasem rozpowiadać, że odsypiam kolejną pijatykę.

Ciche pukanie do drzwi przerwało w pół słowa wypowiedź Conana. Spojrzał na Shemitę, podszedł do drzwi i ryknął:

— Kto tam?

— To ja, Nanaja — rozległ się kobiecy głos.

Conan spojrział na swego towarzysza.

— Znasz jakąś Nanaję, Tubalu?

— Ja? Nie. To musi być jakiś podstęp.

— Wpuść mnie — powiedział głos.

— Zobaczymy — mruknął Conan, a jego oczy w świetle lampy zaiskrzyły się dzikim błyskiem. Dobył miecza i położył dłoń na zasuwie, podczas gdy Tubal ze sztyletem w dłoni zajął miejsce po drugiej stronie drzwi.

Conan odsunął zasuwę i jednym szarpnięciem otworzył drzwi. Zawołowana postać przestąpiła próg, a w chwilę potem na widok błyszczących ostrzy dzierzonych przez muskularne dłonie z jej ust dobył się cichy okrzyk.

Ostrze miecza Conana wysunęło się do przodu tak, że jego czubek dotknął pleców tajemniczego gościa.

— Wejdź, pani — wtrącił po iranistańsku z silnym barbarzyńskim akcentem.

Kobieta przeszła parę kroków. Conan zamknął drzwi i zasunął zasuwę.

— Jesteś sama?

— T... tak... s... sama.

Lewa ręka Conana wystrzeliła do przodu niby wąż i zdarła woal z twarzy kobiety. Była wysoka, gibka, młoda i czarnowłosa. Miała wspaniale rzeźbione rysy.

— O co chodzi, Nanajo? — spytał.

— Jestem nałożnicą z seraju króla...

Tubal gwizdnął przeciągle.

— No to ładnie...

— Mów dalej, Nanajo — rzekł Conan.

— Często cię widziałam przez zasłonę z tyłu tronu, kiedy przybywałeś na rozmowę z Kobadem. Król lubi, gdy jego kobiety przypatrują mu się podczas wypełniania przez niego obowiązków. Zwykle gdy w grę wchodzi sprawy wagi państwowej, nie mamy wstępu do sali tronowej, ale dziś wieczorem

eunuch Xathrita był pijany i nie zamknął drzwi pomiędzy salą a komnatami kobiet. Zakradłam się tam i słyszałam twoją sprzeczkę z królem. Kiedy odszedłeś, Kobad się wściekł. Wezwał donosiciela Hakhamaniego i nakazał mu zgładzić cię. Hakhamani miał dopilnować, aby to wyglądało na wypadek.

— Jeżeli dostanę Hakhamaniego w swoje ręce, to postaram się, aby jemu przydarzył się jakiś wypadek — rzekł zgryźliwie Conan. — Ale skąd ta dyskrecja? Kobad Szach nie należy do ludzi mających opory w likwidowaniu tych, którzy nie przypadli mu do gustu.

— Bo chce zatrzymać na służbie twoich kozaków, a gdyby dowiedzieli się, że to on kazał cię zgładzić, wszczęliby rebelię albo w najlepszym razie odjechali.

— Dlaczego przynosisz mi te wieści?

Spojrzała na niego wielkimi, ciemnymi, zamglonymi oczyma.

— W haremie umieram z nudów. Król ma setki kobiet i nie ma dla mnie czasu. Spodobałeś mi się, odkąd po raz pierwszy zobaczyłam cię w pałacu i miałam nadzieję, że zabierzesz mnie ze sobą. Wszystko jest lepsze od powolnego gnicia w tej złotej klatce, gdzie jedyną rozrywką są plotki i intrygi. Jestem córką Kujali, wodza Gwadirów. Jesteśmy ludem rybaków i marynarzy, zamieszkujemy na południu, w okolicach Wysp Perłowych. Pływałam moją łodzią pośród tajfunów i beczynność doprowadza mnie do szału.

— Jak wydostałaś się z pałacu?

— Lina i nie strzeżone stare okno z wyłamany kratami... Ale to teraz nieważne.

Zabierzesz mnie?

— Odeślij ją — rzekł Tubal w języku kozaków, który był mieszaniną zaporoskańskiego, hyrkańskiego i paru innych. — Albo lepiej poderżnij jej gardło i zakop w ogrodzie. Może moglibyśmy ująć z tego z życiem, ale na pewno nie z tą flądram. Jak król się dowie, że uciekłeś z jedną z jego nałożnic, przetrząśnie cały kraj, aby cię dopaść.

Dziewczyna nie rozumiała jego słów, ale bez wątpienia zrozumiała złowieszczy ton wypowiedzi. Conan uśmiechał się dziko.

— Wręcz przeciwnie. Nie mam zamiaru stąd zmykać, jak zbity pies z podkulonym ogonem. Nie wolno nam pozostawić tu takiej zdobyczy. A poza tym i tak musimy stąd zniknąć...

Zwrócił się do Nanai.

— Chyba rozumiesz, że będziemy podróżować bardzo szybko, niemal bez wytchnienia i że kompania nie będzie taka ogładna, jak ludzie, w kręgu których zwykle się obracałaś.

— Rozumiem.

— A poza tym — rzekł, zwięzając oczy — będziesz musiała spełniać bez wahania wszystkie moje rozkazy.

— Tak, panie.

— Dobrze. Obudź tych psubratów, Tubalu. Napełnimy juki, osiodłamy konie i wyruszymy w drogę.

Mamrocząc pod nosem słowa przestrogi, Shemita wszedł do drugiej komnaty i potrząsnął za ramię mężczyznę, śpiącego na stosie dywanów.

— Obudź się, potomku wielkiego rodu złodziei. Wyruszamy na północ.

Hattusas, szczupły, ciemnoskóry Zamoranin usiadł i ziewnął.

— Dokąd?

— Do Kushaf, w Górach Ubarskich, gdzie zimowaliśmy i gdzie ten buntowniczy pies, Balash, poderżnie pewnie nam wszystkim gardła — rzekł ponuro Tubal.

Hattusas wstał z uśmiechem.

— Nie przepadasz za Kushafijczykiem, ale to najlepszy druh Conana.

Tubal spojrział nań ponuro i wymknął się na dziedziniec; przeszedłszy przezeń, stanął u drzwi pobliskiego baraku. Z wnętrza dobiegały jęki i przekleństwa obudzonych brutalnie mężczyzn.

Dwie godziny później mroczne postacie, które czaiły się wokół domu Conana, na powrót znikły w ciemnościach. Wrota na podwórze otwarły się szeroko i z wnętrza wymaszerowało podwójnym szeregiem trzystu Wolnych Towarzyszy, prowadzących objuczone ciężko muły i luzaki. Byli to ludzie wszelkich narodowości, resztki bandy kozaków, których Conan poprowadził na południe opuszczając stopy wokół Morza Vilayet, kiedy król Yezdigerd, władca Turanu zebrał potężną armię i po całodniowej bitwie rozbił siły banickiej konfederacji. Przybyli do Anshanu jak żebracy i na wół zagłodzeni. Teraz mieli na sobie strojne, jedwabne pantalone, ozdobione szpikulcami iranistańskie hełmy i byli uzbrojeni po zęby.

W tym samym czasie w pałacu król Iranistanu siedział na tronie pogrążony w myślach.

Podejrzenia, jakie trawiły jego umęczoną duszę, sprawiły, że obecnie wietrzył podstęp praktycznie wszędzie i każdy człowiek, jaki stanął na jego drodze, był potencjalnym podejrzanym. Przez pewien czas liczył na pomoc ze strony Conana, dowódcy szwadronu lekkiej jazdy. Barbarzyńca z północy może i nie grzeszył znajomością obyczajów panujących na iranistańskim dworze, ale miał własny kodeks honorowy i postępował zgodnie z jego regułami. Ale i on okazał się zdrajcą, odmawiając wykonania rozkazu Kobada, dotyczącego zabicia wiarołomcy Balasha...

Król spojrział na kotarę, za którą znajdowała się alkowa i mimochodem zauważył, że zaczął

chyba dąć wiatr, bo materiał poruszał się nieznacznie. Jego wzrok przesunął się w stronę obudowanego złotymi kratami okna i władca znieruchomiał. Lekkie zasłony zwisały nieruchomo. A jednak zasłona przy alkwie poruszała się...

Kobad Szach był niski i gruby, ale nie brakowało mu odwagi. Zerwał się z tronu, sięgnął dłońmi zasłon i rozsunął je gwałtownym szarpnięciem. W tej samej chwili spomiędzy nich wyłoniła się ciemnoskóra dłoń uzbrojona w nóż i zadała królowi pchnięcie prosto w pierś.

Kobad Szach krzyknął, padając i pociągając za sobą napastnika. Mężczyzna warczał niczym dzika bestia, a jego rozszerzone oczy rzucały wściekłe błyski. Jego sztylet zmienił szatę króla w bezkształtny łachman, spod którego wyzierały srebrzyste ogniwa kolczugi. To ona powstrzymała pierwszy cios.

Wołanie króla o pomoc odbiło się donośnym echem. W korytarzu rozległ się tupot obutych stóp.

Król schwycił napastnika za gardło i nadgarstek dłoni uzbrojonej w nóż, ale mięśnie tamtego były mocne niczym stalowe struny. Kiedy tarzali się po podłodze, prześlizgujący się pomiędzy ogniwami kolczugi sztylet zagłębił się w ramieniu, udzie i dłoni króla.

Zamachowiec zdołał uzyskać chwilową przewagę nad słabnącym monarchą i schwyciwszy go za gardło uniósł nóż do kolejnego ciosu, gdy nagle w świetle lamp coś błysnęło — niby piorun z niebios. Morderca upadł na ziemię, z czaszką rozplataną aż po zęby.

— Wasza Wysokość! Panie! — To był Gotarza, kapitan straży królewskiej, blady pod gęstwiną długiej, czarnej brody. Kobad Szach osunął się na sofę, a Gotarza zaczął rwać zasłony na pasy, aby zatamować krew płynącą z jego ran.

— Spójrz! — zawołał król, wskazując leżący na ziemi przedmiot.

Jego twarz była biała jak płótno, a dłonie drżały z emocji.

— Nóż! Na Asurę, nóż!

Leżał obok dłoni zamachowca — osobliwa broń o falistym ostrzu, przypominającym kształtem płomień. Gotarza zaklął pod nosem.

— Płomienny nóż! — jęknął Kobad Szach. — Ta sama broń, która ugodziła króla Vendhi i króla Turanu!

— Znak Ukrytych — mruknął Gotarza, niespokojnie mierząc wzrokiem złowieszczy przedmiot okrutnego kultu.

W pałacu zawrzało. Ludzie biegali po korytarzach, wykrzykując wieści o tym, co się stało.

— Zamknąć wrota! — krzyknął król. — Nie wpuszczać tu nikogo prócz majordomusa.

— Ale musimy przecież wezwać lekarza, wasza królewska mość — zaprotestował oficer.

— Rany są w sumie niegroźne, ale ostrze mogło być zatrute, — Nie. Nie wpuszczać tu nikogo! To mógłby być któryś z ich sług. Na Asurę! Yezmici chcieli przypieczętować mój los.

Wydarzenie to mocno nadszarpnęło odwagę króla.

— Któż jest w stanie stawić czoła sztyletowi w dłoni skrytobójcy, wężowi, ukrytemu pod łóżkiem albo truciznie dolanej do wina? No, jest jeszcze ten barbarzyńca, Conan ale... nie, teraz, kiedy odmówił wykonania rozkazu, nawet jemu nie mogę już ufać... Gotarza, wpuść majordomusa.

Kiedy oficer wypełnił polecenie, król zapytał:

— Jakie wieści, Bardiya?

— Co się stało, panie? To...

— Nieważne, co ze mną. Po twoich oczach widzę, że masz jakieś wieści. Co się stało?

— Kozacy wyruszyli z miasta na północ pod wodzą Conana, który powiedział strażnikowi przy Północnej Bramie, że zgodnie z twoim rozkazem jadą pojmać Balasha.

— Dobrze. Może barbarzyńca wreszcie zmądrzał... Co jeszcze?

— Donosiciel Hakhamani zastawił pułapkę na Conana, ale ten zabił jednego z jego ludzi i uciekł.

— No i dobrze. Odwołaj Hakhamaniego, przynajmniej dopóki nie dowiemy się, co Conan rzeczywiście zamierza. Coś więcej?

— Jedna z waszych kobiet, panie, Nanaja, córka Kujala, uciekła z pałacu. Znaleźliśmy linę, której użyła, aby tego dokonać.

Kobad Szach zawył.

— Musiała uciec z Conanem! To nie mógł być tylko zbieg okoliczności! A on musi mieć jakiś związek z Ukrytymi. W przeciwnym razie, dlaczego mieliby mnie atakować tuż po tym, jak doszło między nami do nieporozumienia? Po wyjściu z komnaty Conan musiał udać się wprost do kryjówki owego Yezmity i nakazać mu, aby mnie zabił. Gotarzo, odwołaj strażę.

Ruszaj w ślad za kozakami i przynieś mi głowę Conana albo sam spotkasz się z katem. Weź

przynajmniej pięciuset ludzi, bo barbarzyńca jest dziki, sprytny i należy z nim postępować wyjątkowo ostrożnie.

Kiedy Gotarza żwawym krokiem wyszedł z komnaty, król jęknął.

— A teraz, Bardiya, przystaw mi pijawki. Moje żyły płoną. Gotarza miał rację. Sztylet musiał być zatruty.

Trzy dni po swym pospiesznym wyjeździe z Anshanu Conan siedział ze skrzyżowanymi nogami na skale górskiego zbocza, opadającego w dół do Kushaf.

— Stanąłbym między tobą a śmiercią — powiedział do mężczyzny siedzącego naprzeciw.

— Tak jak ty zrobiłbyś w moim przypadku, gdyby twoje górskie wilki chciały nas zmasakrować.

Mężczyzna w zamyśleniu skubał brodę. Był barczysty i silny. Włosy miał przyprószone siwizną, a za szerokim pasem, jaki nosił, skrzyły się drogimi kamieniami rękojeści noży i sztyletów.

Był to Balash — wódz plemienia Kushafijczyków, władca Kushaf i okolicznych wiosek.

Ale powiedział skromnie:

— Niechaj ci bogowie sprzyjają! Któryż jednak człek jest w stanie oszukać śmierć?

— Człowiek może albo walczyć, albo uciekać, nie należy wszakże siedzieć na skale i czekać, niby jabłko na gałęzi, domagające się, by je zerwać. Jeżeli liczysz na zerwanie ugody z królem, powinieneś wrócić do Anshanu.

— Zbyt wielu mam wrogów na dworze. Powiesiliby mnie przy pierwszej lepszej okazji.

Nie. Nie pojedę!

— A zatem weź swoich ludzi i znajdźcie sobie inną kryjówkę. W tych górach są pewne miejsca, w które nawet król nie ma odwagi się zapuszczać.

Balash spojrział w dół stromego zbocza, na skupisko wież z mułu i kamieni, które wznosiły się ponad otaczającymi je murami warownymi. Jego nozdrza rozszerzyły się, a w oczach pojawiły się mroczne ogniki, jak u orła wypatrującego zdobyczy.

— Nie, na Azurę! Mój klan władał Kushaf od czasów Bahrama. Niech król rządzi w Ashan. Ten teren należy do mnie!

— Król będzie rządził również w Kushaf — mruknął Tubal, wraz z Hattusasem z Zamory siedzący obok Conana.

Balash spojrział w drugą stronę, na wschód, gdzie skalna ścieżka znikiała pomiędzy urwistymi turniami. Na skałach widniały drobne, białawe sylwetki łuczników, którzy dzień i noc strzegli przełęczy.

— Niech tu przybędzie — rzekł Balash. — Kontrolujemy przełęcze.

— Sprowadzi dziesięć tysięcy ludzi, ciężkozbrojnych, z katapultami i całą masą innego sprzętu — rzekł Conan. — Spali Kushaf, a twoją głowę zabierze ze sobą, do Ashan.

— Co będzie, to będzie — stwierdził lakonicznie Balash.

Conan z trudem zwalczył narastającą w nim wściekłość wobec fatalizmu tych ludzi. Jego instynkt i zaciętość, którą miał we krwi, sprzeciwiały się tej filozofii bezczynności. Jednak w tym przypadku powstrzymał się od komentarza i siedział w bezruchu, patrząc na łańcuch skał

na zachodzie, gdzie na błękitnym, czystym niebie wisiała tarcza ognistoczerwonego słońca.

Balash machnął ręką, przechodząc nad sprawą do porządku dziennego i powiedział: — Chciałbym ci coś pokazać, Conanie. Tam na dole, poza murami miasta znajduje się chata, w której spoczywają zwłoki pewnego przybysza. Nigdy dotąd nie widziałem w Kushaf takiego człowieka. Nawet po śmierci jest dziwny i zły. Myślę, że to nie człowiek, a demon.

Chodź!

Schodząc w dół zbocza, do starej rudery, wyjaśnił:

— Moi wojownicy natknęli się na niego leżącego u podnóża skały. Widać spadł albo został

zrzucony ze szczytu. Kazałem im, aby go tu przynieśli, lecz umarł po drodze, mamrocząc coś w jakimś dziwnym języku. Nazwali go demonem i chyba mieli po temu słuszne powody.

O dzień drogi na południe, pośród gór tak dzikich i nagich, że nawet koza nie mogłaby tam przeżyć, znajduje się kraina, którą my nazywamy Drujistanem.

— Drujistan! — zawtórował Conan. — Kraina demonów, co?

— Tak! Złowieszcze pasmo czarnych gór i dzikich rozpadlin, których unikają ludzie rozsądni. Wydaje się niezamieszkałe, a jednak żyją tam ludzie — ludzie albo demony.

Czasami ginie człowiek albo dziecko lub kobieta rozplywa się bez śladu i wiemy, że to ich dzieło. Ścigaliśmy ich i widzieliśmy mroczne postacie przemykające pośród nocy, ale ślad zawsze ginął u podnóża nagiej skały, którą tylko demon byłby w stanie przeniknąć. Czasami słyszemy odgłosy bębna, odbijające się echem pośród gór albo ryki demonów. Ten odgłos zmienia ludzkie serca w bryłę lodu. Stare legendy mówią, że pośród tych gór, przed tysiącami lat król guli, Ura, zbudował magiczne miasto Yanaidar i że siejące śmierć duchy Ury i jego okropnych poddanych nadal nawiedzają te ruiny. Inna legenda mówi, że przed tysiącem lat wódz górali ilbarskich osiadł w tych ruinach i próbował je odbudować, ale pewnej nocy on sam i jego ludzie zniknęli i nigdy więcej już ich nie widziano.

Dotarli do zniszczonej chaty i Balash otworzył na oścież zwisające krzywo drzwi. W

chwile później pięciu ludzi pochyliło się nad postacią leżącą na klepisku. Była to postać obca i dziwaczna. Miała szeroką, płaską twarz, cerę barwy ciemnej miedzi i wąskie, skośne oczy,

zdradzające niewątpliwego syna Khitaju. Na ciemnych włosach z tyłu głowy zakrzepła krew, a nienaturalny układ ciała wskazywał, że większość kości była roztrzaskana.

— Czyż on nie wygląda jak zły duch? — spytał Balash.

— To nie demon, chociażby nawet za życia był czarnoksiężnikiem — odparł Conan. — Pochodzi z Khitaju, krainy leżącej daleko na wschód od Hyrkanii, za górami, pustyniami i dżunglami tak rozległymi, że mógłby w nich zniknąć bez śladu tuzin Iranistanów.

Przemierzyłem ten kraj, służąc królowi Turanu. Ale nie potrafię rzec, co ów człek mógł tu robić...

Nagle jego niebieskie oczy rozbłysły i rozerwał zakrwawioną tunikę pod szyją zmarłego.

Oczom zebranych ukazała się wełniana bluza i Tubal, pochyliwszy się jeszcze bardziej nad ramieniem Conana, jęknął przeciągle.

Na bluzie, wyszyty karmazynową nicią, w pierwszej chwili niemal niewidoczny ze względu na krew, znajdował się dziwny emblemat: ludzka pięść dzierżąca rękojeść noża o falistym ostrzu.

— Płomienny nóż! — wyszeptał Balash, cofając się przed symbolem śmierci i zniszczenia.

Wszyscy spojrzeli na Conana, którego uwaga skupiała się na złowrogim emblemacie.

Barbarzyńca próbował sobie przypomnieć wszystko, co mogło się z nim kojarzyć, odtworzyć niewyraźne wspomnienia starego i złowieszczego kultu, który używał tego symbolu. W końcu rzekł do Hattusasa:

— Kiedy byłem złodziejem w Zamorze, słyszałem plotki o tym kulcie. Jego wyznawców nazywano Yezmitami. Używali tego symbolu. Jesteś z Zamory. Co wiesz na ten temat?

Hattusas wzruszył ramionami.

— W zaraniu dziejów, w czasach przed Katakлизmem pojawiło się wiele kultów. Władcy często sądzili, że udało im się je wyplenić, ale one prawie zawsze się odradzały. Ukryci albo Synowie Yezmu to jedna z takich religii, ale nic więcej nie mogę ci o nich powiedzieć. To wszystko, co wiem.

Conan rzekł do Balasha:

— Czy twoi ludzie mogliby zaprowadzić mnie na miejsce, gdzie znaleźliście tego człowieka?

— Tak. Ale to złe miejsce; znajduje się w Parowie Duchów, na granicy Drujistanu i...

— Dobrze. A teraz wszyscy powinni się trochę zdrzemnąć. Wyruszamy o świcie.

— Do Anshanu? — spytał Balash.

— Nie. Do Drujistanu.

— A zatem myślisz?...

— Nic nie myślę. Na razie.

— Czy szwadron wyrusza z nami? — spytał Tubal. — Konie są mocno zdrożone.

— Nie. Ludzie i konie niech odpoczywają. Ty i Hattusas pojedziecie ze mną i jednym z ludzi Balasha w charakterze przewodnika. Podczas mojej nieobecności dowództwo przejmuje Codrus i jeżeli jacyś moi ludzie odważą się tknąć choćby palcem którąś z tutejszych kobiet, powiedz mu, że ma ich skrócić o głowę.

CZARNA KRAINA

Zmierzch zatarł już kontury horyzontu, kiedy przewodnik Conana zatrzymał się. Przed nimi postrzępiony łańcuch skał był przecięty głębokim wąwozem. W dali za wąwozem wznosiły się groźnie wyglądające pasma czarnych turni i klifów: dzikie, złowieszcze rumowiska potrzaskanych czarnych skał.

— Tam zaczyna się Drujistan — powiedział Kushafijczyk. — Za tym parowem, Parowem Duchów, zaczyna się kraina grozy i śmierci. Nie pójdę dalej.

Conan skinął głową. Jego oczy wysledziły trakt biegnący w dół stromego zbocza do wnętrza wąwozu. Była to pozostałość starej drogi i wyglądało na to, że ostatnio często z niej korzystano.

Conan rozejrzał się wokoło. Towarzyszyli mu Tubal, Hattusas, przewodnik... i Nanaja.

Dziewczyna nalegała, by wzięli ją ze sobą, bo, jak twierdziła, bała się zostać sama pośród tych cudzoziemców, którzy mówili nieznanym jej językiem. Udowodniła, że dorównuje im pod względem wytrzymałości i stała się równym im towarzyszem wędrówki. Kushafijczyk dodał:

— Szlak, jak widzicie, jest przejezdny, ale nawiedzają go demony. Żaden z wędrowców, którzy podążyli tą drogą, nigdy nie powrócił.

Tubal uśmiechnął się szyderczo.

— Jakież demony potrzebują dróg do swych wędrówek? One latają i mają skrzydła jak nietoperze!

— Kiedy przybierają ludzką postać, poruszają się jak ludzie — rzekł Kushafijczyk.

Wskazał na skalną półkę przy ścieżce. — U stóp tego zbocza znaleźliśmy człowieka, którego nazywacie Khitajczykiem. Najwyraźniej jego bracia, demony, wdały się z nim w kłótnię i zrzuciły go ze skały.

— Najwyraźniej potknął się i spadł — mruknął Conan. — Khitajczycy z pustyni nie przywykli do wspinaczki. Ich nogi są powykrzywiane i osłabione od jazdy konnej. Nic dziwnego, że jeden z nich mógł spaść z wąskiej, skalnej półki.

— Jeżeli był człowiekiem, być może — rzekł Kushafijczyk. — Ale na Asurę!

Wszyscy prócz Conana poderwali się, a Kushafijczyk, rozglądając się dziko, gwałtownym ruchem napiął łuk. Z południa, od strony łańcucha gór dobiegł ich niesamowity odgłos, zabłąkany, grzmiący ryk, który odbijał się szerokim echem pośród skał.

— Głos demonów! — krzyknął Kushafijczyk, ściągając wodze tak mocno, że jego rumak zadrzał i stanął dęba. — W imię Asury, wynośmy się stąd! Pozostawanie tu jest szaleństwem!

— Jeżeli się boisz, wracaj do swej wioski — rzekł Conan. — Ja idę. — Prawdę mówiąc, to zjawisko sprawiło, że i na ciele Cymeryjczyka pojawiła się gęsia skórka, ale nie chciał przyznać się do tego swoim towarzyszom.

— Bez twoich ludzi? Ależ to błąd! Poślij przynajmniej po swoich ludzi!

Oczy Conana zwęziły się niczym oczy wilka na łowach.

— Nie tym razem. Jeżeli chodzi o zwiad i szpiegowanie, im mniej ludzi, tym lepiej. Myślę, że rozejrzę się trochę po tej krainie demonów. Te góry mogłyby być niezłą fortecą. Ty też wracaj, dziewczyno — zwrócił się do Nanai.

Zaczęła płakać.

— Nie odsyłaj mnie, Conanie! Ci dzicy górale mnie zgwałcą.

Spojrzał krytycznym okiem na jej wysoką, dobrze umięśnioną sylwetkę.

— Każdy, kto by zechciał spróbować, miałby trudne zadanie. No dobrze, chodź ze mną, ale nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Przewodnik zawrócił swojego kuca i piętami zmusił go do galopu.

— Balash będzie cię oplakiwał! W Kushaf zapanuje żałoba! Ahai! — zakrzyknął jeszcze, odwracając się w ich stronę. Jego zawodzenia utonęły w odgłosie kopyt bijących o kamienie, gdy Kushafijczyk poganiając kuca pokonywał przełęcz i zniknął w oddali.

— Uciekaj, synu beznosej matki! — krzyknął Tubal. — Pojmamy te twoje diabły i zaciągniemy je za ogony aż do Kushaf! — Zamilkł jednak natychmiast, gdy jego ofiara znalazła się poza zasięgiem głosu.

Conan zwrócił się do Hattusasa:

— Czy słyszałeś kiedyś takie odgłosy? Ogorzały Zamoranin skinął głową: — Tak, w górach zamieszkiwanych przez czcicieli szatana.

Conan pozostawił to stwierdzenie bez komentarza. On również słyszał unoszący się ponad łańcuchem nagich, czarnych skał zakazanej Pathenii ryk długich na trzy metry trąb z brązu, na których grywali łysogłowi kapłani Erlika.

Tubal chrząknął jak nosorożec. Nie słyszał tych trąb. Wyprzedził Hattusasa, aby znaleźć się tuż za Conanem. Powoli, jeden za drugim, zjeżdżali w dół stromego zbocza skąpani w purpurowym blasku zmierzchu. Tubal zwrócił się do Conana: — Co masz zamiar teraz zrobić? — spytał. — Wjeżdżamy do tego kraju demonów, a przecież ci podstępni Kushafijczycy mogą nas śledzić. Kto wie, czy dziś lub jutro w nocy nie poderzną ci gardła? Co zamierzasz?

Słyszając to Conan pochylił głowę i splunął, aby nie zdradzić, że się uśmiechał.

— Jutrzejszej nocy rozbijemy obóz w wąwozie. Konie są zbyt zdrożone, aby mogły przedzierać się przez te wąwozy po zmierzchu. Jutro wyruszymy dalej.

Myślę, że Ukryci mają tu gdzieś w okolicy obozowisko. Tutejsze wzgórza są prawie niezamieszkałe. Jediną wioską w okolicy jest Kushaf, a to przecież cały dzień drogi stąd.

Wędrownie klany omijają te tereny z obawy przed Kushafijczykami, a ludzie Balasha są zbyt przesadni, aby wkraczać do tego wąwozu. Ukryci mogą więc bez obaw przychodzić tu i odchodzić nie będąc przez nikogo widzianymi. Nie wiem, co mamy robić. Wszystko w rękach bogów.

Kiedy zeszli do parowu, zobaczyli, że szlak prowadził poprzez kamienistą równinę do wlotu wąskiego, głębokiego wąwozu, przecinającego południową skalną ścianę. Była ona wyższa i bardziej stroma niż północna. Wznosiła się ku górze niczym ściana litej czerni, poznaczona tu i ówdzie wąskimi przesmykami wąwozów. Conan wjechał do parowu i dotarł

do pierwszego załomu skał. Jak się okazało, szlak był wyjątkowo kręty. Wąwóz wił się pomiędzy stromymi skalnymi ścianami, przypominając ślad węża na piasku, a teraz spowijała go niemal nieprzenikniona ciemność.

— Jutro ruszymy tą drogą — rzekł Conan.

Jego ludzie skinęli bez słowa głowami, po czym wraz ze swym wodzem wjechali do głównego parowu rozjaśnionego jeszcze resztkami dziennego światła. Stukot końskich kopyt o kamienie był wyjątkowo głośny we wszechobecnej ciszy.

Nieco dalej na zachód od szlaku, w wąwozie otwierał się kolejny przesmyk. Na jego kamienistym podłożu nie było widać żadnych śladów, a zwęzał się tak bardzo, iż Conan w pierwszej chwili sądził, że jest to po prostu ślepa uliczka. W połowie drogi pomiędzy tymi parowami, w pobliżu północnej ściany, ze skały tryskał niewielki strumień. Za nim, w przypominającej jaskinię niszy skalnej rosły kępy suchych, poskręcanych dziwacznie krzewów. Właśnie tam Conan zdecydował się pozostawić konie.

Rozbili obozowisko przy strumieniu i zjedli suszone mięso. Nie chcieli rozpalać ogniska, by nie zobaczyły ich oczy kogoś, kto mógłby być do nich wrogo nastawiony.

Conan rozdzielił swoich ludzi i wyznaczył dwie warty. Tubala ustawił po zachodniej stronie obozu, przy węższym z wąwozów, a Hattusasa przy skale od wschodniej strony.

Gdyby jakaś grupa wchodziła do wąwozu, bądź go opuszczała, strażnicy musieliby ją zauważyć.

W wąwozie szybko zrobiło się ciemno — tak, jakby mrok wydostawał się ze szczelin w skałach i spowijał wnętrze wąwozu czarną falą. Na niebie błyszczały gwiazdy, zimne, białe i obojętne. Conan zasnął, zastanawiając się w głębi duszy, ilu ponurych wydarzeń musiały być one świadkami od zarania dziejów.

Czujne zmysły Conana nigdy nie ulegały przytępieniu, nawet po latach jego kontaktów z cywilizacją. Kiedy Tubal zbliżył się do niego, by położyć mu rękę na ramieniu, Conan obudził się i poderwał gwałtownie z mieczem w dłoni, zanim Shemita zdążył go w ogóle dotknąć.

— Co się dzieje? — spytał.

Tubal przykucnął obok niego. Jego potężna sylwetka rysowała się mgliście w ciemnościach. Nieopodal, w cieniu skał niewidoczne konie poruszały się nerwowo. Nim jeszcze Tubal zaczął mówić, Conan wiedział już, że coś się święci.

— Hattusas nie żyje, a dziewczyna zniknęła. Śmierć nadciąga na nas w ciemności!

— Co?

— Hattusas leży przy wylocie wąwozu z poderżniętym gardłem. Usłyszałem odgłos osuwającego się kamienia i kiedy poszedłem w tamtą stronę, zobaczyłem Hattusasa leżącego w kałuży krwi. Musiał umrzeć cicho i gwałtownie. Nikogo nie widziałem ani nie słyszałem niczego więcej. Potem wróciłem do ciebie i zobaczyłem, że Nanaja zniknęła. Diabły z gór zabiły strażnika i porwały dziewczynę, a my niczego nie słyszeliśmy. Mam wrażenie, że śmierć wciąż jeszcze gdzieś tu się czai. To prawdziwy Parów Duchów!

Conan przyklęknął bezgłośnie na jedno kolano i wyężając wzrok i słuch, próbował

przeniknąć ciemności. Śmierć czujnego Zamoranina i porwanie Nanai przyprawiły go o zimny dreszcz. Może rzeczywiście mieli tu do czynienia z siłami nadprzyrodzonymi?

— Któż może stawić czoła diabłu, Conanie? Osiodłajmy konie i...

— Słuchaj!

Gdzieś w ciemnościach rozległo się szuranie bosych stóp po kamieniach. Conan wstał, spoglądając w mrok. Z ciemności wyłoniła się grupka ludzi. Cienie odrywały się od czarnego tła i pomykały naprzód. Conan dobył lewą ręką sztyletu. Tubal ukląkł obok niego z ilbarskim nożem w dłoni — milczący i niebezpieczny, jak osaczony wilk.

Słabo widoczny szereg zbliżając się w ich stronę zmienił szyk i zaczął rozchodzić się na boki. Conan i Shemita cofnęli się o metr, aż oparli się plecami o kamienną ścianę. Teraz napastnicy nie mogli już ich otoczyć.

Atak nastąpił nagle — tupot bosych stóp po kamiennym podłożu przeciął ciszę nocy, stal błysnęła niemrawo w bladym świetle gwiazd. Conan niemal nie rozróżniał napastników.

Jedyne co widział, to ich mroczne postacie i błyski stali, jaką dzierżyli w dłoniach. Uderzał i parował ciosy niemal instynktownie, jakby nie do końca dowierzał własnym oczom. Kiedy pierwszy z napastników znalazł się w zasięgu jego miecza, Conan natychmiast przeszył go na wylot.

Tubal zawył, kiedy przekonał się, że ich napastnicy są mimo wszystko śmiertelni i wpadł w iście bitewny szał. Jego metrowy nóż zataczał straszne kręgi, siejąc śmierć i zniszczenie.

Stojąc ramię przy ramieniu, odwróceny plecami do kamiennej ściany, dwaj towarzysze byli chronieni przed atakiem od tyłu, bądź z flank.

Stal dźwięczała o stal, krzesząc fontanny iskier. W chwilę potem rozległy się nieprzyjemne odgłosy, jakie można usłyszeć przy kramach rzeźnickich, a które towarzyszą rąbaniu mięsa i kości. Na kilka chwil grupa ludzi stłoczona pod skalną ścianą zmieniła się w bezładną plataninę ciał i kończyn. Walka toczyła się zbyt szybko, była nazbyt bezładna i chaotyczna, aby można było mówić o konsekwentnej obronie. Nie było czasu na jakiegokolwiek przemyślenia. Jednak przewaga leżała po stronie osaczonych. Widzieli równie dobrze, jak napastnicy, a poza tym byli od nich o wiele silniejsi. Wiedzieli, że każdy ich cios dosięga celu, którym były ciała atakujących. Przewaga liczebna okazała się dla napastników przeszkodą — atakując musieli cały czas uważać, by w ferworze walki nie zabić któregoś ze swoich kompanów.

Conan uchylił się przed ciosem, zanim w ogóle zauważył zmierzające w jego stronę ostrze.

Pchnął z całej siły, ale jego miecz ześlizgnął się po kolczudze i rozplątał udo napastnika..

Mężczyzna runął na ziemię. Kiedy starł się z następnym, ranny podczołgał się naprzód i dobywszy noża, pchnął nim Conana. Kolczuga Cymeryjczyka zatrzymała cios, a w chwilę potem ranny, dźgnięty sztyletem Conana w gardło, osunął się martwy na ziemię. Jego ciało zbryzgała krew innych umierających.

Naraz natarcie osłabło. Atakujący niczym duchy zaczęli znikać w ciemnościach, które nie były już tak nieprzeniknione. Nad krawędzią gór na wschodzie lśniła srebrna poświata zwiastująca wzejście księżyca.

Tubal zawył jak wilk i wiedziony bitewnym szałem, tocząc pianę z ust ruszył w pościg za uciekającymi. Potknął się o leżącego na ziemi człowieka i odruchowo zadał potężne pchnięcie, zanim zrozumiał, że przebija trupa. W chwilę potem Conan złapał go za rękę i kiedy Tubal poderwał się z ziemi gotowy do biegu, prawie zwałił z nóg potężnego Cymeryjczyka. Zachowywał się jak schwytyany na łące byk. Prychał i pluł, rwąc się do walki.

— Zaczekaj, głupcze — ryknął Conan. — Czy chcesz zapędzić się w pułapkę?

Tubal uspokoił się, ale nadal był czujny jak wilk. Dotarli do wylotu wąwozu i stojąc ramię w ramię patrzyli, jak niewyraźne sylwetki znikają w mrocznej czeluści. Gdzieś w oddali, przed nimi, poruszony kamień spadł na dno parowu. Conan sprężył się cały jak gotowa do skoku pantera.

— Te psy nadal uciekają — rzekł Tubal. — Pójdziemy ich śladem?

Conan pokręcił przecząco głową. Porwano Nanaję, a poza tym nie chciał ryzykować ataku na ślepo i zapuszczać się do wnętrza mrocznego wąwozu, gdzie mogły na nich czyhać przeróżne pułapki i zasadzki. Powrócili do obozowiska i przerażonych koni, które dostawały szału pod wpływem

zapachu świeżo przelanej krwi.

— Kiedy księżyc wzejdzie na tyle, że oświetli dno wąwozu — rzekł Tubal — obsadzą skały łucznikami, a ci dadzą nam do wiwatu.

— Musimy zaryzykować — stwierdził Conan. — Może są słabymi strzelcami.

Milcząc przycupnęli w cieniu wielkiej skały, podczas gdy na niebie nad wąwozem pojawiła się okazała, srebrna tarcza księżyca. Żaden odgłos nie zmącił ciszy, jaka zapanowała nad pobożowiskiem. Niedługo potem, przy woskowo żółtym świetle Conan przyjrzał się uważnie czterem zabitym, których atakujący pozostawili na placu boju. Ujrawszy brodate oblicza, Tubal wykrzyknął:

— Czyciele diabła! Sabateanie!

— Nic dziwnego, że skradają się jak koty — mruknął Conan. W Shemie wiele słyszał o niesamowitej tajemnicy wyznawców tego starego i przerażającego kultu, którzy czcili Złotego Pawia w ukrytych pałacach przeklętej Sabatei.

— Co oni tu robią? Ich domem jest Shem. Zobaczmy... Ha!

Conan rozchylił szatę zabitego. Na tunice, jaką ów nosił pod spodem, widniał emblemat dłoni dzierżącej sztylet w kształcie płomienia. Tubal rozerwał szaty okrywające pozostałych trzech zabitych. Każdy z nich nosił tunikę z wizerunkiem pięści i noża.

— Jakież kult wyznają Ukryci, który przyciąga tu ludzi z Shemu i Khitaju, znajdujących się o tysiące mil od siebie?

— Tego właśnie mam zamiar się dowiedzieć — odparł Conan.

Usiedli w milczeniu w cieniu skały. W chwilę potem Tubal wstał i spytał: — I co teraz?

Conan wskazał na oświetlone księżycowym blaskiem ciemne plamy na skalistym dnie wąwozu.

— Możemy podążać tym śladem.

Tubal otarł nóż i schował go do pochwy, podczas gdy Conan przewiązał się w pasie grubym zwojem liny, zakończonym po jednej stronie kotwiczką o trzech długich ostrzach.

Księżyc był teraz wysoko, oświetlając swoim blaskiem wnętrze wąwozu.

W świetle księżyca dotarli do wylotu parowu. Nie rozległ się melodyjny świst spuszczonej cięciwy, w powietrzu nie śmignął smukły oszczep, w oddali nie zamajaczył żaden złowrogi cień. Na kamiennym podłożu widniały ślady krwi. Sabateanie musieli zabrać ze sobą ciężko rannych.

Ruszyli w głąb wąwozu pieszo — tak jak ich przeciwnicy. Poza tym parów był wąski i w razie walki jeździec na koniu znalazłby się w kłopotliwym położeniu.

Spodziewali się zasadzki za każdym mijanym zakrętem, ale ślad krwi ciągnął się dalej i nikt nie stanął im na drodze. Krwi nie było już teraz tak wiele, ale wystarczyło, by zaznaczyć im drogę. Conan przyspieszył kroku, mając nadzieję, że uda mu się dogonić Sabatean. Choć mieli pewną przewagę czasową, nie mogli poruszać się zbyt szybko z uwagi na rannych i więźnia. Przypuszczał, że Nanaja żyje, bo w przeciwnym razie natknęliby się gdzieś po drodze na jej trupa.

Wąwóz piał się ku górze, zwężał, po czym nieco rozszerzał, opadał w dół, zakręcał i łączył się z drugim, biegnącym ze wschodu na zachód. Ten mierzył kilkaset metrów szerokości.

Krwawy ślad urywał się przy południowej ścianie.

Tubal jęknął:

— Te psy, Kushafijczycy, mówiły prawdę. Ślad zatrzymuje się u stóp skały, którą tylko ptak mógłby pokonać.

Conan zatrzymał się, nie kryjąc zdziwienia. Zgubili ślad starożytnej drogi w Parowie Duchów, ale to była bez wątpienia droga, którą przybyli Sabateanie. Uniósł wzrok i przyjrzał

się z uwagą ścianie, wznoszącej się na kilkaset metrów w górę. Wysoko, jakieś pięć metrów ponad nim, ciągnęła się wąska półka — niezbyt szeroka i mierząca nie więcej niż metr długości. O mało nie przeoczył drobnej plamki wysoko na skalnej ścianie.

Rozwijając linę, Conan rozbijał obciążony koniec, a potem rzucił go z całych sił w górę.

Hak zaczepił się o krawędź skalnej półki i zablokował. Conan wspiął się po cienkiej, ale mocnej linie tak szybko i sprawnie, jak większość ludzi wchodzi po drabinie. Kiedy znalazł

się przy szkarłatnym śladzie, potwierdził swoje przypuszczenie, że była to zaschnięta krew, a ślad mógł powstać, kiedy ranny wchodził, bądź też był wciągany na skalną półkę.

Stojący na dole Tubal denerwował się i próbował lepiej przyjrzeć się skalnej półce, jakby obawiał się, że znajdzie się na niej oddział niewidzialnych zabójców. Półka jednak, gdy Conan wspiął się na nią, okazała się pusta.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był ciężki, niewidoczny z dołu pierścień z brązu, osadzony w skale. Metal był wypolerowany od częstego używania. Na brzegu półki widniały kolejne krwawe ślady. Plamy krwi ciągnęły się wzdłuż całej półki, aż do pokrytej liniami pęknięć pionowej skalnej ściany. Conan zauważył coś jeszcze — zamazany ślad zakrwawionych palców na powierzchni skały.

Przyjrzał się uważnie rysom na ścianie, po czym położył dłoń na śladzie zakrwawionej dłoni i nacisnął. Fragment ściany łagodnie przesunął się do wewnątrz. Przed oczyma Conana pojawiły się otwarte drzwi do wąskiego tunelu oświetlonego słabo gdzieś w głębi blaskiem księżyca.

Czujny niczym lampart skradający się ku ofierze, wszedł do środka. W tej samej chwili usłyszał dochodzący z dołu krzyk Tubala, któremu wydawało się, że Cymeryjczyk wtopił się w litą skałę.

Conan wychylił się do niego i uciszywszy go ponowił swoje poszukiwania.

Tunel był krótki. Blask księżyca wlewał się do środka z drugiego końca rozgałęziającego się korytarza. Przejście to mierzyło prawie trzydzieści metrów i kończyło się ostrym zakrętem. Korytarz w skale był wykuty równo, jakby wycięty nożem. Drzwi, przez które wszedł Conan, stanowił prostokątny kamienny blok zawieszony na ciężkich, naoliwionych zawiasach z brązu. Był wspaniale dopasowany, a nieregularny kształt sprawiał, że linia spękań na skale wyglądała bardzo naturalnie. Przy wejściu do tunelu wisiała gruba, ciężka, sznurowa drabinka. Conan wrócił z nią na skalną półkę, przymocował do brązowego pierścienia i spuścił na dół. Podczas gdy Tubal płonąc ze zniecierpliwienia wspinał się na górę, Conan zwinął swoją własną linę i ponownie się nią opasał.

Kiedy Tubal poznał tajemnicę zaginionego śladu, zaklął serią wulgarnych, shemickich przekleństw, a gdy się już nieco uspokoił, zapytał: — Ale dlaczego drzwi nie były zamknięte od wewnątrz?

— Prawdopodobnie ci ludzie bardzo wiele podróżują; dzięki takiemu rozwiązaniu nie muszą korzystać z pomocy osób znajdujących się wewnątrz. Szansę na odnalezienie ich kryjówki są raczej nikłe. Gdyby nie ślady krwi, nie udało by mi się tego odkryć.

Tubal był zdania, że należy natychmiast zbadać kryjówkę sekty, ale Conan był nader czujny. Nie dostrzegł wprawdzie żadnych śladów strażników, ale nie sądził, że ludzie, którzy tak genialnie obmyślili sobie kryjówkę, mogliby ją pozostawić bez jakiegokolwiek ochrony.

Wciągnął na górę drabinkę, zwinął ją, położył na półce, a potem zamknął drzwi do tunelu.

Wąskie przejście pograżyło się w ciemnościach. Rozkazawszy niezbyt chętnemu Tubalowi, aby na niego czekał, wszedł do tunelu i skręcił w jego boczną odnogę.

W górze widać było rozgwieżdżone niebo. Blask księżyca wpływający do korytarza w pełni wystarczył obdarzonemu kocim wzrokiem Cymeryjczykowi. Nie dotarł jeszcze do zakrętu, gdy usłyszał za sobą szelest kroków. Ledwie ukrył się za rozłupanym głazem, który odpadł od ściany, kiedy w korytarzu pojawił się strażnik. Szedł powoli jak człowiek wypełniający nudny obowiązek, wyraźnie przeświadczony o swoim własnym bezpieczeństwie. Był to niski, krępy Khitajczyk z twarzą koloru miedzi. Szedł wolno, ociężałym krokiem człowieka przyzwyczajonego do jazdy konnej, ciągnąc za sobą włócznię.

Minął kryjówkę Conana i nagle wiedziony jakimś instynktem, odwrócił się i obnażając zęby w dzikim grymasie, uniósł do góry dłoń uzbrojoną we włócznię.

Odwracał się jeszcze, gdy Conan jednym susem zjawił się obok niego, gwałtownym zrywem swoich gibkich, przypominających stalowe sprężyny, mięśni. Kiedy włócznia uniosła się do ciosu, potężny sejmitar śmignął w dół. Khitajczyk upadł jak ścięte drzewo z czaszką rozplataną niczym dojrzały melon. Conan znieruchomiał, spoglądając w stronę przejścia.

Kiedy upewnił się, że w korytarzu nie ma więcej strażników, zagwizdał cicho i po chwili w przejściu pojawił się Tubal. Chrząknął na widok leżącego na ziemi trupa.

Conan pochylił się i uniósł górną wargę Khitajczyka, odsłaniając rząd zaostzonych ostrych zębów.

— Jeszcze jeden syn Erlika, Żółtego Boga Śmierci. Nie sposób powiedzieć, ilu jeszcze z nich zamieszkuje w tym wąwozie. Zaciągnijmy go za te skały.

Za zakrętem, długi, głęboki korytarz aż do następnego skrzyżowania był pusty. Kiedy go pokonali, Conan ostatecznie upewnił się, że Khitajczyk był jedynym strażnikiem w przesmyku.

Kiedy w końcu wyszli na otwartą przestrzeń, był już świt. Wąwóz zmienił się tu w chaotyczną mozaikę potrzaskanych skał. Pojedynczy parów dzielił się na tuzin wąskich przesmyków wijących się między głazami i odłamkami skalnymi jak rzeka, która w delcie rozdziela swe koryta na szereg oddzielnych strumieni. Pokrzywione wieżyczki i blanki czarnych kamieni pięły się w górę niczym posępne duchy w bladym świetle budzącego się dnia.

Krocząc pośród tych upiornych wartowników, dwaj awanturnicy wyszli wkrótce na odkrytą przestrzeń, usianą odłamkami skał. Od podnóża skalnej ściany dzieliło ich trzysta kroków. Szlak, którym podążali, wyłobiony setkami stóp w zwietrzałym kamieniu, przecinał

równinę i przechodził w krętą ścieżkę prowadzącą w górę urwiska po wykutych w skale podestach. Nie sposób było określić, co znajdowało się na szczycie urwiska. Po prawej i lewej stronie widać było tylko masywny mur, flankowany zrujnowanymi wieżyczkami.

— Co teraz, Conanie?

W blasku wschodzącego słońca Shemita przypominał górskiego trolla, zaskoczonego przez świt poza swoją jaskinią.

— Chyba jesteśmy już blisko... posłuchaj!

Ponad skałami przetoczyło się echo, które słyszeli poprzedniej nocy — przejmujący ryk wielkiej trąby.

— Zobaczyli nas? — spytał Tubal, obracając w palcach nóż.

Conan wzruszył ramionami.

— Przekonamy się. I tak trzeba się rozejrzeć, nim spróbujemy się wspiąć na urwisko.

Tutaj!

Wskazał na zwietrzałą, stoma skałę, wznoszącą się niczym wieża pośród mniejszych od niej kamieni. Dwaj towarzysze wspięli się zwinnie, trzymając się po niewidocznej z urwiska stronie. Szczyt znajdował się wyżej niż krawędź przeciwległej skały. Potem ułożyli się za załomem skały i szeroko otwartymi oczyma zaczęli chłonąć widok, który im się pojawił w różowej mgiele wstającego świtu.

— Na Pteora! — zaklął Tubal.

Z ich korzystnej dla obserwacji pozycji przeciwległe urwisko ukazywało swą prawdziwą naturę: był to jeden z boków gigantycznego, skalistego płaskowyżu, który wznosił się na wysokość stu pięćdziesięciu czy dwustu metrów ponad powierzchnię gruntu. Jego pionowe ściany wydawały się nietknięte i dziewicze, jakby nie wycięto w nich żadnego szlaku, ciągnącego się aż na szczyt. Od wschodu, północy i zachodu otaczały go odłupane bryły gładów, oddzielone od płaskowyżu szczeliną wąwozu, której szerokość wahała się od trzystu kroków aż do prawie pół mili. Od południa płaskowyż graniczył z gigantyczną, nagą górą, której posępne turnie dominowały nad sąsiednimi szczytami.

Jednak obserwatorzy zwracali minimalną uwagę na szczegóły topograficzne miejsca, w którym się znajdowali. Conan spodziewał się, że u kresu swej wędrówki śladem krwi natrafią na jakieś ślady ludzkiej obecności. Mogły to być namioty, pełniące rolę stajni dla koni, jaskinie albo może nawet niewielka wioska z błota i kamienia, wzniesiona na stoku góry.

Tymczasem ich oczom ukazało się miasto, którego kopuły i wieże błyszcząły w promieniach wschodzącego słońca niczym bajeczne miasto czarnoksiężników, przeniesione za sprawą magii z jakiejś baśniowej krainy i pozostawione tu, w samym sercu tego dzikiego pustkowia.

— Miasto demonów! — krzyknął Tubal. — Czary i magia! Pstryknął palcami z obawy przed urokami. Płaskowyż był owalny, z północy na południe mierzył około dwóch kilometrów, a ze wschodu na zachód nie więcej niż kilometr. Miasto wznosiło się na jego południowym krańcu, a z tyłu, za nim piętrzyła się czarna góra. W blasku wschodzącego słońca błyszcząca złota kopuła jakiejś olbrzymiej budowli. Dominowała ona nad kamiennymi domami o płaskich dachach i niezbyt wysokimi drzewami.

Cymeryjska krew, płynąca w żyłach Conana, zawrzała. Błękitne oczy lustrowały okolice, odnotowując uderzający kontrast pomiędzy mroczną czernią skał a kolorystyką miejskich budowli. To miasto wzbudzało dziwne przeczucia — Conan miał wrażenie, że wewnątrz czai się zło. Błysk olbrzymiej purpurowozłotej kopuły był w jakiś sposób złowrogi. Czarne postrzępione gładzie tworzyły złowieszcze tło dla całości budowli; zdawało się, że miasto kryje w sobie jakąś odwieczną, demoniczną tajemnicę. Pomimo niezwyklego wyglądu wyczuwało się tu dziwne niepokojące uczucie zła i rozkładu, skrywające się pod osłoną kolorów i oślepiającego blasku.

— To musi być warownia Ukrytych — mruknął Conan. — Któż by pomyślał, że w takiej głuszy można by natrafić na miasto?

— Ale przecież nie możemy walczyć z całym miastem — jęknął Tubal.

Conan w milczeniu przyglądał się odległym budowlom. Miasto nie było takie duże, jak się wydawało w pierwszej chwili. Było zwarte, ale nie otoczono go murami. Osłonę stanowiła dlań sama skała. Dwu i trzypiętrowe budynki otoczone były gajami i ogrodami. Było to zadziwiające, bo płaskowyż wydawał się być nagą skałą, na której nic nie miało prawa zakiełkować.

Conan podjął decyzję i rzekł:

— Tubalu, wróć do naszego obozu w Parowie Duchów. Weź konie i jedź do Kushaf.

Powiedz Balashowi, że potrzebuję wszystkich jego ludzi. Przeprowadź kozaków i Kushafich przez wąwóz, ukryj ich w tych przesmykach, a potem czekaj, aż dostaniesz sygnał ode mnie albo dowiesz się, że nie żyję.

— Niech Pteor pożre Balasha! A co z tobą?

— Idę do miasta.

— Oszalałeś!

— Nie martw się przyjacielu. To jedyny sposób, abym mógł wydostać stamtąd Nanaję żywą. Potem wymyślimy jakiś plan ataku na miasto. Jeżeli nie zginę i nie zostanę pojmany, spotkam się z wami tutaj, jeżeli zaś stanie się inaczej, ty i Balash zrobicie, jak będziecie uważali za stosowne.

— Co chcesz uczynić z tym gniazdem węży? Oczy Conana zwęziły się.

— Stworzyć tu podstawę imperium. Nie możemy zostać w Iranistanie ani wrócić do Turanu. W moich rękach... to niedostępne miejsce może stać się prawdziwą fortecą. Ruszaj już.

— Balash za mną nie przepada. Jak napluje mi w twarz, zabiję go, a jego psy rozszarpią mnie na sztuki.

— Nie zrobi tego.

— Nie przybędzie tu.

— Przybyłby i do Piekła, gdybym stamtąd po niego posłał.

— Jego ludzie nie przyjdą, boją się diabłów.

— Przyjdą, jeżeli im powiesz, że tu nie ma żadnych diabłów, a jedynie zwykli ludzie.

Tubal skubnął brodę i wreszcie przyznał się, co było prawdziwym powodem jego niechęci do opuszczenia Conana:

— Świnie w tym mieście obedną cię żywcem ze skóry!

— Nie. Mam zamiar użyć podstępu. Będę się podawał za zbiega uciekającego przed gniewem króla, wyrzutka szukającego schronienia.

Tubal nie skomentował tego. Mamrocząc coś pod nosem, szedł wolno ścieżką pośród skał

i zniknął w czeluści wąwozu.

Kiedy Conan stracił go z oczu, również zaczął schodzić w dół, w stronę widniejących w oddali skał.

UKRYCI

Conan dotarł do podnóża skalnej ściany i zaczął się wspinać stromą ścieżką, nie zauważony przez żadną istotę ludzką. Droga pięła się w górę po kolejnych podestach, zabezpieczonych od strony przepaści niskimi cyklopowymi ścianami. Nie były one dziełem ilbarskich górali — wyglądały na starożytne i równie mocne jak sama góra.

Na ostatnim odcinku podesty zamieniały się w schody o szerokich kamiennych stopniach.

Nadal nikt nie wychodził Conanowi na spotkanie. Minał linię niskich fortyfikacji wzdłuż skraju płaskowyżu i niemal wpadł na siedmiu mężczyzn, pochłoniętych bez reszty jakąś wielce ciekawą grą hazardową.

Chrzęst butów Conana na żwirze sprawił, że mężczyźni momentalnie poderwali się z ziemi, obrzucając go dzikimi spojrzeniami. Byli to Zuagierowie, pustynni Shemici, smukli wojownicy o orlich nosach, w powiewnych kefiach na głowach, uzbrojeni w sztylety i szerokie szable. Sięgnęli po oszczepy leżące obok nich i unieśli je do rzutu.

Conan, bynajmniej nie zdziwiony, stał nieruchomo, mierząc ich wzrokiem. Zuagierowie, niespokojni jak dzikie górskie koty osaczone przy skalnej ścianie, odpłacali mu spojrzeniami.

— Conan! — wykrzyknął najwyższy z Zuagirów, a w jego oczach błysnął strach i podejrzliwość. — Czego tu szukasz?

Conan powiódł po nich wzrokiem i rzekł:

— Chcę się widzieć z waszym panem.

Stwierdzenie to wyraźnie im nie wystarczyło. Zaczęli mamrotać coś między sobą, a w tymczasem wazyli w dłoniach ciężkie oszczepy, jakby szykowali się do rzutu. Wysoki Zuagir mówił podniesionym głosem:

— Paplacie jak wrony! Sprawa jest prosta. Zagapiliśmy się, pochłonięci grą i nie zauważyliśmy go. Nie wypełniliśmy należycie naszych obowiązków. Jeżeli to się wyda, zostaniemy ukarani. Zabijmy go i zrzucmy ze skały.

— Tak — zgodził się Conan. — Spróbujcie to zrobić. A kiedy wasz pan spyta: „Gdzie jest Conan, który miał mi przynieść ważne wieści?” odpowiedź: „Panie nic nam o tym nie mówiłeś, dlatego też zabiliśmy go, aby dać ci nauczkę.” Skrzywili się, słysząc te słowa. Któryś warknął:

— Przebijcie go włócznią, nikt się o niczym nie dowie.

— Nie. Jeżeli chybimy za pierwszym rzutem, zaatakuje nas jak wilk stado owiec.

— Zwiążmy go i poderżnijmy mu gardło! — zasugerował najmłodszy z grupy. Pozostali obdarzyli go takimi spojrzeniami, że gołowąs natychmiast spuścił wzrok i nabrał wody w usta.

— Tak, poderżnijcie mi gardło — zachęcał ich Conan, przesuwając swój sejmitar nieco bardziej do przodu, aby łatwiej mu było po niego sięgnąć. — Może jeden z was pożyje dostatecznie długo, aby móc opowiedzieć o tym zdarzeniu!

— Noże są ciche — mruknął młodzik. W nagrodę jeden z Zuagirów przyrznął mu końcem włóczni w brzuch tak, że chłopak zgiął się wpół i przez chwilę nie był w stanie złapać tchu.

Kiedy Zuagirowie wyładowali swoją złość na niedoświadczonym gołowąsie, nieco się uspokoili. Najwyższy z nich zwrócił się do Conana.

— Oczekują cię?

— Czyż przybyłbym tu, gdyby było inaczej? Czy owca z własnej woli kładzie łeb do otwartej paszczy wygłodniałego lwa?

— Owca! — rzucił ironicznie Zuagir. — Prędzej szary wilk, z krwią na pazurach.

— Jeżeli nawet, to jest to krew głupców, którzy ośmielili się sprzeciwić swemu panu.

Ostatniej nocy w Parowie Duchów...

— Na Hanumana! Czy to ty walczyłeś z tymi sabateańskimi głupcami? Powiedzieli, że zabili jakiegoś kupca z Vendhyi i grupkę jego sług, którzy rozbili obozowisko w parowie.

A więc to dlatego strażnicy zachowywali się tak beztrosko! Z jakiegoś powodu Sabateanie zataili prawdziwy przebieg walki i Strażnicy Drogi nie spodziewali się pościgu.

— Żaden z was nie brał udziału w tej potyczce? — spytał Conan.

— Czy widzisz żebyśmy kuleli? Czy widzisz krew na naszych szatach? Czy widzisz, żebyśmy byli zdrożeni albo poranieni? Nie, nie braliśmy udziału w tej walce, Conanie.

— A zatem bądźcie rozsądni i nie popełniajcie takiego błędu jak tamci. Czy zaprowadzicie mnie do tego, który mnie oczekuje czy chcecie się narazić na jego gniew, gdy dowie się, że wzgardziliście jego rozkazami?

— Nie, na bogów! — rzekł wysoki Zuagir. — Nie otrzymaliśmy żadnych rozkazów, które byłyby związane z tobą. Jeżeli to, co mówisz jest kłamstwem, nasz pan skaże cię na śmierć, a jeżeli mówisz prawdę, to nic nam nie grozi. Oddaj nam oręż i zaprowadzimy cię do niego.

Conan oddał im swą broń. Zwykle walczyłyby zażarcie i dopóki starczyłoby mu sił, nie pozwoliłby się rozbroić, ale tym razem gra szła o wyższą stawkę. Przywódca kopniakiem w tyłek wyprostował gołowąsa i nakazał mu, aby pilnował Schodów tak, jakby miało od tego zależeć jego życie, a potem wydał odpowiednie rozkazy pozostałym.

Kiedy otoczyli bezbronno Cymeryjczyka zwartym kręgiem, Conan czuł, że aż świerzbiły ich ręce, aby wbić mu nóż w plecy. Jednak jego słowa zasiały w nich ziarno niepewności i nie mieli dość odwagi, by się na to zdobyć.

Ruszyli szeroką drogą w stronę miasta. Conan spytał z zaciekawieniem: — Czy Sabateanie dotarli do miasta tuż przed świtem?

— Tak — padła krótka, burkliwa odpowiedź.

— Nie mogli iść szybko — ciągnął Conan. — Nieśli rannych i dziewczynę, którą porwali z obozowiska.

Jeden ze strażników zaczął:

— Co się tyczy dziewczyny...

Przywódca krótkim warknięciem zmusił go do milczenia, obdarzając Conana wściekłym spojrzeniem.

— Nie odpowiadajcie na jego pytania. Jeżeli będzie próbował was zelżyć, nie reagujcie.

Jest sprytniejszy od węża. Jeżeli wdamy się z nim w dyskusję, omota nas, nim dotrzemy do Yanaidar.

Conan zauważył, że nazwa miasta pokrywała się z tą, którą podał mu Balash opowiadając o starej legendzie.

— Dlaczego mi nie ufacie? — spytał. — Czyż nie przybyłem do was w dobrej woli, z otwartymi ramionami?

— Tak! — Zuagir roześmiał się szyderczo. — Widziałem cię, jak raz przybyłeś z otwartymi ramionami do hyrkańskich władców w Khorusun. Następnego dnia ulice tego miasta spłynęły krwią. Nie, Conanie, znam cię od dawna. Pamiętam jeszcze stare czasy, gdy dowodziłeś oddziałami banitów na stepach Turanu. Nie mam może tyle oleju w głowie co ty, ale potrafię trzymać język za zębami. Nie uda ci się mnie omamić pięknymi słówkami. Nie odezwę się do ciebie ani słowem i jeżeli którykolwiek z moich ludzi zacznie z tobą rozmawiać, ukręcę mu łeb.

— Tak mi się wydawało, że cię znam — rzekł Conan. — Ty jesteś Antar, syn Adiego.

Byłeś dzielnym wojownikiem.

Twarz Zuagira aż pojaśniała na te słowa. Jednak już w chwilę potem mężczyzna zebrał się w sobie, uśmiechnął się szyderczo, skłął swoich, Bogu ducha winnych ludzi i wysforował się na czoło kolumny.

Conan kroczył, jakby otaczający go żołnierze byli jego eskortą i jego zachowanie udzieliło się wojownikom. Zanim dotarli do miasta, nie celowali już swymi oszczepami w Conana, tylko nieśli je swobodnie na ramionach.

Kiedy zbliżyli się do Yanaidar, tajemnica, w jaki sposób na tak nieprzyjnym gruncie mogło zakwitnąć życie, została rozwiązana. Zagłębienia w powierzchni płaskowyżu były uzupełnione ziemią wnoszoną tu z doliny. Ogrody nawadniał skomplikowany system głębokich, ale niezbyt szerokich rowów irygacyjnych, zasilanych ze źródeł znajdujących się w pobliżu miasta. Płaskowyż, otoczony pasmami wysokich skał, miał specyficzny mikroklimat, nieco inny niż w pozostałych rejonach gór.

Droga biegła pomiędzy olbrzymimi sadami i dochodziła aż do miasta. Po obu jej stronach ciągnęły się szeregi niskich domów o płaskich dachach, na tyłach których znajdowały się wspaniałe ogrody. Na drugim końcu ulicy rozpoczynała się mierzająca kilometr równina pocięta licznymi rozpadlinami, oddzielająca miasto od górującej nad nim skały. Płaskowyż wyglądał jak olbrzymi występ wycięty w pionowej skalnej ścianie.

Ludzie pracujący w ogrodach i przechodnie na ulicach przyglądali się Zuagirom i ich jeńcowi. Conan dostrzegł paru Iranistańczyków, Hyrkańczyków, Shemitów, a nawet paru Vendhyan i czarnych Kuszytów. Nigdzie nie było widać Ilbarów. Widać mieszana populacja nie miała żadnych kontaktów z tubylczymi góralami.

Ulica wychodziła na suk zamknięty od południa przez szeroką skalną ścianę, która otaczała budynek pałacowy ze wspaniałą kopułą.

Przy potężnych wrotach opatrzonych masywnymi kratami z brązu i złotymi ozdobami, nie było strażników, tylko ubrany jak eunuch Murzyn, który skłonił się nisko i otworzył je. Conan i jego eskorta weszli na obszerny dziedziniec wyłożony kolorową kostką, pośrodku którego tryskała radośnie fontanna, a w górze unosiły się stada gołębi. Od wschodu i zachodu dziedziniec był zamknięty wewnętrznymi murami, ponad którymi widać było konary drzew rosnących w przyległych ogrodach. Conan zwrócił uwagę na wysmukłą wieżę, wznoszącą się równie wysoko jak kopuła, której koronkowej roboty dachówki połyskiwały w słońcu.

Zuagirowie przeszli przez dziedziniec, docierając do otoczonego kolumnami portyku pałacu, strzeżonego przez trzydziestu Hyrkańczyków w srebrzystych hełmach z piórami, złoconych napierśnikach uzbrojonych w tarcze ze skóry nosorożca i ozdobne sejmitary, wysadzone drogimi kamieniami. Kapitan straży, mężczyzna o orlim nosie, rozmawiał przez chwilę z Antarem, synem Adiego. Po tym, jak się do siebie odnosili, Conan domyślił się, że nie byli w dobrej komitywie.

W pewnej chwili kapitan, którego nazywano Zahak, skinął swoją szczupłą, złotą dłonią i Conan został otoczony przez tuzin odzianych w błyszczące zbroje Hyrkańczyków.

Poprowadzono go po szerokich, marmurowych schodach do wnętrza pałacu. Zuagirowie, wyraźnie niezbyt zachwyceni, szli za nim.

Przeszli przez szeroki, słabo oświetlony korytarz, w którym pod sklepieniem dymiły brązowe kadzielnice, a alkowy, znajdujące się po obu jego stronach, skrywały za zasłonami z grubego sukna swoje większe i mniejsze sekrety. W tych przyćmionych, wspaniale urządzonych wnętrzach czaiły się tajemnica i groźba.

Grupa mężczyzn weszła w nieco szerszy korytarz i zbliżyła się do podwójnych drzwi z brązu, których strzegli jeszcze okazalej odziani wartownicy. Stali nieruchomo, jak posągi, podczas gdy Hyrkańczycy minęli ich i wraz ze swym jeńcem czy też gościem weszli do półkolistego pokoju. Ściany komnaty pokrywały grube gobeliny. Z sufitu zwisały złote lampy, a łukowate sklepienie było wyłożone złotem i hebanem.

Naprzeciwko wielkich wrót wznosiło się marmurowe podium. Stał tam olbrzymi fotel, ozdobiony niczym tron wykwintnymi wzorami, a na atlasowych poduszkach, którymi był

wyłożony, siedziała szczupła postać skryta w wyszywanej perłami szacie. Na różowym turbanie lśniła wielka, złota brosza w kształcie dłoni dzierżącej sztylet o falistym ostrzu.

Twarz pod turbanem była owalna, jasnobrązowa z niewielką, czarną bródką. Zdaniem Conana, człowiek ten pochodził z dalekiego wschodu: z Vendhyi albo Kosali. Ciemne oczy utkwione były w bryle kryształu leżącej na piedestale na wprost mężczyzny. Kryształ ten wielkości pięści Conana był obrobiony niemal kuliście i szlifowany jak wielki klejnot. Jego blask, niezbyt widoczny w światłach sali tronowej, sprawiał wrażenie, że we wnętrzu kryształu płonie mistyczny ogień.

Po obu stronach tronu stali olbrzymi Kuszyci. Wyglądali jak posągi wyciosane z czarnego bazaltu; byli nadzy, jeśli nie liczyć sandałów i jedwabnych przepasek biodrowych. W

dłoniach dzierżyli talwary o szerokich ostrzach.

— Kim jest ów człowiek? — spytał po hyrkańsku mężczyzna siedzący na tronie.

— To Conan Cymeryjczyk, Panie — odparł pewnym głosem Zahak.

Ciemne oczy rozbłysły z zaciekawienia, a w chwilę potem zwęziły się podejrzliwie.

— Jak dostał się do Yanaidar niezapowiedziany?

— Zuagirskie psy, które strzegą Schodów, mówią, iż przybył do nich zaklinając się, że posłałeś po niego, Magusie z Synów Yezmu.

Słyszac ten tytuł Conan zeszywniał, a jego błękitne oczy niczym dwa sztylety penetrowały owalne oblicze. Nie odezwał się ani słowem. Milczenie było równie skuteczną bronią, jak żarliwa przemowa. Jego następny ruch zależał od słów Magusa. Mogli uznać go za oszusta i skazać na ścięcie. Jednak Conan wychodził z założenia, że żaden władca nie skazałby go na śmierć, nie próbując wpierw dowiedzieć się, co go tu sprowadziło, a poza tym niektórzy władcy wierzyli swoim poddanym.

Po chwili przerwy mężczyzna na tronie odezwał się ponownie: — Takie jest prawo Yanaidar: Żaden człowiek nie może wejść po Schodach, chyba że uczyni Znak, tak, by mogli go zobaczyć Strażnicy Schodów. Jeżeli nie zna Znaku, Odźwierny powinien zostać wezwany na rozmowę, zanim wejdzie on na Schody. Conan nie był

zapowiedziany. Odźwierny nie został wezwany. Czy Conan uczynił Znak, zanim wszedł na Schody?

Antar spocił się, rzucił okiem na Conana, po czym przemówił głosem drżącym z przerażenia:

— Strażnik w wąwozie nie przekazał nam ostrzeżenia. Conan pojawił się na skale, zanim go zauważyliśmy, choć jesteśmy czujni jak orły. To czarownik, który jeśli tego pragnie, potrafi stać się niewidzialny. Kiedy powiedział, że posłałeś po niego, panie, wiedzieliśmy, że mówi prawdę, w przeciwnym razie nie mógłby znać Tajemnej Drogi...

Na czole Zuagira pojawiły się drobniutkie kropelki potu. Mężczyzna na tronie zdawał się go w ogóle nie słyszeć. Zahak uderzył Antara w twarz otwartą dłonią.

— Zamilcz psie, dopóki Magus nie rozkaże ci, byś mówił!

Antar zachwiał się i krew zaczęła mu spływać po brodzie.

Spojrzał na Hyrkańczyka z żądzą mordy w oczach, ale nie powiedział ani słowa.

Magus leniwie machnął ręką i rzekł:

— Odprowadź Zuagirów. Trzymaj ich pod strażą, dopóki nie otrzymasz dalszych rozkazów. Nawet jeżeli ów człowiek jest oczekiwany, Strażnicy nie powinni byli dać się zaskoczyć. Conan nie znał Znak, a mimo to niezauważony wszedł po Schodach. Gdyby byli czujni, nie udałooby się to nawet jemu. Nie jest żadnym czarnoksiężnikiem. Możesz odejść, chcę porozmawiać z Conanem na osobności.

Zahak skłonił się, a potem wraz ze swym oddziałem eskortującym przerażonych Zuagirów opuścił komnatę. W ich spojrzeniach, które na odchodnym rzucali Conanowi czaiła się wściekłość i nienawiść.

Gdy Zahak zamknął potężne, brązowe wrota, Magus zwrócił się po iranistańsku do Conana:

— Mów swobodnie. Ci czarni nie rozumieją po iranistańsku.

Conan, zanim odpowiedział, podsunął przed podium otomanę i usiadł na niej wygodnie, wyciągając nogi na aksamitnym podnóżku. Magus wcale nie był zaskoczony tym, że jego gość tak śmiało sobie poczyną. Jego pierwsze słowa świadczyły, że miał sporo do czynienia z ludźmi Zachodu i musiał przejąć wiele spośród ich nawyków.

— Nie posyłałem po ciebie — rzekł.

— Oczywiście, że nie. Ale musiałem coś powiedzieć tym głupcom, bo w przeciwnym razie musiałbym ich wszystkich powyrzynać.

— Czego tu szukasz?

— A czego może szukać człowiek, który dociera do siedziby wyrzutków wszelkiej maści?

— Może być równie dobrze szpiegiem.

Conan wybuchnął śmiechem.

— Czyim?

— Skąd znałeś Droge?

— Szedłem za sępami. One zawsze doprowadzają mnie tam, gdzie chcę dotrzeć.

— Wcale im się nie dziwię. Dobrze je karmisz. I często. Co z Khitajczykiem, który pilnował wąwozu?

— Nie żyje. Nie był zbyt rozsądny.

— Powiedziałbym raczej, że to sępy idą twoim tropem, a nie odwrotnie — skomentował

Magus. — Dlaczego nie powiadomiłeś mnie o swoim przybyciu?

— A przez kogo? Zeszłej nocy w Parowie Duchów oddział twoich głupców napadł na moje obozowisko. Zabili jednego z moich ludzi, a drugiego uprowadzili. Kiedy czwarty z moich towarzyszy podróży uciekł, zostałem sam i kiedy wzeszedł księżyc wyruszyłem w dalszą drogę.

— To byli Sabateanie, których zadaniem jest strzec Parowu Duchów. Nie wiedzieli, że podążasz na spotkanie ze mną. Przybyli do miasta o świcie z jednym umierającym i licznymi rannymi, twierdząc, że zabili w Parowie Duchów jakiegoś bogatego Vendhyańskiego kupca z garstką służących. Widać bali się przyznać, że uciekli, pozostawiając cię przy życiu.

Odpowiedzą za to kłamstwo, ale nadal nie wiem, po co tu przybyłeś.

— Szukam schronienia. Pomiędzy królem Iranistanu i mną doszło do nieporozumienia.

Magus wzruszył ramionami.

— Wiem o tym. Kobad Szachem na razie nie musisz się przejmować. Został zraniony przez jednego z naszych agentów. Nie wiadomo, czy wyżyje. Mimo to jednak jeden z jego szwadronów nadal podąża twoim tropem.

Conan czuł, że włosy zaczynają jeżyć mu się na karku. Nie ulegało wątpliwości, że miał tu do czynienia z magią.

— Na Croma! Masz całkiem świeże wiadomości.

Magus wskazał na kryształową kulę.

— Zabawka, ale muszę przyznać, całkiem użyteczna. Mimo to potrafimy dobrze strzec naszych tajemnic. Jako że wiedziałeś o Yanaidar i Drodze, która do niego prowadzi, zakładam, że powiedział ci o nich jeden z członków Bractwa. Czy to Tygrys cię tu przysłał?

Conan zrozumiał, że była to pułapka.

— Nie znam żadnego Tygrysa — odparł. — Nikt mi nie zdradzał żadnych tajemnic.

Dowiedziałem się wszystkiego sam. Przybyłem tu, bo szukam schronienia. Nie mogę wrócić do Anshan, a gdyby pojмали mnie Turańczycy, wbiliby mnie na pal.

Magus powiedział coś po stygijsku. Conan, wiedząc, że bez powodu nie zmieniałby języka, w jakim prowadzili rozmowę, udał, że nie rozumie, o czym mowa.

Magus zwrócił się do jednego z czarnych, a olbrzym odpiął od pasa srebrny młot i uderzył nim w złoty gong, wiszący na ścianie.

Zanim przebrzmiało echo gongu, brązowe drzwi otwały się nieznacznie i do komnaty wszedł szczupły mężczyzna w jedwabnych szatach; pokłonił się nisko swemu władcy. Sądząc po wygolonej czaszce, był Stygijczykiem. Magus nazywał go Khazą i rozmawiał z nim w języku, który właśnie sprawdził na Conanie — po stygijsku.

— Czy znasz tego człowieka? — spytał Magus.

— Tak, panie.

— Czy nasi szpiedzy donosili o nim w swoich raportach?

— Tak, panie. Ostatnie wieści z Anshanu dotyczyły właśnie jego osoby. Tej nocy kiedy twój agent, panie, próbował zabić króla, na godzinę przed atakiem, człowiek ów bardzo długo rozmawiał z władcą w cztery oczy. Potem pospiesznie opuścił pałac i wraz z trzema setkami swoich ludzi wyjechał z miasta drogą do Kushaf. Ścigali go jeźdźcy z Anshanu, ale nie wiem, czy zaniechali pościgu, czy też nadal go kontynuują.

— Możesz odejść.

Khaza skłonił się i wyszedł, a Magus na dłuższą chwilę pogrążył się w zamyśleniu. Potem uniósł głowę i rzekł:

— Myślę, że mówisz prawdę. Uciekłeś z Anshanu do Kushaf, gdzie przyjaciele króla nie są zbyt mile widziani. Wszyscy wiedzą o nienawiści, jaką darzysz Turańczyków.

Potrzebujemy takich wojowników jak ty. Nie mogę cię jednak przyjąć, dopóki Tygrys nie wyrazi na to zgody. Nie ma go obecnie w mieście, ale zjawi się tu jutro o świcie. Tymczasem chciałbym się dowiedzieć, skąd wiedziałeś o naszym stowarzyszeniu i o naszym mieście.

Conan wzruszył ramionami.

— Znam wiele sekretów, które wiatr unosi ponad gałęziami suchego tamaryszku w czas niepogody i opowieści, które przekazują sobie ludzie z karawan, siedząc przy ogniskach na pustyni.

— A zatem znasz nasz cel? Nasze zamiary?

— Wiem, co sami o sobie głosicie — stąpając po niepewnym gruncie Conan starał się, by jego odpowiedź wypadła wieloznacznie.

— Czy wiesz, co znaczy mój tytuł? — spytał Magus.

— Magus z Synów Yezmu? Główny czarodziej Yezmitów. W Turanie powiadają, że Yezmici byli rasą, która przed katastrofą zamieszkiwała nad brzegami Morza Vilayet i praktykowała dziwne obrzędy, z magią i kanibalizmem włącznie, aż pojawili się Hyrkańczycy i wybili ich doszczętnie.

— Tak powiadają — rzekł z ironicznym uśmiechem Magus. — Ale ich potomkowie nadal żyją w górach Shemu.

— Tak przypuszczałem — powiedział Conan. — Słyszałem opowieści o nich, ale aż dotąd uważałem je za legendy.

— Tak. Cały świat sądzi, że to legendy, ale tak naprawdę od Zarania Dziejów Ogień Yezmu nigdy nie zgasł do końca. Po stuleciach przebywania w ukryciu rozpalano go na nowo. Stowarzyszenie Ukrytych jest najstarszym istniejącym kultem. To z niego powstały kulty Mitry, Ishtar i Asury. Nie uznaje różnic rasowych ani religijnych. W odległej przeszłości jego macki obejmowały cały świat — od Grondar aż po Waluzję. Ludzie wielu ras i krain należeli do Stowarzyszenia Ukrytych. Yezmici stanowili tylko jedną z wielu grup, choć kapłanami kultu mogli być jedynie ludzie ich rasy. Po Katastrofie kult ponownie się odrestaurował. Jego odłamy znajdowały się w Stygii, Acheronie, Koth i Zamorze. Mało kto o nich wiedział, a ich działalność otoczona była ścisłą tajemnicą. Jednak po upływie tysiącleci, grupy te zaczęły popadać w izolację i zapomnienie; każdy z odłamów szedł własną drogą i w miarę upływu czasu, na skutek braku jedności stawały się one coraz słabsze.

W dawnych czasach Ukryci potrafili zachwiać całymi imperiami. Nie władali armiami na polach bitew, ale ich bronią były trucizna, ogień i sztylet o falistym ostrzu. Uderzali zawsze z ukrycia. Mrok był ich sprzymierzeńcem. Ich odziani w szkarłaty wysłannicy śmierci wykonywali wolę Magusa z Synów Yezmu. I ginęli królowie w Luxorze, Pythonie, Kutchemes i Dagonie.

Ja jestem potomkiem tego, który był Magusem z Yezmu w czasach panowania Tuthamona; tego, którego obawiał się cały świat!

W ciemnych oczach pojawiły się fanatyczne iskierki.

— Przez całą moją młodość śniłem o przeszłości, gdy kult, w który byłem wtajemniczony od dzieciństwa, był prawdziwą potęgą. Bogactwo pochodzące z kopalń w moich posiadłościach sprawiło, że marzenia stały się rzeczywistością. Virata z Kosali stał się Magusem z Synów Yezmu — pierwszym, który uzyskał ten tytuł po pięciuset latach.

Wiara Ukrytych jest głęboka niczym morze i jednoczy ludzi przeciwstawnych sekt.

Zbierałem je jedna po drugiej, jak nici i jednoczyłem podzielone odłamy kultu: Zugitów, Jhilitów, Erlikitów, Yezuditów. Moi wysłannicy podróżowali po świecie w poszukiwaniu członków

starożytnego stowarzyszenia i odnajdywali ich — w olbrzymich miastach, pośród nagich gór i w ciszy bezkresnych pustyń. Liczba moich zwolenników stale rosła. Nie tylko udało mi się zjednoczyć stare odłamy kultu, ale jeszcze pozyskałem sobie nowych wyznawców, wyłuskawszy ich spośród najambitniejszych członków wielu ras i sekt. Wszyscy są jednością przed Ogniem Yezmu. Są wśród nich czciciele Gullaha, Seta, Mitry, Derketo, Ishtar i Yun.

Przed dziesięciu laty przybyłem z moimi poddanymi do tego miasta. Były to zwyczajne ruiny, o których nie wiedzieli nawet górale, bo ich przesady i legendy nakazywały im omijać ten rejon. Budynki były stertą gruzów, kanały zasypane kamieniami, ogrody pozarastane chwastami. Odbudowa trwała sześć lat. Prace te pochłonęły większą część mojej fortuny.

Potajemne zdobywanie i przywożenie tu wszystkich potrzebnych materiałów było nader trudnym i niebezpiecznym zadaniem. Przywoziliśmy je z Iranistanu starym szlakiem karawan z południa i rampą po zachodniej stronie płaskowyżu, którą następnie zniszczyłem. Jednak teraz Yanaidar wygląda jak za starych, dobrych czasów jego świetności. Spójrz!

Wstał i zatoczył krąg dłonią. Dwaj czarni zbliżyli się do Magusa, kiedy wolnym krokiem podchodził do niewielkiej alkowy ukrytej za drogim gobelinem. Stali na okratowanym balkonie, wychodzącym na ogród otoczony wysokim na pięć metrów murem. Mur ten był

niemal w całości zasłonięty przez gęsto rosnące, wysokie krzewy. Egzotyczne zapachy unosiły się ponad bezkresnym, kolorowym morzem drzew, krzewów i kwiecia. Błyszczały srebrne fontanny. Conan dostrzegł kobiety spacerujące pośród drzew. Były odziane wyjątkowo skąpo i nosiły wiele drogich ozdób. Były to szczupłe, drobne kobiety — głównie z Vendhyi, Iranistanu i Shemu. Mężczyźni, którzy sprawiali wrażenie, jakby znajdowali się pod wpływem narkotyków, leżeli pod drzewami na jedwabnych poduszkach. Muzyka zawodziła melodyjnie.

— To Rajski Ogród, taki sam jak za dawnych lat — rzekł Virata, zasłaniając otwór i wracając do sali tronowej. — Ci, którzy dobrze mi służą, są karmieni sokiem z purpurowego lotosu. Budząc się w tym ogrodzie, gdzie usługują im najpiękniejsze z kobiet, myślą, iż stwierdzenie, że ci, którzy umrą służąc Magusowi, trafiają od razu do nieba, jest szczerą prawdą.

Kosalczyk uśmiechnął się nieznacznie.

— Pokazałem ci to, bo nie mam zamiaru dać ci posmakować takiego Raju. Nie jesteś głupcem i wiem, że nie dałbyś się tak łatwo nabrać. Dlatego też uznałem, że mogę zdradzić ci ten sekret. Jeżeli Tygrys cię nie zaaprobuje, twoja wiedza umrze razem z tobą. Jeżeli zgodzi się, byś do nas dołączył, dowiesz się tyle, ile wie każdy z żyjących tu Synów Gór.

W moim imperium mógłbyś zająć wysoko. Stanę się równie potężny jak mój przodek.

Przygotowywałem się do tego sześć lat. Teraz mam zamiar przejść do natarcia. Moi wyznawcy już od czterech lat krążą po świecie, uzbrojeni w zatrute sztylety. Dla nich mój rozkaz jest ważniejszy niż życie.

— Do czego dążysz?

— Nie domyślasz się? — odparł niemal szeptem Kosalczyk — a jego oczy rozjaśnił

fanatyczny błysk.

— Każdy by się domyślił — rzekł Conan. — Ale chciałbym to usłyszeć z twoich ust.

— Zamierzam zapanować nad światem! Siedząc tu na tronie w Yanaidar będę kontrolował

losy całego świata! Królowie poszczególnych krain będą jedynie moimi marionetkami. To ja będę pociągał za ich sznurki. Ci, którzy nie zechcą mi się podporządkować, umrą. Niebawem nikt nie ośmieli mi się sprzeciwić. Władza będzie należeć do mnie! Do mnie! Na Yajura!

Czegóż można chcieć więcej?

Conan w milczeniu porównywał przechwałki Magusa o władzy absolutnej z rolą tajemniczego Tygrysa, który miał podjąć decyzję co do dalszych losów Cymeryjczyka.

Autorytet Viraty nie był najwyraźniej niepodważalny.

— Gdzie jest ta dziewczyna, Nanaja? — zapytał. — Twoi Sabateanie uprowadzili ją po zabiciu mojego adiutanta Hattusasa.

Na twarzy Viraty pojawił się przesadny wyraz zaskoczenia.

— Nie wiem, o kim mówisz. Nie przywieźli żadnych jeńców.

Conan był pewien, że tamten kłamie, ale zdawał sobie sprawę, iż kontynuowanie tego tematu jest bezcelowe. Zastanawiał się w duchu, dlaczego Virata udawał, że nie wie o dziewczynie, którą jego ludzie przywiedli do Yanaidar.

Magus skinął na czarnego, który ponownie uderzył w gong. Znowu zjawił się Khaza i pokłonił się nisko.

— Khaza odprowadzi cię do twojej komnaty — rzekł Virata. — Przyniosą ci tam jadło i napitek. Nie jesteś więźniem, więc twojego pokoju nie będą pilnować uzbrojeni strażnicy.

Jednak muszę cię prosić, byś zechciał nie opuszczać swej komnaty bez eskorty. Moi ludzie są podejrzliwi względem obcych i dopóki nie zostaniesz oficjalnie przyjęty...

Pozostawił tę sentencję niedokończoną, ale jej sens był aż nadto jasny.

SZEPCZĄCE MIECZE

Obojętny Stygijczyk poprowadził Conana przez brązowe drzwi pośród rzędów strażników odzianych w lśniące zbroje, a potem wąskim korytarzem odchodzącym od szerokiego hallu.

Wprowadził go do komnaty o kopulastym sklepieniu z kości słoniowej i drzwiach z drewna tekowego. Nie było tu okien. Powietrze i światło wpływały do pomieszczenia przez szczeliny w kopule. Na ścianach wisiały grube, drogie gobeliny. Podłoga wyłożona była miękkimi dywanami.

Khaza skłonił się i wyszedł bez słowa, zamykając za sobą drzwi. Conan usiadł na obitej aksamitem sofie. Była to najdziwniejsza sytuacja w całym jego awanturycznym życiu.

Zamyślił się nad losem Nanai i nad tym, co powinien zrobić dalej.

Z korytarza dobiegł odgłos stóp obutych w sandały. Wszedł Khaza, a za nim olbrzymi Murzyn, niosący na złotych półmiskach jadło i wielki dzban wina. Zanim Khaza zamknął

drzwi, Conan dostrzegł błysk spiczastego hełmu przed alkową po drugiej stronie korytarza.

Virata skłamał, kiedy powiedział, że nie wystawi straży, by go pilnowała — ale Conan i tak to przewidział.

— Wino z Kyros, mój panie, i jadło — powiedział Stygijczyk. — Wkrótce dziewczica piękna jak świt przybędzie do ciebie, panie, aby dotrzymać ci towarzystwa.

— Dobrze — rzekł Conan.

Khaza skinął na niewolnika, aby postawił tacę z posiłkiem. On sam, nim wyszedł, skosztował z każdego talerza i wypił łyk wina z dzbana. Conan, czujny jak osaczony wilk, zauważył, że Stygijczyk wypił wino na końcu, a kiedy wychodził z komnaty, nieznacznie się zataczał.

Kiedy dwaj mężczyźni wyszli, Conan powąchał wino. Z jego bukietem zmieszany był

słaby, ale wyraźny dla czujnych barbarzyńskich nozdrzy, aromat. Rozpoznał go bez trudu — purpurowy lotos z bagien południowej Stygii, który w zależności od dawki powalał

delikwenta na dłużej lub krócej. Kiper musiał w pośpiechu opuścić komnatę, żeby nie paść w progu rażony mocą narkotyku. Conan zastanawiał się, czy Virata nie chciał go czasem przenieść do Rajskiego Ogrodu.

Po krótkim sprawdzeniu doszedł do wniosku, że jedzenie nie zostało niczym nafaszerowane i zaczął pałaszować z apetytem. Kiedy skończył i głodnym wzrokiem patrzył

na tacę, jakby z nadzieją, że znajdzie na niej jeszcze coś, co mógłby wziąć na ząb, drzwi komnaty otworzyły się ponownie. Szczupła, zgrabna postać wślizgnęła się do środka.

Dziewczyna miała na sobie złote napierśniki, pas nabijany drogocennymi kamieniami i przejrzyste jedwabne szarawary.

— Kim jesteś? — spytał Conan.

Dziewczyna cofnęła się, a jej brązowa skóra pobladła.

— Och, panie, nie czyn mi krzywdy! Nic nie zrobiłam! Jej ciemne oczy były przepełnione strachem i podnieceniem.

Mówiła szybko, a jej palce zaciskały się nerwowo.

— A kto ma zamiar cię skrzywdzić? Pytałem, kim jesteś.

— Nazywam się Parusati.

— Jak się tu dostałaś?

— Pewnej nocy, gdy spacerowałam po ogrodzie mego ojca w Ayodhyi, porwali mnie Ukryci. Jakimś tajemnym, zwodniczym sposobem przywiedli mnie do tego miasta demonów, abym była ich niewolnicą i dołączyła do dziewcząt, które wykradli z Vendhyi, Iranistanu i wielu innych krajów.

Ciągnęła dalej:

— Jestem tu od miesiąca. Prawie umarłam ze wstydu! Biczowano mnie! Widziałam, jak wiele innych dziewcząt skonało na torturach. O, cóż to za hańba dla mojego ojca, że jego córka ma się stać niewolnicą czcicieli diabła!

Conan nie powiedział ani słowa, ale czerwony błysk w jego oku był aż nadto wymowny.

Choć cały jego żywot napiętnowany był śmiercią i zniszczeniem, barbarzyńca względem kobiet zachowywał się nad wyraz rycersko. Aż do teraz bawiła go idea przyłączenia się do kultu Viraty. Miał nadzieję, że udałoby mu się przejąć władzę, nawet jeżeli oznaczałoby to, że musiałby zlikwidować tych, którzy znajdowali się na samej górze. Obecnie jego głównym celem stało się zniszczenie tego gniazda węży i wykorzystanie ich fortecy dla jego własnych potrzeb.

Parusati ciągnęła dalej:

— Dziś Mistrz Dziewcząt przybył do naszych komnat, aby wybrać jedną do specjalnego zadania. Chodziło o to, by sprawdzić, czy nie nosisz przy sobie ukrytej broni. Miała cię przeszukać, kiedy będziesz pogrążony w narkotycznym śnie, a potem, kiedy już się obudzisz, sprawdzić, czy jesteś szpiegiem, czy też człkiem wiarygodnym. Wybrał mnie. Byłam przerażona, a gdy zobaczyłam, że nie śpisz, straciłam głowę. Nie zabijaj mnie!

Conan uśmiechnął się. Nie miał zamiaru jej skrzywdzić, ale na razie nie chciał jej tego mówić. Jej strach mógł mu się okazać przydatny.

— Parusati, czy wiesz coś na temat kobiety, którą przywiodła tu wczoraj grupa Sabatean?

— Tak, panie! Sprowadzili ją tu, by dołączyła do naszej grupki. Ale ona jest silna. Kiedy sprowadzili ją do miasta i przekazali hyrkańskiemu strażnikowi, uwolniła się. Wyrwała jednemu z wojowników sztylet i zabiła brata Zahaka. Zahak zażądał jej śmierci i nawet Virata nie jest w stanie mu odmówić.

— A więc to dlatego Magus kłamał o Nanai — mruknął Conan.

— Tak, panie. Nanaja jest teraz w lochu pod pałacem i jutro zostanie wydana Hyrkańczykowi, który podda ją torturom, a potem zabije.

Na twarzy Conana pojawił się złowieszczy grymas.

— Zaprowadź mnie dziś do komnat, w których sypia Zahak — zażądał, a jego zwężone oczy zdradzały mordercze zamiary.

— Nie, on śpi w jednej komnacie ze swymi wojownikami. Wszyscy ci ludzie to doświadczeni szermierze i jest ich zbyt wielu, nawet dla tak potężnego wojownika, jak ty. Ale mogę cię zaprowadzić do Nanai.

— A co ze strażnikiem w korytarzu?

— Nie zobaczy nas i nie powie nikomu, że ktoś prócz nas jest w komnacie, dopóki nie zobaczy mnie wychodzącej.

— A więc? — Conan wstał jak tygrys wychodzący na łowy.

Parusati zawahała się.

— Czy dobrze cię zrozumiałam, panie... nie chcesz przyłączyć się do tych diabłów, tylko zniszczyć ich?...

Conan uśmiechnął się złowieszczo.

— Powiedzmy, że niektóre rzeczy tutaj niezbyt mi przypadły do gustu.

— A czy obiecasz mi, że nie zrobisz mi nic złego i jeżeli ci się uda, to mnie uwolnisz?

— Jeżeli mi się uda. No dobrze, nie traćmy czasu na puste gadanie. Prowadź.

Parusati odsunęła fragment gobelinu i nacisnęła ukrytą sprężynę. Prostokątny kawał muru przesunął się do wewnątrz, odsłaniając wąskie schody wiodące w dół, w ciemność.

— Władcy myślą, że ich niewolnicy nie znają ich tajemnic — mruknęła. — Chodź!

Poprowadziła go po schodach, zamykając za nimi kamienne drzwi. Conan znalazł się w niemal zupełnych ciemnościach, jeżeli nie liczyć drobnych smug światła przenikających przez szpary w murze. Schodzili w dół, dopóki nie znaleźli się głęboko w podziemiach pałacu, a potem skręcili w wąski, prosty tunel ciągnący się od podnóża schodów.

— Kshatriya, który planował ucieczkę z Yanaidar, pokazał mi to tajemne przejście — powiedziała. — Zamierzałam uciec wraz z nim. Ukryliśmy tu broń i żywność. Schwytali go i wzięli na tortury, ale umarł, nie mówiąc im o mnie ani słowa.

Sięgnęła do wąskiej bocznej niszy, wyjęła stamtąd broń i podała ją Conanowi.

W parę chwil potem dotarli do obitych stalą drzwi. Parusati, ostrzegając Conana gestem, pokazała mu wąską szczelinę, przez którą można było zajrzeć do pomieszczeń pałacowych.

Jego oczom ukazał się szeroki korytarz, po którego jednej stronie w wysokim murze widniały pojedyncze hebanowe wrota, mocno zdobione i zaopatrzone w ciężką zasuwę, a po drugiej stronie znajdowały się cele z okratowanymi drzwiami.

Na drugim końcu korytarza, niezbyt daleko od nich znajdowały się kolejne, ciężkie wrota.

Archaiczne, wiszące lampy z brązu spowijały całe pomieszczenie słabym, żółtawym blaskiem.

Przed drzwiami jednej z cel stał Hyrkańczyk w błyszczącej zbroi i hełmie z piórami. Był

uzbrojony w szeroki sejmitar. Palce Parusati zacisnęły się na ramieniu Conana. — Nanaja jest w tej celi — wyszeptała. — Czy poradzisz sobie z Hyrkańczykiem? To wspaniały szermierz.

Conan z ponurym uśmiechem zważył w dłoni vendhyański miecz, który dostał od dziewczyny. Był lekki, ale stal była mocna i prawie niełamiwa. Conan nie miał zamiaru wyjaśniać dziewczynie, że był mistrzem we władaniu zarówno prostymi mieczami zachodu, zakrzywionymi szablami używanymi na wschodzie, jak ilbarskimi sztyletami i niezwykle szerokimi nożami o ostrzach w kształcie liścia, popularnymi w Shemie. Otworzył tajemne drzwi.

Kiedy wszedł w korytarz, dostrzegł twarz Nanai wyglądającej spoza krat za plecami Hyrkańczyka. Rozległo się skrzypienie zawiasów i strażnik odwrócił się jak kot. Jego wargi rozchyliły się w złowieszczym uśmiechu i mężczyzna ruszył do ataku.

Conan wyszedł mu na spotkanie i dwie kobiety stały się świadkami pojedynku, który wzburzyłby krew wielu królów. Jedyne odgłosy, jakie rozlegały się w pomieszczeniu, były ciche, gwałtowne szuranie, tupot stóp, zgrzyt i brzęk stali oraz dyszenie walczących.

Długie, jasne miecze migotały zabójczo w słabym świetle lamp niby żywe istoty — nierozzerwalnie połączone z wojownikami, którzy dzierżyli je w dłoniach.

W pewnej chwili Conan osiągnął nieznaczną przewagę. Hyrkańczyk zacisnął zęby i czując, że przegra

tę walkę, postanowił w ostatnim desperackim ataku zabrać ze sobą do krainy śmierci wojowniczego Cymeryjczyka. Ostrza szczęknęły głośniejszy, miecz Conana zatoczył

szeroki łuk i w przelocie zdawać by się mogło, musnął nieznacznie szyję Hyrkańczyka.

W następnej chwili strażnik osunął się na ziemię z rozplatanym na pół gardłem. Nawet nie zdążył krzyknąć. Był martwy, zanim jeszcze upadł na ziemię.

Conan stał nad nim jeszcze przez parę chwil, a miecz, jaki trzymał w dłoni, ociekał szkarłatem. Jego tunika była rozdarta, a muskularna pierś unosiła się i opadała miarowo.

Tylko drobniutkie kropelki potu na jego szyi i czole świadczyły o wysiłku, jaki musiał włożyć w walkę. Zerwał z pasa trupa pęk kluczy i zgrzyt metalu w zamku musiał wyrwać Nanaję z chwilowego odrętwienia.

— Conanie! Już straciłam nadzieję, a ty jednak przyszedłeś! Cóż to był za pojedynek! Tak chciałam ci pomóc!

Wysoka dziewczyna wyszła ze swej celi i podniosła miecz Hyrkańczyka.

— Co teraz?

— Przed zmierzchem nie mamy szans się stąd wydostać — stwierdził Conan. — Nanajo, ile czasu upłynie do przybycia zmiennika tego zabitego strażnika?

— Zmieniają się co cztery godziny. Ten dopiero co rozpoczął służbę.

Conan zwrócił się do Parusati.

— Która może być teraz godzina? Od świtu nie widziałem słońca.

— Jest późne popołudnie. Za cztery godziny zacznie zmierzchać.

Conan zdał sobie sprawę, że przebywał w Yanaidar dłużej, niż się tego spodziewał.

— Kiedy się tylko ściemni, spróbujemy się stąd wydostać. Teraz wrócimy do mojej komnaty. Nanaja ukryje się na tajemnych schodach, podczas gdy Parusati opuści mój pokój i wróci do komnat dziewcząt.

— Ale kiedy przyjdzie zmiennik tego strażnika — powiedziała Nanaja — zorientuje się, że uciekłam. Powinieneś mnie tu zostawić, dopóki nie nadejdzie pora ucieczki, Conanie.

— Wolę nie ryzykować. Potem mógłbym nie mieć dogodnej okazji, aby cię stąd wyciągnąć. Kiedy zorientują się, że uciekłeś, powinien się zrobić niezły bałagan. To nam pomoże. Teraz musimy ukryć gdzieś to ciało.

Ruszył w stronę wspaniale zdobionych drzwi, ale Parusati szepnęła: — Nie, panie, nie idź tam! Czy chcesz otworzyć wrota Piekieł?

— Co chcesz przez to powiedzieć? Co znajduje się za tymi drzwiami?

— Nie wiem. Widziałam tylko, jak wynoszono przez nie ciała zabitych i ludzi, których poddawano torturom, a którzy wciąż jeszcze żyli. Nie wiem, co działo się z nimi później, ale słyszałam ich krzyki. Były potworne. Krzyczeli bardziej niż wtedy, gdy kat brał ich na tortury. Dziewczeta mówią, że za tymi drzwiami znajduje się kryjówka demona-ludojada.

— To możliwe — powiedziała Nanaja. — Ale przed paroma godzinami niewolnik wyrzucił przez te drzwi coś, co nie było ani mężczyzną, ani kobietą. Nie wiem, co to było.

Nie widziałam tego zbyt dobrze.

— Zapewne było to niemowlę — powiedziała Parusati wzruszając ramionami.

— Powiem ci coś — powiedział Conan. — Przebierzemy ciało strażnika w twoje rzeczy i położymy je w celi, odwracając je plecami do krat. Jesteś wysoką dziewczyną i twoje fatałaszkę powinny na niego pasować. Może zmiennik da się nabrać na ten fortel. Mam nadzieję, że zacznie szukać nie ciebie, a strażnika, którego przyjdzie zmienić. Im więcej czasu upłynie nim zorientują się, że uciekłaś, tym lepiej dla nas.

Nanaja bez wahania pozbyła się kurtki, zdjęła przez głowę bluzę i zsunęła spodnie.

Tymczasem Conan pozbawił odzienia Hyrkańczyka. Parusati, wyraźnie zaszokowana, jęczała głośno.

— Co się z tobą dzieje, nigdy nie widziałas gołego człowieka? — spytał sarkastycznie Conan. — Pomóż mi z tym.

W parę minut potem Nanaja miała już na sobie cały strój Hyrkańczyka prócz hełmu i kolczugi. Dotknęła instynktownie plamy krwi na górnej części bluzy z rękawami, podczas gdy Conan wciągał do celi przebranego w jej strój strażnika. Odwrócił mężczyzną twarzą do ściany, by nie było widać jego wąsów i gęstej brody, a potem podciągnął wysoko bluzę Nanai, aby zakryć szeroką ranę na szyi Hyrkańczyka. Następnie wyszedł z celi, zamknął

drzwi na klucz i podał pęk kluczy Nanai.

— Na krew na podłodze nic nie poradzimy. Nie mam jeszcze konkretnego planu ucieczki z miasta. Jeżeli mi się nie powiedzie, zabiję Viratę, a reszta będzie w rękach Croma. Jeżeli wam dwóm się uda, a mnie nie, spróbujcie wrócić na szlak i spotkać się z Kushafijczykami, którzy niebawem tam się zjawią. O świcie wysłałem Tubala i, jak sądzę, o zmierzchu powinien do nich dotrzeć. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, jutro o świcie zjawią się tu w wąwozie u stóp płaskowyżu.

Wrócili do tajemnych drzwi, które po zamknięciu wyglądały jak część zwykłej, kamiennej ściany. Pokonali tunel i weszli po schodach na górę.

— Musisz się tu ukryć, aż nadejdzie właściwy czas — powiedział Conan, zwracając się do Nanai.
— Zatrzymaj miecze, na razie i tak mi się nie przydadzą. Jeżeli coś mi się stanie, otwórz sekretne drzwi i spróbuj wydostać się do miasta. Jeżeli to możliwe, zabierz ze sobą Parusati.

— Jak sobie życzysz, Conanie — Nanaja usiadła ze skrzyżowanymi nogami na najwyższym stopniu schodów.

Kiedy Conan i Parusati wrócili do komnaty, Conan powiedział: — A teraz odejść. — Jeżeli zostaniesz tu zbyt długo, mogą zacząć coś podejrzewać.

Wymyśl jakiś sposób, aby wrócić tu do mnie, jak się tylko ściemni. Co do mnie, myślę, że zostanę tu aż do powrotu tego typu, Tygrysa. Kiedy zjawisz się tu ponownie, powiedz strażnikowi, że przysłał cię Magus. Mam zamiar złożyć mu wizytę tuż przed naszą ucieczką z pałacu. A, powiedz im jeszcze, że widziałas, jak piłem to zaprawione narkotykiem wino i że przeszukawszy moje rzeczy, upewniłaś się, że nie mam przy sobie żadnej broni.

— Tak, panie! Wrócę tu po zmierzchu. — Dziewczyna cała się trzęsła, opuszczając komnatę. Była zarazem przerażona i podniecona.

Conan podniósł do ust dzban wina i umoczył w nim wargi, by pozostawić na nich wyraźny, charakterystyczny zapach. Potem wylał resztę zawartości dzbana w kąt, za gobelinami i rzucił się na sofę, udając, że zaczyna morzyć go sen.

Niedługo potem drzwi otworzyły się ponownie i do komnaty weszła dziewczyna. Conan nie otworzył oczu, ale po odgłosach, jakie czyniła i zapachu jej perfum wiedział, że nie była to Parusati. Widać Magus nie ufał zbyt kobiecym osądom. Conan nie przypuszczał, że przysłano ją tutaj, aby go zabić — do tego celu wystarczyłaby porcyjka trucizny w winie — dlatego też nie ryzykował przypatrzenia się jej przez półprzymknięte powieki.

Dziewczyna była przerażona. Słyszał wyraźnie jej przyspieszony, zdyszany oddech.

Przyłożyła nozdrza do jego ust, aby sprawdzić, czy jego oddech jest przesycony charakterystyczną wonią chrzczonego wywarem z lotosu wina, a potem sprawnie i szybko przetrząsnęła jego ubranie. Jej dłonie zwinnie przesuwwały się po jego ciele w poszukiwaniu ukrytej broni. Kiedy skończyła, westchnęła z ulgą i wyszła z komnaty.

Conan rozluźnił się. Minie wiele godzin, zanim będzie mógł przejść do działania, toteż uznał, że równie dobrze może tymczasem uciąć sobie krótką drzemkę. Życie, zarówno jego samego, jak i dwóch dziewcząt zależało od tego, czy uda mu się wymyślić jakiś sposób na wymknięcie się z pałacu.

Oczekując nadejścia zmierzchu, usnął i spał tak smacznie, jakby znajdował się w domu swego serdecznego przyjaciela.

MASKA SPADA

Conan obudził się, kiedy dłoń dotknęła drzwi do jego pokoju. Kiedy Khaza z łukiem wszedł do środka, Cymeryjczyk był już na nogach.

— Magus z Synów Yezmu prosi, byś przybył, panie — rzekł Stygijczyk. — Tygrys powrócił.

A więc Tygrys wrócił wcześniej, niż Magus oczekiwał! Wychodząc z komnaty za Stygijczykiem, Conan czuł ogarniające go zdenerwowanie. Khaza nie prowadził go do komnaty, w której spotkał się z Magusem po raz pierwszy. Poprzez długie, kręte korytarze dotarł do złoconych drzwi, przed którymi stał hyrkański wojownik. Człowiek ów otworzył i najpierw Khaza, a potem Conan weszli do komnaty. Drzwi zamknęły się za nimi. Conan zatrzymał się.

Znajdował się w olbrzymiej komnacie, w której nie było okien, a za to aż kilkanaście par drzwi. Po drugiej stronie, na sofie, za którą stali rzędem czarni niewolnicy, leżał Magus. Obok niego stało dwunastu uzbrojonych mężów różnych ras: Zuagirowie, Hyrkańczycy, Iranistańczycy, Shemici, a nawet złowieszco wyglądający Kothijczyk. Ten ostatni był

pierwszym Hyboryjczykiem, którego Conan zobaczył w Yanaidar.

Cymeryjczyk jednak poświęcił tym ludziom tylko krótkie, zdawkowe spojrzenie. Jego uwaga spoczywała na postaci, która była dominującą osobą w tym pomieszczeniu. Człowiek ten stał na lekko rozstawionych nogach pomiędzy nim a sofą Magusa, w pozycji typowej dla ludzi spędzających wiele czasu na końskim grzbiecie. Dorównywał Conanowi wzrostem, choć nie był tak masywny jak on. Miał olbrzymie bary, mięśnie mocne jak stal i ciało twarde niczym kości wieloryba. Krótka, czarna broda zakrywała jego wystającą szczękę, a spod futrzanej czapki zerkały złowieszco przenikliwe, zimne, szare oczy. Obcisłe bryczesy podkreślały jego szczupłą sylwetkę. Jedną ręką gładził wysadzaną klejnotami rękojeść szabli, a drugą swój cienki, równo przystrzyżony wąsik.

Conan wiedział, że gra dobiegła końca. Był to Olgierd Władysław, awanturnik znad Zaporoski, który znał Conana zbyt dobrze, aby dać się oszukać. Na pewno nie zapomniał, jak Conan odebrał mu przywództwo nad oddziałem Zuagirów przed trzema laty, a potem, niejako na pożegnanie, złamał mu jeszcze rękę.

— Ten człowiek pragnie się do nas przyłączyć — rzekł Virata.

Mężczyzna, którego zwali Tygrysem, uśmiechnął się nieznacznie.

— Bezpieczniej byłoby dla was położyć się do łóżka z lampartem. Znam Conana od dawna. Znajdzie się pośród was, a potem namówi waszych ludzi przeciwko wam i uderzy, kiedy nikt z was nie będzie się tego spodziewał.

We wzroku mężczyzn spoglądających na Conana czaiła się żądza mordy. Słowa Tygrysa wystarczyły w zupełności, aby ich przekonać.

Conan wybuchnął śmiechem. Spróbował podstępu, ale jego fortel zawiódł. Gra dobiegła końca. Teraz mógł już bez żalu zrzucić maskę i na powrót stać się bezlitosnym, opętanym bojowym szałem barbarzyńcą gotowym rzucić się w wir walki.

Magus stwierdził z rezygnacją:

— W tej kwestii wybór pozostawiam tobie, Tygrysie. Zrób z nim, co zechcesz; nie jest uzbrojony.

W obliczu bezradności ofiary na twarzach wojowników pojawił się grymas wilczego okrucieństwa. Sięgnęli po sztylety. Olgierd powiedział: — Twój koniec będzie interesujący. Zobaczymy, czy nadal jesteś takim samym stoikiem, jak wtedy, gdy wisiałeś na krzyżu, w Khauranie. Zwiążcie go...

Mówiąc te słowa, Zaporoskanin leniwym ruchem sięgnął po szablę. Zdawać by się mogło, że zapomniał, jak niebezpieczny może być ciemnowłosy Cymeryjczyk i jak potworną szybkość są w stanie wykrzesać jego stalowe mięśnie. Zanim Olgierd zdołał dobyć miecza, Conan skoczył i uderzył, jak atakująca pantera. Cios jego zaciśniętej, mocnej pięści był

niczym uderzenie kowalskiego młota. Olgierd upadł i strumień krwi trysnął mu z ust.

Jednak nim Conan zdążył sięgnąć po miecz Zaporoskanina, zjawił się tuż przy nim zwinny Kothijczyk. Tylko on zdawał sobie sprawę z szybkości i dzikości Conana, ale mimo to nie był

w stanie uratować Olgierda. Jego atak powstrzymał Conana przed zdobyciem szabli i zmusił

go do kontrataku. W dłoni Kothijczyka tkwił długi ilbarski sztylet. Conan schwycił

nadgarstek dłoni uzbrojonej w nóż, a kiedy zaczęła opadać, zablokował cios i naprężył z całej siły wszystkie mięśnie. Jednocześnie prawą ręką wyrwał nóż z dłoni Kothijczyka i niemal tym samym ruchem wbił mu go pod żebra. Kothijczyk jęknął przeciągle i osunął się na ziemię umierając; gdy padał, Conan gwałtownym szarpnięciem wyrwał nóż z jego ciała.

Wszystko to stało się błyskawicznie. Zanim pozostali wojownicy zgromadzeni w komnacie zdążyli się zorientować, Olgierd leżał już na podłodze, a Kothijczyk brocząc krwią, umierał u jego boku. Kiedy zareagowali, mieli przeciwko sobie długi niemal na metr ilbarski sztylet, trzymany pewną dłonią jednego z najlepszych wojowników Ery Hyboryjskiej. Conan ruszył

im na spotkanie. Wykonał gwałtowny obrót, nóż w jego dłoni błysnął złowieszczo i Zuagir upadł na ziemię, dławiąc się własną krwią z rozplątanych tętnic. W chwilę potem rozległ się przeraźliwy krzyk Hyrkańczyka, któremu okrutne ostrze ilbarskiego sztyletu wypruło wnętrzności. Stygijczyk nie zdołał się uchylić przed ciosem i zakończył walkę zaciskając palce lewej dłoni na bryzgającym krwią kikucie prawego nadgarstka.

Tym razem Conan nie wycofał się do ściany. Runął jak burza na gromadę przeciwników, zadając mordercze razy swoim ociekającym krwią nożem. Tamci otoczyli go zwartym kordonem. Znalazł się w samym centrum burzy błyszczącej stali; ostrza mieczy unosiły się i opadały, tnąc bezlitośnie powietrze, ale żadne z nich go nie dosięgło. Nie zatrzymywał się ani na chwilę; przemieszczał się tak szybko, że nie sposób było śledzić wzrokiem jego ruchy.

Przewaga liczebna przeciwników Conana była jednocześnie ich słabą stroną. Ciosy chybiały celu, wojownicy ranili się i przeszkadzali sobie nawzajem, dając Cymeryjczykowi swobodę ruchów, a jednocześnie byli częściowo zdezorientowani wilczą wściekłością jego ataku.

Na tak krótki dystans długi nóż był bardziej efektywną bronią aniżeli sejmity i talwary.

Conan był mistrzem w tego typu walce. Nie marnował ani jednego ciosu. Uderzając od góry, rozłupywał czaszki, tnąc od dołu ku górze, wypruwał wnętrzności.

Była to istna jatka, ale Conan nie popełnił jednego fałszywego ruchu. Brnął poprzez ludzką cizbę niczym tajfun, wywijając metrowym ostrzem i pozostawiając za sobą czerwoną strugę.

Walka nie trwała długo. Ci, którzy pozostali przy życiu, wycofali się oszołomieni i przybici tym, co się staro przed chwilą. Conan odwrócił się na pięcie i odnalazł wzrokiem Magusa, stojącego przy przeciwległej ścianie pomiędzy obojętnymi Kuszytami. Sprężył się już do skoku, kiedy głośny okrzyk za jego plecami sprawił, że odwrócił się w tamtą stronę.

W drzwiach prowadzących na korytarz pojawiła się grupa Hyrkańczyków uzbrojonych w łuki. Ze strzałami na cięciwach oczekiwali rozkazu, podczas gdy wojownicy pospiesznie opuszczali komnatę.

Wahanie Conana nie trwało dłużej niż mgnienie oka, podczas gdy łucznicy zgodnym ruchem naciągali cięciwy swoich łuków. W tym błysku świadomości rozważył, czy miałby szansę dopaść Magusa i zabić go, zanim łucznicy naszpikują go strzałami. Uprzytomnił sobie, że nim zdołałby pokonać połowę dystansu, miałby już w plecach z pół tuzina strzał —używając potężnego hyrkańskiego łuku można było zabić człowieka z odległości pięciuset kroków. Strzała była wypuszczana z siłą zdolną przebić jego lekką kolczugę, a sam impet uderzenia z pewnością zwałiby go z nóg.

Kiedy dowódca oddziału łuczników otworzył usta, aby wydać rozkaz „strzelać”, Conan rzucił się na ziemię. Strzały przeszły powietrze tuż ponad jego plecami, krzyżując się w locie z przeciągłym, przejmującym świstem.

Podczas gdy łucznicy sięgnęli do swoich kołczanów po kolejne strzały, Conan, pomagając sobie dłońmi, w których wciąż dzierżył nóż i sztylet, odbił się od ziemi i ponownie znalazł się na nogach. Zanim Hyrkańczycy zdołali ponownie zasypać go gradem strzał, był już pomiędzy nimi. Przedzierał się pośród nich, a jego broń siała wokół śmierć i zniszczenie. Parł naprzód, pozostawiając za sobą szlak z wijących się na ziemi, skręconych konwulsyjnie ciał. Kiedy przebił się przez kordon łuczników i wy dostał się na korytarz, zaczął biec co sił w nogach.

Przebiegał przez komnaty i zatrząskiwał za sobą drzwi, podczas gdy w pałacu z każdą chwilą narastało wrzenie. W pewnej chwili znalazł się w wąskim korytarzu, który kończył się ślepą uliczką w postaci okratowanego okna.

Himelijski góral wybiegł z jednej z komnat, unosząc do ciosu pikę. Conan rzucił się na niego jak burza. Zaskoczony widokiem okrwawionego przybysza, Himelijczyk uderzył na oślep swoją bronią, chybił, zamachnął się ponownie i krzyknął, gdy Conan, opętany bitewnym szałem, zadał mordercze

cięcie. Odrąbana głowa górala w bryzgach krwi ze stukiem spadła na podłogę.

Conan rzucił się do okna, zadał kilka ciosów nożem w kraty, po czym schwycił je oburącz i zaparł się mocno nogami. Wykorzystując całą swoją siłę szarpnął gwałtownie. Dał się słyszeć głośny trzask i krata pozostała mu w rękach. Znalazł się na osłoniętym drewnianą kratownicą tarasie, pod którym rozciągał się wspaniały ogród. Grupa wojowników była już w korytarzu. Strzała świsnęła Conanowi koło ucha. Skoczył na łeb na szyję, wyciągając przed siebie rękę z nożem i przebiwszy okratowanie tarasu, miękko jak kot wylądował w ogrodzie poniżej.

Ogród był pusty, nie licząc kilku skąpo odzianych kobiet, które rozbiegły się z krzykiem.

Conan podbiegł ku przeciwległej ścianie lawirując pomiędzy niskimi drzewami, aby uniknąć gradu strzał, którymi zasypywali go jego prześladowcy. Obejrzał się za siebie i w oknie, z którego przed chwilą wyskoczył, zobaczył dziesiątki rozwścieczonych twarzy i rąk wymachujących bronią. Okrzyk, jaki rozległ się w chwilę później ostrzegł go przed kolejnym niebezpieczeństwem.

Po murze pędził wojownik wymachujący ciężkim talwarem. Potężny, ciemnoskóry Vendhyanin doskonale oszacował punkt, w którym uciekinier powinien dotrzeć do muru, ale sam dotarł na miejsce o parę sekund za późno. Ściana była mniej więcej wysokości człowieka. Conan jedną ręką chwycił się zwieńczenia muru, a potem błyskawicznym skrzętem ciała wskoczył na szczyt niemal nie zwalniając pędu. W sekundę później, stojąc już na równych nogach na szczycie muru, zbił uderzenie talwara i kontrując uderzenie, wbił ostrze swojego noża w opasły kałdun Vendhyanina.

Mężczyzna zawył jak raniony wół i objąwszy swego zabójcę śmiertelnym uściskiem zepchnął go z muru. Lonan zdołał tylko dostrzec rozpadlinę, jaka rozciągała się w dole poniżej linii niskich murów. Uderzyli z impetem w zbocze wąskiego parowu i spadli pięć metrów poniżej, by roztrzaskać się na dnie wąwozu. Jeszcze w locie Conan gwałtownie skręcił całe ciało tak, że Vendhyanin w momencie uderzenia o ziemię znalazł się pod nim i jego opasłe, bezwładne cielsko złagodziło impet upadku. Mimo to przez dłuższą chwilę po znalezieniu się na ziemi Conan nie mógł dojść do siebie.

UPIÓR Z WĄWOZÓW

Conan chwiejnie podniósł się z ziemi. Był bezbronny. Kiedy rozejrzał się wokoło, zobaczył nad murem rząd głów w turbanach i hełmach. W chwilę potem zauważył łuki. Na ich napiętych cięciwach wyczekiwały chyże strzały.

Jeden rzut oka wystarczył, by Conan upewnił się, że na odległość skoku nie ma dlań dogodnej kryjówki. Miał tylko jedną szansę. Łucznicy musieli strzelać pod kątem i istniało spore prawdopodobieństwo, że jeżeli Cymeryjczyk ponownie rzuci się płasko na ziemię, uda mu się uniknąć zmierzającego w jego stronę gradu strzał.

Kiedy brzęknęła pierwsza cięciwa i strzała świsnęła obok niego, by złamać się z trzaskiem na pobliskich kamieniach, Conan rzucił się na ziemię i znalazł się tuż obok ciała zabitego przez siebie Vendhyanina. Wbił rękę pod ciało i przetoczył na siebie wciąż jeszcze ciepły zezwłok. Kiedy tylko to się stało, na ciało trupa posypał się istny grad strzał. Conan leżąc pod spodem czuł impet uderzeń i miał wrażenie, jakby ktoś miażdżył ciało martwego wojownika młotami kowalskimi. Jednak kolczuga Vendhyanina okazała się mocna. Żadna ze strzał nie przebiła zwłok na wylot i nie dosięgła Conana.

— Na Croma! — ryknął, kiedy strzała rozcięła jego łydkę.

Kiedy Yezmici zdali sobie sprawę, że ich wysiłki spełzły na niczym, zaprzestali ostrzału.

Conan schwycił mocno owłosione nadgarstki trupa, przetoczył się na bok tak, że zwłoki upadły z głuchym trzaskiem na kamienie obok niego, poderwał się z ziemi i jednym płynnym ruchem zarzucił sobie ciało na ramiona. Teraz, kiedy oddalał się od ściany, trup nadal stanowił dlań doskonałą osłonę. Jego mięśnie drżały z wysiłku — Vendhyanin ważył więcej od niego.

Oddalił się od niskiego muru i ruszył w stronę wąwozu. Yezmici podnieśli krzyk, kiedy zobaczyli, że ich ofiara ucieka i ponownie posłali w jego stronę grad strzał. Większość z nich, z potworną siłą wbijała się w ciało Vendhyanina.

Conan wśliznął się za pierwszy załom skalny i zrzucił trupa z ramion. Twarz i przód ciała Vendhyanina przeszywał blisko tuzin strzał.

— Gdybym miał łuk, pokazałbym tym psom, jak się strzela — mruknął gniewnie Conan.

Wyjrzał spoza załomu skalnego.

Na murze roilo się od głów, ale łucznicy wypełnili już swoje zadanie. Miast nich Conan dostrzegł pośrodku rzędu głów charakterystyczną futrzaną czapkę Olgierda Władysława.

Olgierd krzyknął:

— Myślisz, że udało ci się uciec? Ha, ha! Myśl tak dalej! Jeszcze będziesz żałował, że nie zostałeś w Yanaidar z moimi oprawcami. Żegnaj, nieboszczyku!

Skinąwszy na swoich towarzyszy, Olgierd zniknął. Pozostałe głowy również zniknęły z muru. Conan został sam, z trupem leżącym u jego stóp.

Zasepił się i rozejrzał podejrzliwie wokoło. Wiedział, że południowy kraniec płaskowyzu był pocięty całą siatką wąwozów. Widocznie znajdował się w jednym z parowów, który biegnąc od południa, sięgał linii pałacowych murów. Był to prosty parów, jakby wycięty nożem olbrzyma, szeroki na dziesięć kroków. Rozpoczynając się labiryntem pomniejszych rozpadlin, kończył się pionowym, kamiennym klifem poniżej ściany ogrodu, z której stoczył

się Cymeryjczyk. Skała miała pięć metrów wysokości i była zbyt gładka, aby w tej postaci mogła być wyłącznie dziełem natury.

Boczne ściany na końcu wąwozu również były gładkie. Widać było, że obrabiano je starannie przy pomocy narzędzi. Wzdłuż brzegów skalnej ściany znajdowały się skierowane ku dołowi długie, spiczaste, stalowe ostrza. Spadając z muru nie zahaczył o żadne z nich.

Jednak każdy, kto próbowałby wspiąć się po skale na mur, zostałby przez owe ostrza rozdarty na strzępy— Wnętrze rozpadliny, w miarę oddalania się od miasta, obniżało swój poziom, a więc wysokość ścian otaczających Conana wzrosła do sześciu metrów. Conan znajdował się w więzieniu — po części stworzonym przez naturę, po części zaś przez człowieka.

Spoglądając w głąb wąwozu zauważył, że zmieniał się on w sieć coraz mniejszych rozpadlin, poprzedzielanych wielkimi bryłami głazów, nad którymi wznosiły się potężne masywy górskiego łańcucha. Drugi koniec wąwozu nie był zablokowany, ale Cymeryjczyk zdawał sobie sprawę, że jego prześladowcy nie obstawiliby tak silnie jednego krańca jego więzienia, pozostawiając mu całkiem niestrzeżoną drogę ucieczki. Mimo to barbarzyńca nie zamierzał zrezygnować, niezależnie od tego, jaki los chcieli mu zgotować jego przeciwnicy.

Najwyraźniej przypuszczali, że Conan znalazł się w pułapce bez wyjścia, ale inni wcześniej również byli o tym święcie przekonani.

Wyciągnął nóż z trupa Vendhyanina, otarł go z krwi i wszedł do wąwozu.

Sto metrów od murów miasta dotarł do wylotów kilku mniejszych parowów. Wybrał na chybił trafił jeden z nich i od razu znalazł się w labiryncie jakby żywcem wyjętym z jakiegoś nocnego koszmaru. Rozpadliny w skomplikowany sposób wiły się pośród potrzaskanych, olbrzymich głazów. Biegły zasadniczo z północy na południe, ale po drodze płątały się i krzyżowały między sobą tworząc chaotyczną mozaikę przejść i ślepych zaułków. W końcu Conan zawsze trafiał w ślepą uliczkę. Jeżeli decydował się pokonać którąś z odnóg, wspinając się na skalną ścianę, trafiał zwykle do jeszcze bardziej skomplikowanego układu przejść wewnątrz parowu.

Kiedy zsunął się w dół jednego ze zboczy, natrafił piętą na coś, co pękło z głuchym trzaskiem. Jego oczom ukazały się wysuszone kości bezgłowego szkieletu. Parę metrów dalej leżała rozłupana na

kawałki czaszka. Od tej pory napotykał tego typu ponure znaleziska coraz częściej i wcale nie był tym zachwycony. Każdy z zauważonych przez niego szkieletów miał

potrzaskane i powyłamywane kości. Czaszki były rozłupane. Uszkodzeń tych nie mogła dokonać natura.

Conan szedł dalej, spięty i czujny, przyglądając się bacznie każdej mijanej skale, spowitej mrokiem niszy. W pewnym momencie poczuł słabą woń gnijących odpadków, a kiedy rozejrzał się wokoło, dostrzegł leżące pod skalną ścianą fragmenty skorupy melona, rzepy i kawałki cebuli. Na jednym z niewielu spłachetków piasku, pokrywających duże rozpadliny, zauważył częściowo zatarty ślad. Nie był to trop lamparta, niedźwiedzia czy tygrysa, których mógł się spodziewać w tej krainie. Bardziej przypominał odcisk zniekształconej, nagiej, ludzkiej stopy.

Dalej natknął się na wystający fragment skały, do której przylgnęło kilka pasemek długich, szarych włosów. Być może jakaś istota ocierała się tu o kamienie. Tu i ówdzie nozdrza Cymeryjczyka wychwytywały zmieszany z wonią gnijących odpadków nieprzyjemny odór, którego Conan nie był w stanie zdefiniować. Czuć go było głównie w przypominających jaskinie niszach skalnych, gdzie zwierzę, człowiek lub demon mogły układać się na spoczynek.

Conan, który stracił już nieco orientację w tym szalonym, kamiennym labiryncie, wdrapał

się na zwietrzałą skałę, która wydawała mu się nieco wyższa od pozostałych. Przycupnąwszy na jej wierzchołku, rozejrzał się uważnie dookoła. Z wyjątkiem strony północnej miał

ograniczone pole widzenia, ale i tak dostrzegł, że skały od wschodu, zachodu i południa tworzyły nieprzenikniony mur otaczający z trzech stron labirynt wąwozów. Na północy skalną ścianę rozcinał parów, który kończył się wewnątrz pałacowego ogrodu.

Teraz wiedział już, skąd się wziął ów niezwykły labirynt. Część płaskowyżu pomiędzy miastem a łańcuchem gór zapadła się, pozostawiając wielką, nieckowatą depresję, której powierzchnia na skutek erozji została w miarę upływu czasu pocięta głębokimi liniami wąwozów.

Dalsza wędrówka po wąwozach nie miała sensu. Problem Conana polegał na tym, w jaki sposób ma dotrzeć do skalnych ścian, górujących nad niecką i wspiąć się na nie albo znaleźć jakieś przejście, wyrzeźbione w skałach przez lata erozji. Patrząc na południe, doszedł do wniosku, że biegnąca tamtędy odnoga wąwozu ma nieco łatwiejszy do zapamiętania zarys i prowadzi niemal bezpośrednio do podstawy skał górujących nad powierzchnią niecki.

Zrozumiał również, że powinien wrócić w stronę parowu biegnącego pod murem miasta, a następnie podążać jedną z jego odnóg, zamiast pokonywać łańcuch gór poszarpanych niby ostrza noży, dzielących go od skały, do której chciał dotrzeć. Zaoszczędzi przy tym sporo czasu. Zsunął się więc po zboczu i zawrócił w stronę miasta. Kiedy dotarł do wylotu wąwozu, który, jak przypuszczał, powinien doprowadzić go do celu, słońce zaczęło już znikać za horyzontem. Spojrzał leniwie w stronę łańcucha gór na drugim końcu szerszego parowu i znieruchomiał.

Ciało Vendhyanina zniknęło, choć jego talwar nadal leżał na kamieniach u stóp muru.

Opodal leżało kilka strzał, jakby wypadły z ciała, kiedy je przenoszono. Oko Conana przykuł

słaby błysk. Podbiegł w to miejsce i zobaczył, że pośród kamieni leżało kilka srebrnych monet. Pozbierał je i przyjrzał się im z uwagą. Potem obejrzał je raz jeszcze, mrużąc powieki.

W pierwszej chwili myślał, że po prostu Yezmici weszli jakimś tajnym przejściem do wąwozu i zabrali ciało. Gdyby jednak tak było, to zabraliby też wszystkie nieuszkodzone strzały i z całą pewnością nie zostawiliby na ziemi monet.

Z drugiej jednak strony, jeżeli nie zrobili tego ludzie z Yanaidar, to kto? Conan pomyślał o potrzaskanych szkieletach i przypomniało mu się stwierdzenie Parusati o wrotach do Piekła.

Miał powody przypuszczać, że w tym wąwozie zamieszkiwało coś, co było wrogiem człowiekowi. A jeżeli te potężne, ozdobne wrota prowadziły właśnie tutaj, do wnętrza tego wąwozu?

Po dłuższych poszukiwaniach przypuszczenia te okazały się słuszne. Jego czujne oczy wypatrzyły drzwi w skale. Wąskie szczeliny, niewidoczne, jeżeli nie wiedziało się, gdzie ich szukać, w pierwszej chwili umknęły jego uwadze. Conan z całych sił rąbnął w nie ramieniem, ale nie puściły. Przypomnił sobie potężne stalowe okucia po drugiej stronie i olbrzymią prostokątną zasuwę. Aby nadwerężyć te wrota trzeba by tarana. Budowa drzwi i stalowe ostrza wmurowane w brzeg skalnej ściany świadczyły, że Yezmici starali się podjąć wszelkie możliwe środki ostrożności, aby nie dopuścić upiora z wąwozów do miasta. Z drugiej jednak strony Conan uspokajał się myślą, iż musiał mieć do czynienia z istotą z krwi i kości, a nie demonem, dla którego stalowe ostrza czy wzmocnione wrota nie stanowiłyby żadnej przeszkody.

Spojrzał w głąb wąwozu, w stronę tajemniczego labiryntu, zastanawiając się, jaką koszmarną istotę skrywa owa gmatwanina skalnych przejść i parowów. Słońce jeszcze nie zaszło, ale czerwona kula znajdowała się już poza łańcuchem gór. Choć widoczność była jeszcze dobra, w wąwozie zaczęły się kłaść pierwsze cienie.

Nagle Conan zdał sobie sprawę z obecności jakiegoś obcego dźwięku. Był to odgłos bębnow, powolne bum, bum, bum, jakby jakiś niewidzialny dobosz wybijał żołnierzom takt do marszu. W dźwiękach tych było coś dziwnego. Były jakby nieco stłumione i niewyraźne.

Conan znał odgłosy wytwarzane przez zrobione z kłód drewna bębny Kuszytów, miedziane kotły Hyrkańczyków i wojskowe werble Hyboryjczyków, ale nigdy dotąd nie słyszał czegoś takiego. Spojrzał w stronę Yanaidar, ale miał wrażenie, że dźwięki nie dochodzą z miasta, ale jednocześnie zewsząd i znikąd — równie dobrze mogły dobywać się spod ziemi.

Raptem odgłos bębnow ucichł.

Kiedy Conan ponownie wszedł do labiryntu, magiczny zmierzch rozpostarł swe skrzydła nad wąwozami. Lawirując pośród krętych tuneli, dotarł do nieco szerszej rozpadliny, która, jak przypuszczał, powinna go doprowadzić do ściany otaczającej skalną nieckę od południa.

Jednak nim przebiegł pięćdziesiąt metrów, okazało się, że parów rozdziela się na dwie węższe, biegnące w przeciwnych kierunkach rozpadliny. Ze szczytu skały nie był w stanie tego dostrzec, a teraz nie wiedział, którą odnogę powinien wybrać.

Kiedy tak stał nękany wahaniem, zastanawiając się, co ma począć dalej, nagle zeszywniał.

W prawej z odnóg, w oddali gdzie światło i cień igrały społem na powierzchniach skał, znajdował się wąski przesmyk. Coś się w nim poruszało. Conan znieruchomiał, dostrzegłszy potworną człekokształtną istotę, spowitą gasnącym blaskiem zmierzchu.

Było to upiorne wcielenie prastarej legendy: olbrzymia małpa wielkości goryła.

Przypominała monstrualne małpoludy, żyjące w górach wokół Morza Vilayet, z którymi Conan spotykał się i walczył przed laty. Ta jednak była od nich większa. Miała dłuższą i gęstsza sierść niczym zwierzę arktyczne i była od nich jaśniejsza. Jej futro było szare jak popiół — prawie białe.

Stopy i dłonie bardziej przypominały kończyny człowieka niż goryła, podobnie paluchy i kciuki — były bardziej ludzkie niż istoty człekokształtnej. Nie był to stwór żyjący na drzewach, ale mieszkaniec wielkich równin i łańcuchów górskich. Twarz ogólnie rzecz biorąc przypominała małpią, choć kość nosowa była bardziej wystająca, a szczeka miała mniej cech zwierzęcych. Jej rysy budziły strach, a w małych czerwonych oczkach czaiło się szaleństwo.

Conan wiedział, z czym miał do czynienia. Potwór ten pojawiał się w mitach i legendach północy — śnieżna małpa, człowiek z pustyni zakazanej Pathenii. Słyszał plotki o jego istnieniu, przekazywane w okrutnych opowieściach z zaginionej, wypalanej słońcem krainy znajdującej się gdzieś na płaskowyżu Loulan. Koczownicy zaklinali się, że opowieści o człekokształtnej bestii, zamieszkującej te tereny od niepamiętnych czasów są szczerą prawdą.

Opowieści te budziły zgrozę we wszystkich krajach północy.

Takie to myśli przychodziły do głowy Conanowi, kiedy w pełnym napięcia wyczekiwaniu stał naprzeciw olbrzymiej, kosmatej bestii. W chwilę potem kamienne ściany wąwozu gromkim echem odbiły przeraźliwy ryk małpy, która z rozłożonymi szeroko ramionami, obnażając żółte, ociekające śliną kły, zaatakowała Cymeryjczyka.

Conan czekał gotowy do skoku, mając przeciwko sile potężnej małpy jedynie długi nóż i własny spryt.

Dotychczas ofiary potwora były przeważnie mocno okaleczone wskutek tortur bądź

martwe. Niewielki ułamek ludzkiej inteligencji w mózgu bestii, który różnił ją od zwykłych zwierząt, odnajdował radość w śmiertelnej agonii ofiar. Ten człowiek był jeszcze jednym słabym stworzeniem, które miało zostać rozdarte na strzępy i rozczłonkowane, a jego czaszka rozłupana, aby stwór mógł dostać się do mózgu. A to, że jak na razie stał wyprostowany z jakimś błyszczącym przedmiotem w dłoni, nie czyniło monstrum żadnej różnicy.

Stojąc naprzeciw nadciągającej ku niemu zguby, Conan wiedział, że musi uniknąć uścisku tych

olbrzymich ramion, które mogłyby go w jednej chwili zmiażdżyć. Potwór był szybszy, niż można by się tego spodziewać po jego niezdarnym wyglądzie. Ostatnie parę metrów dzielących go od ofiary pokonał pojedynczym groteskowym susem. Conan odczekał, dopóki małpa nie skoczyła w jego stronę, rozpościerając szeroko kosmate łapska i dopiero wtedy przeszedł do działania. Jego szybkości mógłby mu pozazdrościć atakujący lampart.

Czarne paznokcie małpy przypominające szpony rozdarły jedynie tunikę Conana. W

chwilę potem pośród skał dało się słyszeć przeraźliwe wycie. Nadgarstek prawej ręki stwora był rozcięty prawie do połowy — tylko grube futro uchroniło małpę przed całkowitą utratą dłoni. Bryzgając obficie krwią z głębokiej rany, zwierzę zawróciło i zaatakowało ponownie.

Tym razem jednak atak był zbyt szybki, aby jakakolwiek ludzka istota zdołała go uniknąć.

Conan uchylił się przed ciosem zniekształconej lewej ręki potwora, która, gdyby go dosięgła, wyprałaby mu wnętrzności, ale nie zdołał się ustrzec przed uderzeniem barkiem i na chwilę stracił równowagę. Szarżujący stwór swoją potężną masą zepchnął go pod ścianę.

Conan jednak cofając się zdołał wbić swój nóż aż po rękojeść w brzuch stwora. W

rozpaczliwej świadomości tego, że zginie, jeżeli nie wykorzysta tej szansy, włożył całą swą siłę w cięcie skierowane z dołu ku górze.

Człowiek i małpa runęli na ścianę. Olbrzymie ramię małpy zamykało wyprężone niczym struna ciało Conana w morderczym uścisku. Ryk bestii ogłuszył go, kiedy pokryte pianą szczęki rozwarły się tuż obok jego głowy. W chwilę potem zatrzasnęły się z głuchym kłapnięciem, chwytając jedynie haust powietrza. Ciałem stwora targnął gwałtowny skurcz.

Cymeryjczyk wyrwał się z uścisku potwora i cofnął się chwiejnie o parę kroków. Wielka małpa osunęła się na ziemię u stóp skały, a jej ciałem wstrząsnęły śmiertelne drgawki.

Rozpaczliwy cios Cymeryjczyka rozplątał brzuch stwora i wypruł mu wnętrzności, a skierowane ku górze ostrze długiego noża podczas swojej wędrówki wzdłuż ciała musiało natrafić na serce antropoida i przebiło je na wylot.

Mięśnie Conana dygotały jak po długim wysiłku. Jego potężne ciało oparło się straszliwej sile małpy dostatecznie długo, by przeżyć w morderczym uścisku jej olbrzymich ramion, które słabszego człowieka mogłyby bez trudu rozedrzeć na strzępy. Nawet dla niego jednak był to straszliwy wysiłek. Jego tunika zwisała w strzępach, a niektóre ogniwa znajdującej się pod nią kolczugi zostały rozerwane. Przypominające szpony długie, kwadratowe, czarne paznokcie pozostawiły na jego plecach krwawe ślady. Stał dysząc ciężko, jak po długim biegu, zboczony krwią — własną i małpy.

Wzdrygnął się, potem wyprostował patrząc w zamyśleniu, jak w oddali czerwona tarcza słońca nadziewa się na spiczasty skalny szczyt. Teraz już wszystko było dla niego jasne.

Rannych więźniów znoszono na ofiarę dla olbrzymiej małpy z wawozów i wrzucano ich do parowu

przez specjalne, sekretne drzwi w murze. Małpa, podobnie jak te, które żyły na terenach wokół Morza Vilayet, żywiła się zarówno warzywami, owocami, jak i mięsem.

Jednak nieregularne dostawy jeńców nie mogły zaspokoić ogromnego apetytu tak potężnej i aktywnej bestii. Dlatego też Yezmici wrzucali jej niekiedy melony, rzepę i cebulę.

Conan przełknął ślinę i nagle zdał sobie sprawę jak bardzo jest spragniony. Zlikwidował

potwora żyjącego w wąwozach, ale wiedział, że jeżeli nie znajdzie sposobu na wydostanie się z pułapki, umrze z głodu i pragnienia. Nie ulegało wątpliwości, że gdzieś w wąwozie musiało się znajdować źródło, z którego czerpała wodę małpa, ale znalezienie go mogło zająć miesiąc.

Nad wzgórzami zapadł zmierzch. Conan skręcił w odnogę parowu po prawej stronie.

Czterdzieści kroków dalej odchodziła od niego druga, zmierzająca w lewo, a pobliskie skały były niczym plaster miodu pocięte licznymi jaskiniami. Kiedy się do nich zbliżył, poczuł

charakterystyczną woń wielkich małp. W pierwszej chwili przyszło mu na myśl, że być może w wąwozach tych żyje nie jedna, a kilkanaście małp. Zaraz jednak odrzucił tę ewentualność, bo krzyk pierwszej z całą pewnością zwabiłby pozostałe.

W oddali widniał olbrzymi masyw górski. Szczelina, którą podążał Conan, zwężała się, aż w pewnym momencie Cymeryjczyk musiał zacząć wspinać się w górę, po zboczu. Kiedy dotarł na szczyt, okazało się, że znajduje się wysoko ponad powierzchnią niecki, a w oddali widniały zarysy Yanaidar. Przyłgnął płasko do gładkiej pionowej ściany, na której nawet musze trudno byłoby się utrzymać.

— Cromie i Mitro! — krzyknął.

Osunął się na dół, po zboczu skalnego rumowiska. Z niemałym trudem udało mu się przedostać przez wąski przesmyk u podnóża skały, aż w końcu dotarł do skraju nieckowatej depresji.

W tym miejscu płaskowyz opadał stromo w dół. Teraz sytuacja znacznie się uprościła — mógł albo piąć się w górę, albo spuszczać się w dół. Nie miał innego wyboru.

W ciemnościach nie był w stanie dokładnie oszacować odległości. Po krótkim namyśle stwierdził, że jego lina jest o wiele za krótka, by ryzykować zejście na dno wąwozu. Aby się ostatecznie upewnić, rozwiązał linę, którą był przepasany i spuścił ją w dół. Hak znajdujący się na jednym jej końcu był dobrym obciążeniem. Zgodnie z jego przypuszczeniem, lina nie dosięgła ziemi, a hak kołysał się miarowo w powietrzu.

Wobec tego posuwając się wzdłuż podstawy skały, dotarł do przeciwległego krańca płaskowyzu. Od tej strony ściany nie były tak strome. Powtarzając próbę z liną i hakiem, upewnił się, że dziesięć metrów poniżej znajdowała się skalna półka, która biegła w poprzek całego zbocza i kończyła się pośród rumowiska spękanych skał. To była szansa! Conan zdawał sobie sprawę, że to nie będzie bezpieczna wędrowka — jeden nierozważny krok może sprawić, że schodzący odpadnie od ściany i runie w kilkusetmetrową przepaść, by roztrzaskać się u podnóża skały. Uznał jednak, że taka silna

dziewczyna jak Nanaja powinna tego dokonać.

Musiał teraz spróbować dostać się na powrót do Yanaidar. Przecież Nanaja nadal znajdowała się w tajnym przejściu w pałacu Viraty. Cymeryjczyk miał nadzieję, że nikt jej tam nie odnalazł. Istniała spora szansa, że mógłby dostać się do miasta przez wrota Piekieł, kiedy Yezmici otworzą je, by rzucić karmę małpie. Poza tym liczył na to, że Kushafijczycy usłuchali wezwania Tubala i wyruszyli w drogę do Yanaidar.

Tak czy inaczej, uznał Conan, zawsze warto spróbować. Wzruszył lekko ramionami i zawrócił w stronę miasta.

ŚMIERĆ W PAŁACU

Conan kluczył pośród wąwozów, dopóki nie dotarł do wewnętrznego parowu i nie zobaczył ściany i skały na jego drugim końcu. Światła Yanaidar błyszczały wysoko, ponad murami, a z oddali dobiegała jękliwa muzyka cytr. Głos kobiety zawodził jakąś smętną pieśń.

Conan uśmiechnął się ponuro w mroku. Wokół niego wznosiły się skały przypominające szkielety. Na kamieniach przed drzwiami nie było śladów jadła. Nie wiedział, jak często zwierz był karmiony i czy w ogóle tej nocy strażnicy przyjdą, aby zostawić mu żywność.

Musiał zaryzykować. Zdarzało mu się to często. Myśl o tym, co mogłoby się stać z Nanają, przyprawiała go o wściekłość. Zmusił się, by usiąść na kamieniach przy drzwiach, od strony, w którą się otwierały i czekać nieruchomy jak głaz.

W godzinę później, kiedy jego cierpliwość była już na wyczerpaniu, rozległ się nagle szcęk łańcuchów i wrota uchyliły się nieznacznie. Ktoś wyjrzał na zewnątrz, aby się upewnić, że upiornego strażnika wąwozu nie było w pobliżu, a dopiero potem odważył się otworzyć wrota na oścież. Szczęknęły kolejne zasuwki i do wąwozu wkroczył jakiś mężczyzna niosący miedzianą miskę wypełnioną warzywami. Stawiając ją na ziemi, usłyszał

jakiś dziwny odgłos. W chwili gdy się pochylił, Conan zadał mu cios nożem. Mężczyzna runął na ziemię, a jego odcięta głowa potoczyła się w głąb wąwozu.

Conan zajrzał przez otwarte drzwi i zobaczył, że oświetlony blaskiem lamp korytarz był

pusty. Wewnątrz okratowanych cel nie było żywej duszy. Wciągnął bezgłowe ciało nieco dalej do wąwozu i ukrył je pośród olbrzymich głazów.

Potem powrócił i wszedłszy do korytarza zamknął drzwi i pozamykał zasuwki. Z nożem w dłoni zaczął iść w stronę tajemnych drzwi prowadzących do tunelu i sekretnych schodów.

Gdyby ukrycie się w tajnym przejściu nie było wykonalne, zawsze mógł zabarykadować się z Nanają w tym korytarzu i utrzymać go aż do przybycia Kushafijczyków — zakładając, że w ogóle przybędą.

Conan nie zdążył dotrzeć do ukrytych drzwi, kiedy szcęk zawiasów za jego plecami sprawił, że niemal mimowolnie obrócił się na pięcie. Drzwi po przeciwnej stronie korytarza otwierały się. Conan ruszył pędem w ich stronę. W drzwiach stanął uzbrojony wojownik. Był

to Hyrkańczyk, tak jak ten, którego Conan uśmiercił wcześniej. Kiedy zobaczył

Cymeryjczyka, ruszył do ataku, zaciskając z całych sił zęby i sięgając dłonią po szablę.

Conan jednym susem znalazł się tuż obok niego, pchnął go mocno na drzwi, a potem

bezceremonialnie przytknął mu ostrze noża do piersi.

— Cicho! — syknął.

Strażnik znieruchomiał, a jego miedziana twarz jakby nieco pobladła. Gwałtownie oderwał dłoń od rękojeści miecza i rozłożył obie ręce na znak, że się poddaje.

— Są jeszcze jacyś inni strażnicy? — spytał Conan.

— Nie, na Tarima! Jestem sam.

— Gdzie jest ta iranistańska dziewczyna, Nanajaa? — Conan znał odpowiedź na to pytanie, ale miał nadzieję, że dowie się od strażnika, czy odkryto ucieczkę i czy dziewczyna ponownie nie została schwytana.

— Bogowie jeno wiedzą! — odparł Hyrkańczyk. — Byłem w oddziale strażników, którzy wtręci do lochu te zuagirskie psy i zauważyłem, że nie ma jej w celi, a na jej pryczy leży nasz towarzysz z podciętym gardłem. W całym pałacu zawrzało. Wszczęto poszukiwania i, o ile wiem, przetrząśnięto cały budynek. Ja zostałem odesłany, aby strzec Zuagirów i niestety to wszystko co wiem.

— Zuagirów? — spytał Conan.

— Tak. Tych, którzy cię tu przyprowadzili. Zostali skazani na śmierć. Wyrok ma być wykonany jutro.

— Gdzie oni są teraz?

— W celach po drugiej stronie. Trzeba przejść przez tamte drzwi.

— No to obróć się i przejdź przez tamte drzwi. Bez Tylko sztuczek!

Mężczyzna otworzył drzwi i przeszedł na drugą stronę, jak jakby stąpał po ostrzach brzytw. Dotarli do drugiego korytarza, po którego obydwu stronach znajdowały się okratowane cele. Na widok Conana z wnętrza dwóch z nich dały się słyszeć przeciągłe syki.

Przy kratkach pojawiły się brodate oblicza. Smukłe dłonie zacisnęły się na grubych, gładkich prętach. Siedmiu mężczyzn spoglądało w milczeniu na Cymeryjczyka, a w ich oczach płonęła jadowita wściekłość. Conan odciągnął swego więźnia nieco dalej od krat i powiedział: — Byliście wiernymi poddanymi. Dlaczego wtrącono was do lochów?

Antar, syn Adiego splunął w jego stronę.

— Przez ciebie, cudzoziemski psie! Zaskoczyłeś nas na Schodach i Magus skazał nas na śmierć, nim jeszcze upewnił się, że przybyłeś tu na przespīgi. Powiedział, że albo jesteśmy z tobą w znowie, albo jesteśmy skończonymi głupcami; daliśmy się zaskoczyć i dlatego o świcie umrzemy pod nożami siepaczy Zahaka, niech Hanuman przeklnie i jego, i ciebie!

— Ale i tak traficie do Raju — zauważył Conan — przecież wszyscy wiernie służyliście Magusowi z Synów Yezmu.

— Niech psy pożrą kości Magusa z Synów Yezmu — rzekł jeden z nich, nie kryjąc swojej wściekłości, a drugi dodał:

— Obyście ty i Magus byli przykuci do jednego łańcucha w piekle. Plujemy na jego Raj!

To wszystko kłamstwa i sztuczki dokonywane przy pomocy narkotyków!

Conan zauważył, że Viracie nie udało się zmusić swych poddanych do takiego posłuszeństwa, jakim mogli się poszczycić jego poprzednicy, którzy jednym rozkazem zmuszali swoich wiernych do popełnienia samobójstwa.

Odebrał strażnikowi pęk kluczy i teraz w zamyśleniu ważył je w dłoni. Zuagirowie przyglądali się im tak, jak z pewnością ludzie smażący się w piekle patrzyliby na otwarte drzwi, wiodące na wolność.

— Antarze, synu Adiego — powiedział. — Na twoich dłoniach widnieje krew wielu ludzi, ale o ile cię znam, wiem, że nie łamiesz złożonej przysięgi. Magus was opuścił i wydalil z służby. Wy wszyscy, Zuagirowie, nie jesteście już jego poddanymi. Nic mu nie jesteście winni.

Oczy Antara przypominały oczy wilka.

— Gdybym mógł posłać go do Arallu, zanim odejdę, umarłbym szczęśliwy!

Wszyscy w napięciu patrzyli na Conana, ten zaś powiedział: — Czy każdy z was jest gotów przysiąc na honor swego klanu, że będzie mnie wspierał i służył mi, dopóki nie dokona się zemsta lub póki śmierć nie zwolni go z danego słowa?

Schował klucze za siebie, nie chcąc niepotrzebnie kusić bezradnych więźniów.

— Ze strony Viraty możecie się spodziewać jedynie śmierci i zaręczam wam, że umrzecie niby psy! Ja oferuję wam możliwość zemsty, a w najgorszym razie śmierć, ale śmierć honorową!

Oczy Antara rozbłysły, a jego dłonie zacisnęły się kurczowo na prętach krat.

— Zaufaj nam! — powiedział.

— Tak! Przysięgamy! — wrzasnęli chórem otaczający go mężczyźni. Będziemy ci wierni, Conanie, przysięgamy na honor naszych klanów.

Zanim umilkły słowa przysięgi, Conan przekręcił klucz w zamku. Ci koczownicy pustyni w kategoriach ludzi cywilizowanych byli dzicy, okrutni, buntowniczy i zdradzieccy, ale mieli swój kodeks honorowy i Conan z Cymerii wiedział, że jest to dla nich największa świętość.

Wychodząc z celi, pochwycili hyrkańskiego strażnika, krzycząc: — Zabić go! To jeden z psów Zahaka!

Conan uwolnił mężczyznę i jednym ciosem powalił na ziemię najbardziej zacieklego z Zuagirów.

— Dość tego! — krzyknął. — On należy do mnie i zrobię z nim, co będę chciał!

Popchnął przed sobą do korytarza kulącego się ze strachu Hyrkańczyka i wraz z kroczącymi jego śladem Zuagirami dotarł do drugiego z podziemnych przejść lochu.

Po złożeniu przysięgi podążali za nim ślepo, nie kwestionując jego poczynań. W drugim korytarzu Conan rozkazał Hyrkańczykowi, aby zdjął odzienie. Mężczyzna drżąc na myśl o torturach, zrobił to niepewnie.

— Przebierz się w jego odzienie — rozkazał Antarowi Conan.

Kiedy dziki Zuagir zaczął wypełniać polecenie, Conan zwrócił się do następnego z mężczyzn.

— Wyjdź tymi drzwiami na końcu korytarza...

— Ale diabelska małpa! — krzyknął mężczyzna, do którego mówił Cymeryjczyk. — Rozerwie mnie na strzępy!

— Jest martwa. Zabiłem ją tym nożem. Na zewnątrz, za skałami znajdziesz zabitego strażnika. Zabierz sztylet i miecz, które leżą obok niego.

Shemita obdarzył Conana niepewnym spojrzeniem i wyszedł. Conan wręczył swój nóż drugiemu z Zuagirów, a kolejnemu przypadł w udziale hyrkański sztylet o falistym ostrzu.

Pozostali na jego rozkaz związali i zakneblowali strażnika i wtrącili go za otwarte przez Conana sekretne drzwi, do wnętrza tunelu. Antar, odziany w kurtkę z długimi rękawami, hyrkańskie jedwabne spodnie i spiczasty hełm, wyprostował się. Miał na tyle orientalne rysy, że mógłby oszukać każdego, kto wkraczając do tych korytarzy spodziewałby się zastać w nich Hyrkańczyka. Conan tymczasem nałożył na głowę kefię Antara i naciągnął ją mocno, zakrywając twarz.

— Dwóch nadal jest nieuzbrojonych — rzekł Conan, kiedy się im przyjrzał. — Chodźcie ze mną.

Wrócił do tunelu, przestąpił nad ciałem związanego strażnika i znikł w ciemnościach.

Zatrzymał się dopiero u stóp schodów.

— Nanaja! — krzyknął cicho. Nie było odpowiedzi. Brnąc po omacku, Conan wspiał się po schodach na górę.

Nanai nie było, choć na najwyższym stopniu schodów, tuż przy tajemnych drzwiach, leżały dwa miecze, które zostawił tam wcześniej. Teraz każdy z ośmiu ludzi był już uzbrojony. Jedno spojrzenie przez szczelinę w murze upewniło go, że komnata, w której spał, była pusta. Conan otworzył sekretne drzwi, najpierw uchylając je nieznacznie, a dopiero po chwili rozsuwając je na oścież.

— Musieli znaleźć dziewczynę — wyszeptał do Antara. — Dokąd mogli ją zabrać, jeśli nie na

powrót do celi?

— Magus biczuje niepokorne kobiety w swojej komnacie tronowej, tam gdzie się dziś rano z nim spotkałeś.

— Prowadź więc... Co to?

Conan odwrócił się na dźwięk bębnów, który słyszał wcześniej, w wąwozie i znów był

przekonany, że dochodzi spod ziemi. Zuagirowie spoglądali na siebie nawzajem, a ich ogorzała skóra wydawała się jakby odrobinę bledsza.

— Nikt nie wie — rzekł Antar i wzruszył ramionami. — Te dźwięki słyhać już od miesięcy i stają się coraz głośniejsze. Za pierwszym razem Magus przetrząsnął całe miasto, aby znaleźć źródło owych odgłosów. Kiedy jego wysiłki spęły na niczym, rozkazał, by żaden z mieszkańców miasta nie zwracał uwagi na te odgłosy i z nikim o nich nie rozmawiał.

Plotki mówią, że nocami usiłuje odnaleźć źródło tych dźwięków przy pomocy czarów, ale nie wiadomo, czy jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem.

Zanim Antar skończył swój monolog, odgłos bębnów ucichł. Conan rzekł: — A teraz zaprowadź mnie do sali tronowej. Pozostali niech idą za nami, tylko swobodnie i bez skrępowania. Idźcie jak gdyby nigdy nic. Może uda się nam oszukać te pałacowe psy!

— Najlepiej będzie przejść przez Rajski Ogród — stwierdził Antar. — Wieczorem przed głównym wejściem do sali tronowej warują stygijscy strażnicy.

Korytarz przed komnatą był pusty. Zuagirowie sformowali kolumnę. Po zmierzchu w pałacu Magusa panowały cisza i spokój. Sale i korytarze spowijała tajemnicza, niepokojąca aura. Oświetlenie było słabsze, na ścianach kładły się długie cienie, a ciężkie zasłony zwisały nieruchomo nietknięte nawet najśłabszym podmuchem wiatru.

Zuagirowie dobrze znali drogę. Oddział obszarpańców z płonącymi oczyma, poruszający się niemal bezszelestnie, przekradał się przez spowite półmrokiem, bogato zdobione korytarze jak grupka dobrze wyszkolonych złodziei. Nie napotkawszy nikogo po drodze Zuagirowie dotarli w końcu do olbrzymich złożonych drzwi, których strzegli dwaj czarni Kuszyci, z obnażonymi talwarami w dłoniach. Na widok obcych Kuszyci unieśli swoją broń bez słowa; byli niemi. Żądni zemsty Zuagirowie jak szarańcza opadli dwóch potężnych Murzynów. Ci, którzy byli uzbrojeni w miecze, odwrócili ich uwagę, podczas gdy pozostali rzucili się na nich całą cizbą i powaliwszy olbrzymów na ziemię, klnąc, dysząc i plując, dobili ich dziesiątkami ciosów noży i sztyletów. Była to jatka, ale w tym wypadku konieczna.

— Zostań tu na straży — rozkazał Conan jednemu z Zuagirów. Gwałtownie otworzył

drzwi i wyszedł do ogrodu. Nie było w nim żywej duszy. Klomby kwiatów błyszcząły białawo w blasku gwiazd, kępy krzewów i drzew majaczyły tajemniczo w półmroku.

Zuagirowie dozbroiwszy się mieczami strażników podążali śladem Conana.

Cymeryjczyk ruszył w stronę balkonu, który, jak wiedział, znajdował się nad ogrodem i był skryty pośród gałęzi. Trzej Zuagirowie pochylili się pokornie, by mógł stanąć im na ramionach. Błyskawicznie odnalazł okno, z którego wyglądał wraz z Viratą. W chwilę potem bezszelestnie jak kot wślizgnął się na balkon.

Spoza kotary, która zakrywała alkowę z balkonem, dochodziły jakieś głosy. Conan usłyszał płacz przerażonej kobiety i głos Viraty.

Wyglądając spoza kotary dostrzegł Magusa siedzącego na wysokim tronie, pod wyszywanym perlami baldachimem. Strażnicy, przypominający hebanowe posągi, nie stali już po obu stronach tronu. Byli zajęci ostrzeniem sztyletów i rozgrzewaniem do białości stalowych cęgów w buzującym płomieniami mosiężnym palenisku. Między nimi na podłodze leżała Nanaja: naga, rozkrzyżowana, przywiązana za nadgarstki i kostki u nóg do ćwieków wbitych w podłogę. W komnacie nie było nikogo więcej, a drzwi z brązu były zamknięte i zablokowane zasuwą.

— Powiedz mi, jak wydostałaś się z celi — rozkazał Virata.

— Nie! Nigdy! — dziewczyna przygryzała wargę, próbując zachować panowanie nad sobą.

— Czy to był Conan?

— Pytasz o mnie? — rzekł Conan, wychodząc z alkowy z ponurym uśmieszkiem na ogorzałej, pokrytej bliznami twarzy.

Virata z krzykiem poderwał się z miejsca. Kuszyci wyprostowali się i szczerząc zęby sięgnęli po broń.

Conan zaatakował i nim pierwszy ze strażników zdołał dobyć miecza, nóż Cymeryjczyka pograżył się w jego gardle. Drugi rzucił się w stronę dziewczyny, unosząc miecz do ciosu.

Zamierzał, zanim umrze, zaszlachtować bezbronną ofiarę. Conan przyjął cios na ostrze swego noża i ripostując, niczym błyskawica wbił sztylet aż po rękojeść w pierś czarnego olbrzyma.

Rozpędzony Kuszyta runął na Conana, ten zaś pochylił się, podłożył wolną rękę pod brzuch Murzyna i wyprostował się, unosząc go w górę. Kuszyta wił się i jęczał z bólu. Conan cisnął

nim na bok. Rozległ się potworny trzask. Kuszyta uderzył o ścianę i osunąwszy się po niej na ziemię, wyzionął ducha.

Conan odwrócił się w stronę Magusa, który miał próbować uciec, zbliżał się w jego stronę z dzikim błyskiem w oczach. W jego wzroku było coś dziwnego, co niczym magnes przykuwało uwagę Conana.

Cymeryjczyk zamierzał rzucić się na czarownika i przebić go nożem, kiedy nagle zdał

sobie sprawę, że jego stopy są dziwnie ciężkie. Miał wrażenie, jakby przymocowano do nich ołowiane odważniki albo jakby brnął poprzez błotniste, cuchnące bagna Stygii, na których rośnie czarny lotos. Mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Pot zrosił jego skórę, gdy usiłował zmusić swoje ciało do zerwania krępujących go, niewidzialnych więzów.

Virata wolno zbliżał się do Cymeryjczyka z rozłożonymi szeroko rękoma, a jego palce bez przerwy wykonywały nieznaczne gesty. Przez cały czas z uwagą wpatrywał się w oczy Conana. Dłonie Viraty zbliżały się do szyi Cymeryjczyka. Conan miał przeczucie, że używając swoich magicznych sztuczek Virata, choć z wyglądu niepozorny, mógł mu złamać kark jak kawałek spróchniałej gałęzi.

Dłonie przybliżyły się jeszcze bardziej. Conan podwoił swoje wysiłki, ale niewidzialne więzy krępujące jego ciało z każdym krokiem Viraty zdawały się zacieśniać i stawały się coraz mocniejsze.

I wtedy Nanaja krzyknęła. Jej krzyk był długi, wysoki, przejmujący, jak jęk potępieńca obdzieranego w piekle ze skóry.

Magus odwrócił się nieznacznie i na chwilę oderwał wzrok od Conana. Cymeryjczyk miał

wrażenie, jakby z jego pleców zdjęto kilkutonowy ciężar. Virata znów spojrzał na niego, ale Cymeryjczyk robił wszystko, aby uniknąć spotkania z jego wzrokiem. Patrząc przez półprzymknięte powieki na tors Magusa, Conan zadał potężne pchnięcie, które, gdyby dosięgło celu, wyprułoby czarownikowi wnętrzności. Kosalczyk jednak uniknął go, błyskawicznym skrzętem całego ciała, odskoczył w tył, a potem odwrócił się i popędził w stronę drzwi, krzycząc:

— Na pomoc! Straże! Do mnie!

W chwilę potem od strony korytarza dobiegło potężne dudnienie w drzwi i gromkie nerwowe okrzyki. Conan odczekał, aż dłoń Magusa zaciśnie się na zasuwie i w tym samym momencie rzucił nożem. Długie ostrze trafiło Magusa w plecy, przebiło go na wylot i przyszpiliło do drzwi jak motyla.

OSACZONA SFORA

Conan podbiegł do drzwi i wyrwał nóż, pozwalając, by ciało Magusa osunęło się na podłogę. Za drzwiami narastał gwar, a Zuagirowie z ogrodu krzycząc głośno dopytywali się, czy Cymeryjczyk jest bezpieczny i domagali się, by pozwolił im wejść na górę.

Odkrzyknął im, by zaczekali, po czym uwolnił dziewczynę i okrył ją zdartym z otomany fragmentem jedwabnej narzuty. Rzuciła mu się na szyję z płaczem.

— Conanie! Wiedziałam, że przyjdiesz. Mówili, że nie żyjesz, ale ja wiedziałam, że to nieprawda!

— Zostaw to na potem — burknął.

Z mieczami Kuszytów wrócił na balkon i przekazał Nanaja w ręce Zuagirów, a potem sam zwinnie zeskoczył do ogrodu

— I co teraz, panie? — spytali Zuagirowie, paląc się do walki.

— Wracamy tą samą drogą: przez sekretne drzwi, a potem do wąwozu, przez wrota Piekieł.

Ruszyli pędem przez ogród. Conan ciągnął Nanaję za rękę. Nie przebiegli nawet tuzina kroków, gdy z oddali przed nimi i z pałacu za ich plecami dobiegł głośny szcęk stali.

Złowieszcze przekleństwa mieszały się z brzękiem oręża. Rozległ się głośny trzask zamykanych drzwi, a w chwilę potem jakaś postać wybiegła im na spotkanie spośród gęstwiny krzewów. Był to Zuagir, którego zostawili na straży przy złoconych drzwiach. Klął

na czym świat stoi i zaciskał dłoń na zranionym, ociekającym krwią przedramieniu.

— Hyrkańskie psy u drzwi! — wykrzyknął. — Ktoś zobaczył, jak zabijaliśmy Kuszytów i powiadomił Zahaka. Dźgnąłem jednego w brzuch i zamknąłem drzwi, ale nie wytrzymają zbyt długo.

— Antarze, czy jest jakieś wyjście z tego ogrodu, które nie prowadzi przez pałac? — zapytał Conan.

— Tędy! — Zuagir popędził w stronę północnej ściany, ukrytej pośród gęstego listowia. Z

oddali dobiegł ich trzask pękających złoconych drzwi, wyważanych przez nomadów. Antar przy pomocy miecza torował im drogę poprzez chaszczę, dopóki oczom wszystkich nie ukazały się sprytnie zamaskowane drzwi w ścianie. Conan włożył rękojeść noża w łańcuch przytrzymujący starą kłódkę i przekręcił ciężką broń, trzymając za ostrze. Jego mięśnie napięły się jak postronki. Zuagirowie przyglądali się, jak dysząc ciężko mocował się z łańcuchem, podczas gdy w dali za ich plecami narastała wrzawa. W końcu, po którymś gwałtownym szarpnięciu łańcuch pękł z trzaskiem. Wbiegli do drugiego, mniejszego ogrodu, oświetlonego wiszącymi lampami. W tej samej chwili złocone drzwi puściły i strumień uzbrojonych postaci wdarł się do Rajskiego Ogrodu. Pośrodku

ogrodu, w którym znaleźli się uciekinierzy, znajdowała się wysoka, smukła wieża, którą Conan zauważył, kiedy po raz pierwszy znalazł się w pałacu. Na wysokości drugiego piętra wieża ozdobiona była okratowanymi balkonami. Ponad linią balkonów znacznie się zwężała i biła w niebo na wysokość trzydziestu metrów. Na szczycie wieży znajdowała się płaska platforma obserwacyjna.

— Czy jest stąd jakieś wyjście? — spytał Conan.

— Te drzwi prowadzą do pałacu, niedaleko schodów wiodących do lochów — rzekł Antar wskazując na ciemny prostokąt w murze.

— No to ruszamy! — rzucił Conan zamykając za sobą drzwi i blokując je sztyletem. — To powinno ich zatrzymać chociaż na parę sekund.

Przebiegli przez ogród do wskazanych przez Antara drzwi, ale okazało się, że były one zamknięte na głucho. Conan próbował wyważyć je ramieniem, lecz jego wysiłki okazały się bezskuteczne, bo drzwi nawet nie drgnęły.

Kiedy wrota zablokowane przez Conana zaczęły ustępować, z ust dziesiątków pustynnych koczowników dobył się radosny okrzyk. Płonęli żądzą zemsty. Przy wtórze złowróżbnych ryków ludzie Zahaka, nomadowie o dzikich, wykrzywionych potwornymi grymasami twarzach, wymachując szaleńczo bronią natarli na ogrodowe wrota.

— Do wieży! — rozkazał Conan. — Jeżeli się tam dostaniemy...

— Magus często uprawiał czary w komnacie na górze — rzucił zdyszany Zuagir biegnąc w ślad za Conanem. — Nie wpuszczał tam nikogo prócz Tygrysa, ale ludzie mówią, że było tam sporo broni. Strażnicy śpią na dole...

— Dalej! — ryknął Conan i wysforował się na czoło, ciągnąc za sobą Nanaję. Dziewczyna zdawała się unosić w powietrzu jak piórko. Drzwi w ścianie w końcu puściły i zgraja Hyrkańczyków, przewracając się i potykając, wdarła się do ogrodu. Z odgłosów, jakie dochodziły ze wszystkich stron, można się było domyślić, że ich pojawienie się w Ogrodzie Wieży jest tylko kwestią minut.

Gdy Conan zbliżył się do wieży, drzwi u jej podstawy otwarły się i z wnętrza wypadło pięciu rozsierdzonych strażników. Z ich ust dobył się okrzyk zdziwienia, kiedy w blasku lamp zobaczyli nacierającą na nich, rozszalałą grupę Zuagirów z Conanem na czele. Nim zdążyli sięgnąć po broń, Cymeryjczyk był już wśród nich. Dwóch padło od ciosów jego miecza, podczas gdy Zuagirowie rozprawili się z trzema pozostałymi tnąc, krojąc i dźgając, dopóki w ciałach wrogów tliła się jeszcze choć odrobina życia.

Hyrkańczycy z Rajskiego Ogrodu byli już tuż tuż. Pędzili co sił w nogach w stronę wieży, odziani w błyszczące zbroje, z obnażoną stalą w dłoniach.

Zuagirowie wdarli się do wnętrza wieży. Conan zatrzasnął ciężkie wrota z brązu i zasunął

zasuwę, która z powodzeniem wytrzymałaby atak słonia, na moment przed atakiem Hyrkańczyków na drzwi. Conan i jego ludzie z błyszczącymi oczyma i zaciśniętymi zębami wbiegli po schodach na

górze. Dotarli na miejsce w komplecie, nie licząc jednego z Zuagirów, który w połowie drogi stracił przytomność z upływu krwi. Conan zarzucił go sobie na plecy i zaniósł na górę, gdzie, położywszy go na podłodze, polecił Nanai, aby się nim zajęła. Potem dokonał krótkiego przeglądu sprzętów znajdujących się w pomieszczeniu. Zatrzymali się w górnej komnacie wieży, z niewielkimi oknami i drzwiami prowadzącymi na okratowane balkoniki. Światło z latarni w ogrodzie przechodziło przez kraty i okna i obsypywało swym blaskiem kolekcję broni zawieszoną na ścianach. Były tu hełmy, pancerze, tarcze, włócznie, miecze, topory, maczugi, łuki i kołczany pełne strzał. Broni wystarczyło, by obdzielić nią cały oddział i nie ulegało wątpliwości, że w komnatach na wyższych piętrach jest jej o wiele więcej. Virata uczynił z tej wieży arsenał, pomijając fakt, że odprawiał w niej swoje magiczne obrzędy.

Zuagirowie zdejmując łuki i kołczany ze ścian zaintonowali radosną pieśń, a potem zajęli stanowiska na balkonach. Choć kilku z nich było lekko rannych, wszyscy rażno zaczęli słać strzałę za strzałą w wyjący wściekle tłum żołnierzy kłębiący się w dole. Napastnicy odpowiedzieli gradem strzał, które zadudniły o kraty balkonu, a kilka z nich wpadło do wnętrza wieży. Wojownicy z dołu strzelali na oślep, bo nie byli w stanie dostrzec ukrytych w cieniu Zuagirów. Tłum napastników zmierzał w kierunku wieży ze wszystkich stron. Zahaka nie było widać, ale pod wieżą tłoczyła się co najmniej setka Hyrkańczyków i tuziny wojowników innych ras. Przemykali przez ogród wyjąc jak opętani.

Lampiony kołyszące się dziko pod wpływem impetu ciał, które nie zdołały uniknąć spotkania ze stojącymi im na drodze smukłymi drzewkami, oświetlały twarze z oczyma wzniesionymi ku górze — twarze szaleńców. W całym ogrodzie pobłyskiwały miecze. Raz po raz dało się słyszeć brzęk spuszczonej cięciwy. Konary i gałęzie były miażdżone stopami napierającej cizby. Łup! Udało im się wyrwać jedno z drzew i zamierzali teraz użyć go jako tarana, aby sforsować drzwi.

— Celujcie do tych z taranem! — warknął Conan, wybierając najtwardszy łuk spośród ustawionych w stojakach.

Wysunięty nieznacznie balkon uniemożliwiał celowanie do tych, którzy dzierżyli przednią część tarana, ale kiedy obrońcy wieży przeszli strzałami tych z tyłu, pozostali musieli upuścić pień, którego waga okazała się ponad ich siły. Conan, rozglądając się wokoło, zdziwił

się, widząc, że Nanaja skroiwszy sobie z jedwabnego nakrycia, jakie otrzymała od Cymeryjczyka, zgrabną tunikę, przyłączyła się do Zuagirów i strzela wraz z nimi.

— Chyba ci powiedziałem... — zaczął, ale przerwała mu w pół słowa: — Niech to szlag, nie masz czegoś, żebyś mogła obwiązać sobie ramię? Cięciwa rozcina mi ciało aż do kości.

Conan odwrócił się z westchnieniem i posłał kilka strzał w stronę nacierających. Kiedy usłyszał Olgerda Władysława zrozumiał, jak to się stało, że napastnicy działali z taką precyzją i oddaniem. Zaporoskanin musiał dowiedzieć się w przeciągu paru minut o śmierci Viraty i natychmiast przejął po nim dowodzenie.

— Niosą drabiny — rzekł Antar.

Conan spojrział w ciemność. W słabym świetle lampionów zauważył grupki wojowników niosących

trzy długie drabiny. Wszedł do zbrojowni i kiedy ponownie zjawił się na balkonie, był uzbrojony we włócznię.

Dwóch ludzi trzymało drabinę przy samej ziemi, podczas gdy dwóch innych podnosiło ją do góry, trzymając drabinę wysoko, nad głowami. Jej końce uderzyły głucho o podstawę balkonu.

— Cofnijcie się! — warknął Conan. — Ja się tym zajmę! Oczekał, aż na drabinie znalazło się paru Hyrkańczyków.

Idący na przdzie był zwałistym, ogorzałym osiłkiem, uzbrojonym w topór. Kiedy zamachnął się trzymaną w ręce bronią, aby rozbić drewnianą osłonę w drzazgi, Conan przełożył włócznię przez otwór w kracie, wbił ją w górny szczebel drabiny i pchnął z całej siły. Drabina przechyliła się w tył. Stojący na niej ludzie wrzasnęli przeraźliwie, upuszczając broń i chwytając się kurczowo szczebli. W chwilę potem zarówno drabina, jak i znajdujący się na niej wojownicy znaleźli się na ziemi przed szeregi obiegających.

— Chodź tu! Przynieśli drugą! — krzyknął Zuagir, a Conan pospieszył w stronę drugiego balkonu, by odepchnąć od niego kolejną drabinę. Trzeciej nie zdążono nawet przystawić, kiedy celnie posłane strzały przeszły dwóch niosących ją wojowników. Upadła na ziemię i tak już pozostała.

— Strzelajcie dalej! — ryknął Conan odkładając włócznię i napinając swój wielki łuk.

Nieustanny deszcz strzał, na który nie było praktycznie żadnego efektywnego odzewu osłabił morale obiegających wieżę wojowników. Zaczęli opuszczać plac wokół potężnej budowli, szukając schronienia, a Zuagirowie przeraźliwie wyjąc, ślali za nimi strzałę za strzałą.

W parę chwil później ogród był pusty, jeżeli nie liczyć zabitych i umierających, choć Conan raz po raz dostrzegał poruszenie na pobliskich murach i dachach okolicznych domów.

Conan ponownie znikł w zbrojowni i wszedł po schodach na górę. Minął kilka komnat pełnych wszelkiego rodzaju broni, aż w końcu dotarł do magicznego laboratorium Magusa.

Pobieżnie przejrzał znajdujące się tam zakurzone manuskrypty, dziwaczne instrumenty i diagramy, po czym udał się na najwyższy punkt wieży — platformę obserwacyjną.

Z tego miejsca był w stanie w pełni oszacować położenie, w jakim się znaleźli. Pałac ze wszystkich stron (oprócz północy — bo od tamtej strony otaczał go szeroki dziedziniec) okolony był pasmem ogrodów. Wszystkie one były ogrodzone wewnętrznym murem. Mur ogradzał je zarówno od zewnątrz — gdzie był najwyższy — jak i wewnątrz, tworząc formację przypominającą nieco koło ze szprychami. Ogród, w którym obecnie byli, znajdował się po północno—zachodniej stronie pałacu, blisko dziedzińca, od którego oddzielał go wysoki mur.

Druga ściana dzieliła go od kolejnego ogrodu na zachodzie. Zarówno ten ogród, jak i Ogród Wieży leżały poza Rajskim Ogradem, który znajdował się na terenie pałacu i odgradzony murami, tworzył wewnątrz niego swoistą enklawę.

Conan spojrział w dół, na dachy miasta. Najbliższy dom znajdował się o niecałe trzydzieści kroków

od muru. Wszędzie: w pałacu, w ogrodach i w przyległych domach paliły się światła.

Hałas — krzyki, jęki, przekleństwa i szczęk broni — ucichł prawie zupełnie. W tej samej chwili zza muru dobiegł donośny głos Olgierda Władysława: — Czy jesteście gotowi się poddać, Conanie?

Conan wybuchnął śmiechem.

— Chodź i weź nas!

— Zrobię to, o świcie — zapewnił go Zaporoskanin. — Już jesteś martwy, Conanie.

— To samo powiedziałeś, kiedy zostawiłeś mnie w wąwozie diabelskiej małpy, ale, jak widzisz, udało mi się ją pokonać i nadal żyję!

Conan mówił po hyrkańsku. Ze wszystkich stron dały się słyszeć okrzyki gniewu i niedowierzania. Ciągnął dalej:

— Olgierdzie, czy Yezmici wiedzą, że Magus nie żyje?

— Wiedzą, że Olgierd Władysław jest prawdziwym władcą Yanaidar i zawsze tak było!

Nie wiem, jak ci się udało zabić małpę i jak wydostałeś te Zuagirskie psy z ich cel, ale nim słońce wzejdzie, twoja skóra zawisnie na murach pałacu!

Zza murów dobiegły dziwne odgłosy. Olgierd krzyknął: — Słyszysz to, ty cymeryjska świnio? Moi ludzie budują helepolis — wieżę bojową na kołach, wewnątrz której zmieści się pięćdziesięciu ludzi i wasze strzały nic im nie zrobią. O

świcie podtoczymy ją do wieży i zdobędziemy ją. I to będzie twój koniec, psie!

— Zrób to. Wyrzniemy wszystkich, którzy przybędą do nas tą twoją machiną.

Zaporoskanin odpowiedział szyderczym śmiechem i tym samym pertraktacje dobiegły końca. Conan zastanawiał się, czy gdyby wraz ze swoimi ludźmi zaryzykowali gwałtowny szturm, udałoby im się wydostać z Yanaidar, ale po chwili namysłu odrzucił tę ewentualność jako nierealną. Mury ogrodu były gęsto obsadzone ludźmi Olgierda i tego typu próba byłaby zwyczajnym samobójstwem. Forteca stała się więzieniem.

Conan przyznał w duchu, że jeżeli Kushafijczycy nie zjawią się na czas, zarówno jego, jak i jego ludzi (pomimo środków, jakimi dysponowali) czeka niechybna śmierć.

Z oddali bez przerwy dobiegał odgłos niewidzialnych młotów. Nawet jeżeli Kushafijczycy przybędą o świcie, może już być za późno. Yezmici będą musieli rozbić fragment ogrodowego muru, aby wprowadzić do środka machinę bojową, ale to nie mogło im zająć zbyt wiele czasu.

Zuagirowie nie podzielali zatroskania swego przywódcy. Stoczyli wspaniałą, chwalebnią bitwę, zajęli silną pozycję strategiczną, mieli doświadczonego przywódcę, którego darzyli szacunkiem i tyle

bronii, ile dusza zapagnie. Czegóż więcej mógł żądać wojownik?

Zuagir z raną od miecza umarł z nadejściem świtu. Conan obrzucił spojrzeniem swój żaloszny oddział. Zuagiiowie tłoczyli się na balkonie, wyglądając spoza krat, podczas gdy zmęczona Nanaja spała na podłodze, pod przykryciem z jedwabiu. Odgłos młotów ucichł.

Teraz, w ciszy, Conan słyszał zgrzyt olbrzymich kół. Nie widział jeszcze molocha, którego zbudowali Yezmici, ale widział czarne sylwetki ludzi na dachach domów znajdujących się za pobliskim murem. Spojrzał dalej ponad dachami i koronami drzew, w stronę północnego krańca płaskowyżu. Pośród umocnień wzniesionych na skałach nie zauważył żadnych oznak życia. Widać strażnicy, nie zniechęceni losem Antara i swych poprzedników, opuścili posterunki i postanowili wziąć udział w walce w pałacu. Jednak w bladym świetle świtu Conan dostrzegł grupkę dwunastu ludzi rozstawionych przy drodze wiodącej ku Schodom.

Olgierd nie zostawiłby tego odcinka nie strzeżonego.

Conan obrócił się do swoich sześciu Zuagirów. Sponad zmierzwionych bród wpatrywały się w niego spokojnie ich przekrwione oczy.

— Kushafijczycy nie przybywają — powiedział. — A teraz Olgierd wyśle przeciwko nam swoich oprawców, ukrytych pod osłoną wielkiej maszyny bojowej na kołach. Wejdą na górę po drabinach, w które jest zapewne zaopatrzona i wedrą się do wieży. Zabijemy wielu spośród nich, a potem umrzemy.

— Taka jest wola Hanumana — odparli. — Będziemy walczyć aż do śmierci.

Na ich twarzach, kiedy sięgali po broń, pojawiły się złowieszcze, wilcze uśmiechy.

Conan wyjrzał na zewnątrz i zobaczył maszynę bojową przejeżdżającą z turkotem przez dziedziniec. Była to olbrzymia budowla z drewna, brązu i żelaza, zaopatrzona w potężne koła, od rydwanu. Z powodzeniem mogło się za nią ukryć pięćdziesięciu ludzi. Ściany maszyny osłaniały ich przed ostrzałem oblężonych. Kolos dotoczył się do ściany i znieruchomiał. W

chwile potem kowalskie młoty zaczęły rozłupywać mur.

Hałas obudził Nanaję. Usiadła przecierając oczy, rozejrzała się wokoło i podbiegła z krzykiem do Conana.

— Cicho. Jeszcze ich pokonamy — powiedział ochryple, wbrew temu, co naprawdę myślał. Teraz jedyną rzeczą, jaką mógł dla niej zrobić, było stać u jej boku w ostatniej walce i być może skończyć jej cierpienia litościwym ciosem miecza.

— Mur pęka — wymamrotał Zuagir o oczach rysia, wyglądając spoza krat balkonu. — Wala młotami, aż się kurzy. Niebawem powinniśmy zobaczyć robotników.

Z naruszonej ściany zaczęły wypadać kamienie. W chwile później odpadł z hukiem cały fragment

mur. Kilku mężczyzn podbiegło do otworu, wybrało z niego kamienie i odniosło je na bok. Conan napiął swój mocny hyrkański łuk i posłał strzałę w szczelinę. Trafiony Yezmita upadł na ziemię, krzycząc przeraźliwie i wijąc się z bólu. Pozostali odciągnęli rannego w bezpieczne miejsce i ponownie zabrali się do oczyszczania przejścia. Za nimi pojawiła się wieża bojowa, której załoga poganiała niecierpliwie robotników pracujących przy usuwaniu gruzów, nawołując, aby się pospieszyli i pozwolili im przejechać. Conan słał

strzałę za strzałą w skłębioną ludzką masę przy murze. Niektóre z nich odbijały się od kamieni, niektóre jednak odnajdywały ludzkie cele. Przerażeni robotnicy usiłowali przerwać prace przy murze, ale złowieszczy ton głosu Olgierda natychmiast zmuszał ich do powrotu.

Kiedy weszło słońce, a na dziedzińcu zaczęły się kłaść długie cienie, robotnicy wykonali swoje zadanie i usunęli ostatnie kawałki gruzu z otworu w murze. W chwilę potem, przy wtórze okropnego pisku i zgrzytu olbrzymia machina bojowa zaczęła zbliżać się do wieży.

Cięciwy łuków Zuagirów zagrały jęklonie, ale strzały nie były w stanie przebić grubych ścian kolosa. Machina dorównywała wysokością poziomowi, na którym znajdowali się oblężeni, a z tyłu miała zamocowane drabiny. Kiedy dotrze do wieży, Yezmici wejdą na górną platformę pojazdu i pokonawszy drewniane okratowanie balkonu, wdrą się do pomieszczenia zajmowanego przez Conana i jego ludzi.

— Walczyliście dzielnie — rzekł Conan, zwracając się do Zuagirów. — Zakończymy ten bój zabierając ze sobą tylu Yezmitów, ilu tylko zdołamy. Zamiast czekać, aż dostaną nas tutaj, sami rozbijemy kratę balkonu, wdrzemy się na platformę ich maszyny i wyprzemy z niej Yezmitów. Potem zabijemy tych, którzy będą próbowali dostać się na górę po drabinach.

— Staniemy się łatwym celem dla ich łuczników — zauważył Antar.

Conari wzruszył ramionami, a na jego ustach pojawił się ironiczny uśmiezek.

— Ale zanim to nastąpi, nieźle się z nimi zabawimy. Wyślij ludzi do zbrojowni, żeby uzbroili się we włócznie. Niech wybiorą najlepsze. Poza tym widziałem tam również tarcze.

Niech wezmą je ci, którzy będą nas osłaniać z flank.

W chwilę potem naprzeciw Conana stanęło sześciu Zuagirów uzbrojonych we włócznie.

Sam Cymeryjczyk wybrał dla siebie potężny topór bojowy. Czekał, gotowy do rozrąbania paroma ciosami drewnianej kraty balkonu i poprowadzenia szturm na platformę maszyny oblężniczej. Im krótszy stawał się dystans dzielący ją od wieży, tym głośniejsze były okrzyki triumfu wojowników ukrytych za drewnianymi osłonami pojazdu bojowego.

I wtem, gdy machina znajdowała się w odległości kilku rów od balkonów wieży, kolos zatrzymał się.

Rozległ się ryk trąb, gwar głosów przybrał na sile i nieoczekiwanie wojownicy ukryci na tyłach wieży zaczęli się wycofywać. Jeden po drugim znikali bezszelestnie w wykutym przez Yezmitów otworze w murze.

ZGUBA YANAIDAR

— Na Croma, Mitrę i Asurę! — ryknął Conan rzucając swój topór. — Te psy nie mogą uciec, nie zaznawszy smaku własnej krwi!

Krążył w tę i z powrotem po balkonie, próbując dostrzec, co się dzieje, ale masywna wieża bojowa zasłaniała mu widok. Wpadł jak burza do zbrojowni i wbiegł po krętych schodach na platformę obserwacyjną. Wyrżał od północnej strony, ponad dachami Yanaidar na drogę ciągnącą się w dal w bladym świetle świtu. Wzdłuż owej drogi biegło sześciu ludzi. Za nimi przez linię fortyfikacji na skraju płaskowyżu przedzierał się dziki tłum brodatych postaci.

Ciszę panującą w mieście przerwały wściekłe okrzyki. Conan usłyszał też znany mu już, tajemniczy odgłos bębnów. W tej sytuacji jednak nie wzruszyłoby go nawet, gdyby wszystkie demony Piekieł rozpoczęły pod ziemią upiorny koncert na bębnach.

— Balash! — krzyknął.

Po raz drugi nieostrożność strażników przy Schodach okazała się dlań zbawienna.

Kushafijczycy weszli po niestrzeżonych Schodach i dopiero gdy znaleźli się na górze, napotkali oddział straży, ale poradziło im się z nim bez trudu.

Napastników było więcej niż mieszkańców wioski Kushafi i Conan z uczuciem przepełniającej go radości dostrzegł, że niektórzy spośród nich mieli na sobie czerwone, jedwabne kozackie spodnie.

W Yanaidar zaskoczenie i ośpienie ustępowały miejsca gwałtownemu działaniu. Ludzie na dachach krzyczeli i wybiegali na ulice. Wieści o napaści rozchodziły się w zaskakującym tempie.

Conan wcale się nie zdziwił, kiedy w parę sekund później usłyszał krótkie, ostre komendy wykrzykiwane przez Olgierda.

Niebawem na dziedzińcu zaroilo się od ludzi. Wybiegali z okolicznych domów, ogrodów i pałacu. Conan dostrzegł Olgierda zmierzającego wraz z oddziałem uzbrojonych Hyrkańczyków w dół ulicy. Na czele oddziału szedł Zahak w błyszczącym hełmie z piórami.

Tuż za nimi spieszyły setki Yezmitów, którzy jak na koczowników zachowywali całkiem niezły szyk bojowy. Widocznie Olgierd zdołał ich wprowadzić w arkana cywilizowanej sztuki wojennej.

Szli żwawo, jakby chcieli wyjść na równinę i zewrzeć się w boju z nadciągającymi hordami Kushafijczyków, ale przy końcu ulicy rozpierzchli się, kryjąc się w ogródkach i okolicznych domach.

Kushafijczycy wciąż jeszcze byli daleko i nie mogli widzieć tego, co działo się w mieście.

Zanim dotarli do miejsca, z którego byli w stanie zobaczyć główną ulicę, nie było już na niej żywej

duszy. Conan jednak ze swego punktu obserwacyjnego widział ogrody na północno wschodnim końcu miasta, w których roilo się od złowieszczych sylwetek. Kushafijczycy zmierzali prosto w pułapkę, podczas gdy on nie był w stanie im pomóc. Z ust Cymeryjczyka dobiegł zduszony jęk.

Zdyszany Zuagir wbiegł po schodach i zatrzymał się obok Conana, wiążąc prowizoryczny opatrunek wokół zranionego nadgarstka. Mówił przez zęby, zaciągając węzeł szmaty: — Czy to twoi przyjaciele? Ci głupcy idą prosto na śmierć.

— Wiem — jęknął Conan.

— Wiem, co się stanie. — Kiedy byłem strażnikiem w pałacu, słyszałem, jak Tygrys obmyślał ze swoimi oficerami plan obrony. Widzisz ten ogród na końcu ulicy, po wschodniej stronie? Ukrywa się tam pięćdziesięciu wojowników. Po drugiej stronie ulicy znajduje się ogród zwany Stygijskim. Tam również ukrywa się pięćdziesięciu zbrojnych. W pobliskim domu aż roi się od żołnierzy, podobnie jak w tych trzech domach naprzeciwko.

— Czemu mi to mówisz? Widzę te psy kryjące się w ogrodach i na dachach.

— Tak, panie. Wojownicy w sadzie i ogrodach będą czekać, dopóki Ilbarowie nie miną ich pozycji i nie znajdą się pomiędzy domami. Wówczas łucznicy z dachów zasypią Kushafijczyków gradem strzał, a zbrojni zaatakują ich z flank. Wybiją ich do nogi.

— Gdybym tylko mógł ich ostrzec! — mruknął Conan. — Chodź, idziemy na dół.

Zbiegł po schodach i zakrzyknął do Antara i pozostałych Zuagirów: — Ruszamy w bój!

— Siedmiu przeciwko siedmiuset? — spytał Antar. — Nie chcę krakać, ale...

Conan w paru słowach opowiedział mu, co zobaczył ze szczytu wieży.

— Jeśli uda się nam zaatakować Yezmitów od tyłu, kiedy Olgierd przejdzie do natarcia, to być może zdołamy przechylić szalę zwycięstwa na naszą stronę. Nie mamy nic do stracenia, bo jeżeli Olgierd zniszczy moich przyjaciół, wróci tu i zabierze się za nas.

— Ale w jaki sposób będziemy się odróżniać od tych yezmickich łajdaków? — naciskał

Zuagir. — Twoi ludzie najpierw nas wyrzną, a dopiero potem będą sprawdzać, kogo uśmiercili.

— Chodźmy — rzekł Conan. W zbrojowni wyszukał kilkanaście srebrzonych łuskowatych pancerzy i starych brązowych hełmów z długimi kitami z końskiego włosia, jakich nie spotykało się w Yanaidar.

— Nałóżcie je. — Trzymajcie się razem, krzycie głośno „Conan!”, a wszystko będzie w porządku.

— Sam również wybrał dla siebie jeden z hełmów.

Zuagirowie narzekali na ciężar pancerzy i skarżyli się, że hełmy utrudniają im widoczność; szerokie płytki policzkowe hełmów zasłaniały ich twarze niemal w całości.

— Nałóżcie je! — ryknął Conan. — To prawdziwy bój, a nie jakaś pustynna potyczka.

Będziecie walczyć w jednym, konkretnym miejscu, a nie uderzać i uciekać. To poważna sprawa. A teraz poczekajcie tu, dopóki was nie wezwę.

Ponownie wszedł na szczyt wieży. Wolni Towarzysze i Kushafijczycy maszerowali drogą zwartymi grupkami. W chwilę potem zatrzymali się. Balash był zbyt sprytny, aby pochopnie zapuszczać się pełnymi siłami na nieznaną tereny. Kilku ludzi odłączyło się od grupy i ruszyło w stronę miasta na zwiady. Zniknęli pomiędzy budynkami, ale ich nieobecność nie trwała długo. Wracali w pośpiechu, biegnąc co sił w nogach w stronę reszty grupy. Za nimi w luźnym szyku pędziła co najmniej setka Yezmitów.

Najeźdźcy sformowali linię obrony. Słońce załśniło na grotach strzał, które przeszły niebo. Paru Yezmitów padło, pozostali zaś starli się z Kushafijczykami i kozakami. Przez chwilę trwała zażarta walka. Nie sposób było dostrzec szczegółów. Tu i ówdzie błysnął

miecz, raz po raz dał się słyszeć przeraźliwy krzyk konających. W pewnym momencie Yezmici ustąpili pola i wycofali się w stronę domów. Tak jak Conan przypuszczał, najeźdźcy ruszyli ich śladem, wyjąc niczym spragnione krwi demony. Wiedział, że setka Yezmitów miała za zadanie wciągnąć jego ludzi w pułapkę. Olgierd nigdy nie wysłałby tak nielicznej grupy do prawdziwego boju.

Podążali środkiem ulicy. Balash robił, co mógł, aby zmusić swych spragnionych walki ludzi do utworzenia zwartej formacji i wreszcie jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem.

Najeźdźcy docierali do końca ulicy.

Zanim tam dotarli (dystans między nimi a ostatnim z Yezmitów wynosił pięćdziesiąt kroków), Conan zbiegł po schodach na dół.

— Teraz! — krzyknął. — Nanaja, zamknij za nami drzwi i nie wychodź stąd!

Zbiegli po schodach na parter, wybiegli z wieży, przemknęli przez ogród i wydostali się przez otwór w murze. Nikt nie stanął im na drodze. Olgierd musiał odwołać z pałacu wszystkich, którzy byli w stanie walczyć.

Antar poprowadził ich do pałacu. Opuścili budynek głównym wejściem. Kiedy wyszli z pałacu, tuzin Hyrkańczyków Olgierda zadał w długie trąby z brązu, dając Yezmitom sygnał

do natarcia. Zanim Conan i Zuagirowie znaleźli się na ulicy, walka rozgorzała na dobre.

Cymeryjczyk widział plecy potężnych Yezmitów ścierających się z najeźdźcami, wylewających się na ulice niczym morze żywej lawy, podczas gdy łucznicy zajmujący pozycje na dachach okolicznych domów ślali strzałę za strzałą w skłębioną masę ludzkich ciał.

Conan w milczeniu poprowadził atak na tyły formacji Yezmitów. Ci nawet nie przypuszczali, co się święci, póki ostrza włóczy Zuagirów nie przeszły kilkunastu z nich.

Kiedy padły pierwsze ofiary, pustynni Shemici wyrwali włócznie z ciał zabitych i ruszyli do ataku, dźgając, kłując i pchając, podczas gdy idący środkiem ławy Conan wymachiwał dokoła swoim bojowym toporem, rozłupując czaszki, rozrąbując korpusy, miażdżąc pancerze. Gdy włócznie pękały lub klinowały się tak, że nie sposób ich było wyrwać z ciał Yezmitów, Zuagirowie dobywali mieczy. Natarcie Conana było tak gwałtowne i bezlitosne, że każdy z członków jego małego oddziału uśmiercił co najmniej po trzech Yezmitów, nim pozostali zorientowali się, że zaatakowano ich tyły. A kiedy rozejrzeli się wokoło i zobaczyli straszliwie okrwawione ciała i niewielki oddział w nietypowych zbrojach, zaczęli się wycofywać krzycząc przeraźliwie. W ich wyobraźni siedmiu rozszalałych, atakujących bezlitośnie wojowników zdawało się być potężną armią. — Conan! Conan! — zawyli Zuagirowie. Na ten okrzyk osaczeni Kushafijczycy jakby odzyskali siły i wiarę w siebie.

Tylko dwóch ludzi dzieliło Conana od jego oddziału. Jeden padł od ciosu ścierającego się z nim kozaka. Drugi otrzymał tak silny cios toporem Conana, że ostrze nie tylko rozłupało hełm i znajdującą się pod nim czaszkę, ale wskutek uderzenia pękła również rękojeść topora.

Kiedy Conan i kozacy stanęli naprzeciw siebie, zapanowała długa, niepokojąca chwila niepewności. Conan zdjął swój hełm, odsłaniając ogorzałe oblicze.

— Do mnie! — ryknął, przekrzykując panujący wokoło hałas. — Rozbijmy w pył

łajdaków!

— To Conan! — krzyknął najbliższy z Wolnych Towarzyszy i pozostali podchwycili jego wołanie.

— Dziesięć tysięcy sztuk złota za głowę Cymeryjczyka! — rozległ się ostry głos Olgierda Władysława.

Szczęk oręża przybrał na sile, podobnie jak chór okrzyków, przekleństw, gróźb, wrzasków i jęków. Bitwa zaczęła się rozбивać na setki pojedynczych starć i potyczek pomiędzy małymi grupkami. Walczący kłębili się na całej długości ulicy, deptając zabitych i rannych. Wdzierali się do domów, niszcząc znajdujące się wewnątrz sprzęty, wbiegali po schodach na dachy, gdzie Kushafijczycy i kozacy w błyskawicznym tempie likwidowali rozstawionych tam łuczników, a potem zbiegali na dół, by ponownie włączyć się do walki.

Przy tego typu starciach nie sposób było mówić o jakimkolwiek planowym działaniu — nie było mowy o wykonywaniu czy wydawaniu rozkazów. Była to po prostu bezlitosna, krwawa jatka — walka na krótki dystans, której uczestnicy broczyli po kostki w kałużach krwi. Skłębiona, zmieszana nie do poznania masa walczących przeniosła się z ulic Yanaidar do ogrodów i alejek. Nie sposób było określić, po czyjej stronie znajduje się przewaga. Nikt nie wiedział, jak przedstawiała się ogólna sytuacja. Każdy z walczących martwił się tylko i wyłącznie o swoją skórę i robił co mógł, aby ją uratować. Liczyło się tylko jedno — przeżyć.

Albo zabijałeś, albo zostawałeś zabity. Nikt nie interesował się tym, co działo się poza nim.

Conan nie tracił oddechu na przekrzykiwanie panującego wokół niego gwaru i wydawanie rozkazów. Musiał na razie zapomnieć o strategii i taktyce. W tej walce o zwycięstwo decydowała zaciętość i

siła mięśni walczących. Uwięziony w kłębowisku wyjących szaleńców nie mógł robić nic innego, jak tylko rozłupać tyle czaszek i wypruć tyle wnętrzności, ile tylko zdoła, pozostawiając decydowanie o swoim losie bogom.

I nagle, jak mgła rozwiana gwałtownym podmuchem wiatru, szeregi walczących zaczęły rzednąć. Skłębione masy rozdzielały się na mniejsze, kilkunastoosobowe grupki. Tu i ówdzie przemykały pojedyncze postacie. Conan zrozumiał, że jedna ze stron zaczęła ustępować pola.

Yezmici wycofywali się z wolna. Szaleństwo spowodowane przez narkotyki, którymi naszpikowali ich przywódcy, powoli mijało.

W tej chwili Conan zobaczył Olgierda Władysława. Hełm i pancerz Zaporoskanina był

pogięty i zbryzgany krwią, ubranie zwisało w strzępach, a potężne mięśnie ramion napinały się i rozluźniały gwałtownie, gdy wojownik wymierzał szybkie jak błyskawica ciosy swoją szablą. Jego szare oczy błyszczały, a na ustach igrał delikatny uśmiezek. U jego stóp leżało trzech zabitych Kushafijczyków. Szabla Olgierda ścierała się z pół tuzinem ostrzy na raz. Z

prawej i lewej strony otaczały go sylwetki odzianych w kolczugi Hyrkańczyków i skośnookich Khitajczyków w skórzanych kubrakach walczących pierś w pierś z dzikimi koczownikami z Kushaf.

Conan zobaczył też po raz pierwszy Tubala, który niczym rozsierdzony bawół przedzierał

się wściekle przez ciżbę walczących, śląc na prawo i lewo potężne razy. Dostrzegł również Balasha. Walczył jak szatan, unurzany od stóp do głów we krwi. Conan zaczął przedzierać się przez tłum, zmierzając w stronę Olgierda.

Olgierd roześmiał się z dzikim błyskiem w oku, kiedy zobaczył idącego ku niemu Cymeryjczyka. Krew ściekała po kolczudze Conana i spływała drobniutkimi strumyczkami po masywnych, opalonych ramionach. Jego nóż aż po rękojeść był skąpany w szkarłacie.

— Przybądź i umrzyj, Conanie! — krzyknął Olgierd. Conan zaatakował jak prawdziwy kozak — gwałtownie i błyskawicznie. Olgierd wybiegł mu na spotkanie i w chwilę potem dwaj wojownicy zwarli się w walce. Walczyli jak kozacy. Obaj atakowali równocześnie, a ich ciosy były zbyt szybkie, aby można było śledzić je wzrokiem.

Otoczający ich zdyszani, okrwawieni wojownicy zaprzestali walki, by zobaczyć pojedynek przywódców. Stawką w walce był los Yanaidar.

— A! — rozległ się okrzyk z setek gardeł, kiedy Conan potknął się i na chwilę stracił

kontakt z ostrzem Zaporoskanina.

Olgierd wrzasnął przeciągle i zamachnął się mieczem. Zanim zdążył uderzyć albo przynajmniej zdać sobie sprawę, że Cymeryjczyk go oszukał, długi nóż wiedziony potężną siłą stalowych mięśni Conana przebił jego napierśnik i dosięgnął serca. Olgierd umarł, zanim jeszcze upadł na ziemię. Ostrze noża wysunęło się z rany, a kozak runął na ziemię.

Kiedy Conan wyprostował się, by rozejrzeć się wokoło, z oddali dobiegł go nowy krzyk, inny niż ten, który spodziewał się usłyszeć, gdyby jego ludzie rozbili doszczętnie siły Yezmitów. Uniósł wzrok i zobaczył nowy oddział zbrojnych, zmierzający ulicą w ich stronę.

Szli zwartym, bojowym szykiem, likwidując wszystkich, którzy stanęli im na drodze. Kiedy podeszli bliżej, Conan rozpoznał złotą zbroję i charakterystyczny hełm z pióropuszem, należący do królewskiej gwardii Iranistanu. Potężny Gotarza swoją wielką szablą kosił

zarówno Yezmitów, jak i kozaków.

W mgnieniu oka sytuacja przybrała zupełnie inny obrót. Niektórzy Yezmici uciekali.

Conan krzyknął:

— Do mnie, kozacy! — i jego oddział natychmiast znalazł się tuż obok. Otoczyli go zarówno kozacy, jak Kushafijczycy, a nawet kilkunastu Yezmitów. Ci ostatni przyłączyli się do Conana, uznawszy, że jest on jedynym człowiekiem, jaki może stawić czoła wrogowi, który nieoczekiwanie pojawił się w mieście. Zaprzestali walki z Kushafijczykami i kozakami i stanęli u ich boku z mieczami w dłoniach.

Conan znalazł się oko w oko z Gotarzą, który torował sobie drogę ciosami, które z powodzeniem mogłyby rozłupać dorodne dębczaki. Ostrze miecza Conana przecięło powietrze tak szybko, że nie sposób było podążyć za nim wzrokiem, ale Iranistańczyk również był wprawnym szermierzem. Krew z długiej rany na czole ściekała wąską strużką po policzku Gotarzy, a i na ramieniu Conana pojawiła się szkarłatna plama. Szabla Iranistańczyka rozcięła jego kolczugę i dosięgła ciała wykreślając na nim krwawą bruzdę.

Ostrza brzęczały i krzesaly iskry, ale żaden z walczących nie był w stanie znaleźć luki w obronie przeciwnika. W tej samej chwili odgłosy trwającej tu i ówdzie walki zmieniły się w okrzyki przerażenia. Wojownicy opuszczali w popłochu pole walki i pędzili co sił w nogach w stronę schodów.

Conan, popchnięty przez któregoś z uciekających, znalazł się nagle tuż przy Gotarzy.

Zwarli się w walce wręcz. Conan otworzywszy usta do krzyku przekonał się, że ma w nich pęk włosów z gęstej czarnej brody Gotarzy. Wypluł je i wrzasnął: — Co się tu dzieje, do diabła, ty pałacowy sługusie?

— Prawdziwi władcy Yanaidar wrócili — krzyknął Gotarza. — Spójrz, świnió!

Conan podjął ryzyko i odwrócił głowę. Ze wszystkich stron nadciągały hordy potwornych szarych istot o bezdusznych, nieruchomych oczach i zniekształconych psich szczękach.

Atakowały wszystkich, którzy stanęli im na drodze, a potężne dłonie stworów zaopatrzone w długie szpony rozdzierały ich ofiary na strzępy. Wojownicy siekli mieczami na prawo i lewo, a potworne przerażenie jeszcze bardziej wzmagalo ich siłę, lecz trupia skóra stworów zdawała się być nieczuła na ciosy. Kiedy jeden stwór padał, na jego miejsce pojawiały się zaraz trzy inne.

— Gule z Yanaidar! — wyszeptał Gotarza. — Musimy uciekać. Daj słowo, że nie zaatakujesz mnie, dopóki się stąd nie wydostaniemy, a ja zrobię to samo. Nasze rachunki możemy uregulować później.

Napór uciekinierów zbił ich obu z nóg. Conan poczuł czyjaś stopę na swoim karku. Z

potwornym wysiłkiem poderwał się na kolana, a potem wstał, waląc na prawo i lewo pięściami i łokciami, aby zapewnić sobie choć odrobinę wolnej przestrzeni. Przez chwilę w ogóle nie był w stanie oddychać. Grupa uciekinierów biegła na północ wzdłuż drogi prowadzącej do Schodów. Biegli spodem, Yezmici, Kushafijczycy i kozacy, złączeni jednym celem: walką o przetrwanie w obliczu nowego, nieludzkiego wroga, który wypełził z podziemi Yanaidar. Pośród wojowników były kobiety i dzieci. Po bokach drogi roiły się zastępy guli, które jak wielkie szare wszy rzucały się na każdego, kto choć na chwilę oderwał się od grupy uciekających.

Przedzierając się przez tłum biegnących, Conan natknął się nagle na Gotarzę walczącego z czterema gulami na raz. Stracił swój miecz, ale schwycił dwa stwory za gardło, podczas gdy trzeci wczepił mu się w udo, a czwarty krążył wokół niego, wyczekując dogodnej chwili, by móc rzucić mu się z pazurami do gardła.

Conan jednym cięciem noża przeciął pierwszego gula na pół, a kolejnym pozbawił

drugiego głowy. Gotarza odrzucił daleko od siebie stwory, które miażdżył w dłoniach i w tej samej chwili inne rzuciły się na Conana. Zalały go niczym fala, szarpiąc i gryząc. Przez ułamek sekundy wydawało się nawet, że Cymeryjczyk nie utrzyma się na nogach. Jak przez mgłę i widział Gotarzę, który uwolnił go od jednego ze stworów i cisnął nim o ziemię, a drugiego przygniótł stopą. Rozległ się głuchy trzask miażdżonych żeber. Conan dźgnął nożem trzeciego — ostrze pękło, więc Cymeryjczyk uderzył kolejnego rękojeścią i zgruchotał mu czaszkę.

Potem znów zerwał się do biegu i przyłączył do grupy. Wypadli przez bramę w olbrzymim murze i zbiegając po schodach pokonywali wąskie, strome przejścia, by w końcu znaleźć się w wąwozie. Gule ściagały ich aż do bram miasta, powalając jednego wojownika za drugim.

Kiedy ostatni z uciekających znalazł się za bramą, gule wycofały się. Wróciły do pozłaczanych ogrodów i na ulice miasta, gdzie małe grupki ich pobratymców tłoczyły się już wokół

leżących tam zwłok i toczyły zażarty bój o każdy kawałek ich ciał.

W wąwozie zmęczeni uciekinierzy porozkładali się na ziemi, jakby nie zdając sobie sprawy z obecności wrogów. Niektórzy oparli się plecami o kamienie i skalne ściany.

Większość była ranna. Wszyscy byli poplamieni krwią, brudni, mieli przekrwione oczy, odzież w strzępach, a pancerze pogięte i podziurawione. Wielu straciło swoją broń. Spośród setek wojowników, którzy o świcie stanęli do bitwy w Yanaidar, na dno wąwozu dotarła ledwie połowa. Przez dłuższy czas jedynymi odgłosami były ciężkie, przyspieszone oddechy, jęki rannych, odgłos odzieży dartej na prowizoryczne bandaże i, raz po raz, szczęk broni uderzającej przypadkowo o kamienie, kiedy któryś z wojowników poruszył się gwałtowniej.

Conan, choć przez całe poprzednie popołudnie walczył, uciekał i wspinał się po górach, jako jeden z pierwszych znów był na nogach. Ziewnął, przeciągnął się i skrzywił, kiedy rany dały mu o sobie znać, a potem ruszył, aby zebrać swoich ludzi. Z oddziału Zuagirów odnalazł

tylko trzech, łącznie z Antarem. Odnalazł również Tubala, ale nigdzie nie widział Codrusa.

Po drugiej stronie wąwozu Balash, siedząc na ziemi z nogą owiniętą bandażami, słabym głosem wydawał rozkazy swoim ludziom. Gotarza zbierał swój oddział. Yezmici, którzy ponieśli największe straty, krążyli po wąwozie jak zagubione owce, popatrując z przerażeniem w oczach na członków pozostałych grup.

— Zabiłem Zahaka własnoręcznie — wyjaśnił Antar — więc nie mają żadnego wyższego oficera, który by nimi dowodził.

Conan zbliżył się do miejsca, w którym leżał Balash.

— Jak się masz, stary wilku?

— No cóż, nieźle, choć nie mogę chodzić bez pomocy. A więc jednak stare legendy okazały się prawdziwe! Gule rzeczywiście nie chcą, aby ktokolwiek zamieszkał w ich pałacu i co jakiś czas opuszczają swoje podziemne kryjówki, aby rozedrzeć na strzępy wszystkich, którzy ośmielili się osiaść na tym terytorium. — Wzdrygnął się. — Nie sądzę, aby w najbliższym czasie ktoś próbował ponownie odbudować miasto.

— Conanie! — krzyknął Gotarza. — Musimy się rozmówić.

— Jestem gotowy — rzekł ochryple Conan. Po czym dorzucił, zwracając się do Tubala: — Zbierz ludzi i uformuj szyk tak, aby ci najlżej ranni i dobrze uzbrojeni znaleźli się w pierwszych szeregach.

Potem ruszył na drugą stronę wąwozu i zatrzymał się w połowie drogi pomiędzy jego własnym oddziałem i ludźmi Gotarza. Ten ostatni zbliżył się ku niemu i rzekł: — Nadal obowiązuje mnie rozkaz sprowadzenia ciebie i Balasha do Anshanu. Żywych lub martwych.

— No to spróbuj — stwierdził zuchwale Conan.

Z tyłu dobiegł ich głos Balasha:

— Jestem ranny, ale jeżeli spróbujesz mnie pojmać, moi ludzie pogonią ciebie i waszych ludzi przez te góry, dopóki wszyscy nie wyzioniecie ducha.

— Odważna groźba, ale po kolejnej bitwie nie starczyłoby ci ludzi — zauważył Gotarza.

— Wiesz, że inne szczepy wykorzystająby twą słabość, aby spalić waszą wioskę i uprowadzić wasze kobiety. Król rządzi Ilbarami, bo ilbarskie szczepy nigdy się nie zjednoczyły i nigdy się nie zjednoczą.

Balash milczał przez chwilę, po czym powiedział:

— Powiedz, Gotarzo, skąd się dowiedziałeś, dokąd pojechaliśmy?

— Ostatniej nocy przybyliśmy do Kushaf i jeden z tamtejszych chłopców, pod groźbą obdarcia żywcem ze skóry powiedział nam, że pojechaliście do Drujistanu, a nawet był tak uprzejmy, że pokazał nam drogę. Tuż przed świtem przybyliśmy na miejsce, w którym przy pomocy drabinki sznurowej wdrapaliście się na skałę, a ci wasi głupcy zapomnieli wciągnąć ją na górę. Związaliśmy ludzi, których zostawiliście, aby pilnowali koni i ruszyliśmy dalej waszym śladem. No, ale przejdźmy do rzeczy. Nic do was nie mam, ale przysięgłem na Asurę wypełniać rozkazy Kobad Szacha i póki życia starczy będę je wykonywał. Z drugiej strony, to hańba rozpocząć nową rzeź, kiedy nasi ludzie są tak utrudzeni i tak wielu dzielnych wojowników padło w Yanaidar.

— Co masz na myśli? — spytał Conan.

— Pomyślałem, że ty i ja moglibyśmy nasz spór rozstrzygnąć w zwyczajnym pojedynku: tylko my dwaj. Jeżeli polegnę, będziecie mogli ruszyć w swoją stronę i nikt nie będzie próbował was zatrzymać. Jeżeli ty zginiesz, Balash powróci ze mną do Anshanu. W ten sposób będziesz mógł udowodnić, że jesteś niewinny — dodał Gotarza, zwracając się do wodza Kushafijczyków. — Król dowie się o twojej roli w likwidacji kultu Ukrytych.

— Znając Kobada Szacha i jego zabójczą podejrzliwość, wątpię — mruknął Balash. — Ale zgadzam się. Żaden iranistański sługus pałacowy nie jest w stanie sprostać Conanowi w tego typu pojedynku.

— Zgoda — uciał Conan i zwrócił się do swoich ludzi: — Który z was ma największy miecz?

Zważył kilka w dłoni i wybrał długi, prosty miecz z hyboryjskim grawerunkiem. Potem stanął naprzeciw Gotarzy.

— Jesteś gotów?

— Gotów — rzekł Gotarza i ruszył do ataku.

Błysnęły dwa ostrza i stal brzęknęła o stal. Przyglądający się pojedynkowi w pierwszej chwili nie zauważyli, co się dzieje. Wojownicy doskakiwali do siebie, krążyli, zbliżali się, wyczekiwali i uchylali przed ciosami, które mogły skrócić ich o głowę, podczas gdy miecze dźwięczały, nie spoczywając ani na chwilę. Cięcie, parada, pchnięcie, kontra, unik, cięcie — i tak bez przerwy. Nigdy dotąd, podczas tysiącleci trwania Yanaidar, otaczające je skały nie oglądały tak wspaniałego pokazu walki na miecze.

— Dość! — krzyknął jakiś głos. Kiedy walczący nie przerwali pojedynku, ten sam głos powtórzył: — Powiedziałem dość!

Conan i Gotarza oddalili się od siebie na parę kroków i ostrożnie odwrócili się, żeby zobaczyć, kto nakazał przerwać starcie.

— Bardiya! — krzyknął Gotarza na widok otyłego majordomusa, który stał u wejścia do wąwozu, przy skale, na której była zawieszona sznurowa drabinka. — Co tu robisz?

— Przerwijcie pojedynek — rzekł Iranistańczyk. — Zajeździłem konie, żeby tu do was dotrzeć. Kobad Szach umarł na skutek rany od zatrutego noża i koronę przejął jego syn, Arshak. Wycofał wszystkie oskarżenia przeciwko Conanowi i Balashowi i nalega, abyście obaj wrócili do Anshanu. Chce z powrotem przyjąć was na służbę. Gwarantuje wam bezpieczeństwo. Iranistan będzie potrzebował takich jak wy wojowników, bo o ile mi wiadomo Yezdigerd, król Turanu, po pozbyciu się kozaków znów postawił armię w stan pogotowia. Najwyraźniej zamierza zaatakować i podbić sąsiednie krainy.

— Jeżeli tak — rzekł Conan — to na turańskim stepie znów zapanują dobre czasy, a poza tym znudziły mi się już intrygi na waszym uperfumowanym dworze. — Zwrócił się do swoich ludzi:

— Ci, którzy chcą wrócić do Anshanu, mogą odejść. Reszta wraz ze mną wyruszy jutro na północ.

— Ale co z nami? — spytał hyrkański strażnik z Yanaidar. — Iranistańczycy z miejsca obedną nas ze skóry. Nasze miasto zostało zajęte przez gule, nasze rodziny zostały wymordowane, straciliśmy naszych dowódców... Co się z nami stanie?

— Ci, którzy chcą, mogą jechać z nami — powiedział obojętnym tonem Conan. — Inni niech pytają Balasha, może zechce was przyjąć. Wiele kobiet z jego szczepu będzie szukać nowych mężów... Na Croma!

Conan powiódł wzrokiem po grupce kobiet. Była wśród nich Parusati. Jej widok przypominał mu, że o czymś zapomniał.

— O co chodzi, Conanie? — spytał Tubal.

— Zapomniałem o tej dziewczce, Nanai. Została w wieży. I jak, teraz do diabła mam ją stamtąd wydostać, skoro w pałacu roi się od guli?

— Nie musisz — rozległ się głos. Jeden z ocalałych Zuagirów zdjął hełm z brązu i oczom Conana ukazała się twarz Nanai. Dziewczyna rozpuściła włosy i przesunawszy po nich ręką pozwoliła, aby opadły jej na ramiona.

Conan ruszył w jej stronę, a potem wybuchnął gromkim śmiechem.

— Chyba powiedziałem, żebyś została... ech, dobrze, że mnie nie posłuchałaś.

Pocałował ją mocno, a potem wymierzył jej siarczystego klapsa.

— Pierwsze za to, że wzięłaś udział w walce, a drugie, za nieposłuszeństwo. A teraz w drogę! Ruszcie się, psubraty, chcecie zdechnąć z głodu na tym przeklętym pustkowiu? Chyba nie macie zamiaru tu zostać? Ruszcie się, bo przyrośnięcie do tych kamieni!

W chwilę potem potężny Cymeryjczyk i wysoka ciemnowłosa dziewczyna ruszyli w stronę skalnego korytarza, który miał ich doprowadzić na szlak do Kushaf.

